

KRZYSZTOF BORUN

PRÓG NIEŚMIERTELNOŚCI



Krzysztof Boruń

Próg nieśmiertelności

Próg nieśmiertelności

Copyright © by Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracja na okładce: National Institute on Aging

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-30-9

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

I

Przetarłem chusteczką spocone czoło i niechętnie nacisnąłem guzik dzwonnka. Upał i jeszcze do tego uporczywa migrena nastrajały wrogo do całego świata. Najchętniej pojechałbym do domu i wziął kąpiel, lecz wiedziałem, że niestety jest to niemożliwe. Pani de Lima nie należała do klientek, które łatwo jest spławić.

W drzwiach stanął Fernandez, już wyraźnie zmęczony.

— Czeka? — zapytałem patrząc na niego ze współczuciem.

— Czeka — potwierdził krzywiąc się, jakby go zęby bolały.

— No, cóż... — powiedziałem z rezygnacją. — Niech pan prosi.

Dolores de Lima przeszła szybkim krokiem przez gabinet i bez powitania, nieco teatralnym gestem rzuciła na biurko nieduży tom w barwnej okładce.

— I co pan na to?

Jej twarz wyrażała najwyższe oburzenie. Zdjąłem przeciwsłoneczne okulary i odczytałem tytuł:

— *Próg nieśmiertelności...*

Odłożyłem książkę. Ból głowy nie ustępował, mimo iż przed kilkoma minutami wziąłem proszek.

— I co pan na to? — powtórzyła pani de Lima i usiadła z impetem w fotelu. — To bezczelność!

— Nowe wydanie? — zapytałem niepewnie, na próżno usiłując przypomnieć sobie treść kartki, na której Katarzyna spisała tytuły wszystkich utworów Joségo Bragi.

— Ależ, panie mecenasie! Widzę, że się pan w ogóle moją sprawą nie interesuje! Przecież to nowa powieść!

Zerwała się z fotela, pochwyciła książkę i palcem wskazała uwagę wydawniczą w rogu okładki: „Pierwsze wydanie, pośmiertne”.

— Przepraszam. Mam silną migrenę — próbowałem usprawiedliwić swą gafę. — Więc znów coś znaleziono? To już chyba piąta nowa pozycja od trzech lat?

— Wraz z tomem opowiadań — siódma! I niech pan spojrzy! Nakład 250 tysięcy! Poza tym przygotowywane są już przekłady.

— Liczę, że stanie się bestsellerem.

— I cóż mi z tego?! To grabież! Taki majątek!... Czy wie pan, że Warner przystępuje do filmowania *Zmierzchu*? A *Deszcz* wystawiły już 32 teatry! W tym Londyn, Paryż, Moskwa, Nowy Jork! Nie wiem już, co mam robić! Przecież to rozbój! A pan nawet nie raczył zapoznać się ze sprawą! Od pół roku stoimy w miejscu. Nie pozwolę okradać mego dziecka!

— To sprawa bardzo trudna. Nie chcę powiedzieć — beznadziejna. Badałem testament... Sporządzony był według wszelkich wymogów prawa. Notariusz Costa zasługuje na pełne zaufanie...

Rzuciła się nerwowo na fotel.

— I co z tego?! Pan siedzi z założonymi rękami. A przecież José nie mógł być przy zdrowych zmysłach! Najpewniej był pijany... To nie ulega wątpliwości!

Nie byłem w stanie zmusić się do spokojnej, logicznej argumentacji. Powtórzyłem więc tylko:

— Costa zasługuje na pełne zaufanie.

— Co pan tak tego notariusza broni? Przecież moją sprawę pan prowadzi!

Miałem, już tej kobiety powyżej uszu. I pomyśleć, że gdy pierwszy raz ją spotkałem, wydała mi się bardzo ładna i miła. Teraz jej wdzięk nie wywierał na mnie żadnego wrażenia.

— Jeśli nie odpowiada pani mój sposób prowadzenia sprawy, może pani ją oddać innemu adwokatowi — powiedziałem oschle.

Podniosła się raptownie z fotela.

— Wobec tego... — rozpoczęła i zawahała się. Usiadła z powrotem. — Chyba mnie pan rozumie? Nie chciałam bynajmniej powiedzieć, że nie mam do pana zaufania. Chodzi mi jednak o to, że przecież sprawa ta jest jasna jak słońce. José był alkoholikiem. W ostatnich latach przed śmiercią stale pił. Czy deliryka można uznać za człowieka w pełni świadomego swych czynów?

— Orzeczenia lekarskie nie potwierdzają, aby wchodziło w rachubę delirium. Były mąż pani umarł na chorobę nowotworową.

— To nieważne, na co umarł. Delirium czy nie... Nie upieram się. Ale mógł być w stanie zamroczenia, gdy sporządzał ten nedorzeczny testament.

— Notariusz Costa... — podjąłem z wysiłkiem.

— No, dobrze! — nie pozwoliła mi dokończyć. — Ale mogła to być choroba umysłowa! Ukryta, od dawna rozwijająca się choroba! Przecież on miał jakiś guz w mózgu... Czy w takim stanie można mówić o poczytalności?

— Tego właśnie będziemy próbowali dowieść. Jest to jednak zadanie dość trudne. Costa twierdzi, że nie ma żadnych dowodów, aby Braga cierpiał na jakieś zaburzenia świadomości. Przynajmniej w chwili sporządzania testamentu.

Pani de Lima patrzyła w zamyśleniu w podłogę. Jej energia jakby się nagle wyczerpała.

— To był zły, samolubny człowiek — powiedziała cichym, zgaszonym głosem. — Aby znęcać się nad człowiekiem, nie potrzeba robić awantur. Nie potrzeba bić. Nieraz wystarczy... milczeć. Można było mówić do niego, płakać, krzyczeć... A on nic. Tylko patrzył... Czasem nawet nie spojrzał. A do tego głód... Potworne warunki mieszkaniowe. Czy pan wie, że on w ciągu sześciu lat naszego pożycia nie przepracował w sumie nawet roku? Nigdzie miejsca nie zagrzał! Mój ojciec trzy razy wystarał mu się o posadę. Dobrze płatną! Za każdym razem ją rzucał! Raz nawet po tygodniu! Nie chciało mu się pracować. Tylko stukał po nocach... Pan wie, co znaczy, gdy się mieszka z kimś takim w jednym pokoju...

Słuchając wynurzeń klientki zapomniałem na chwilę o bólu głowy. Teraz wrócił on z nową siłą. Oparłem się o blat biurka i przysłoniłem dłońią oczy. Dawało to nieznaczną ulgę.

— W dzień spał albo włączył się gdzieś... — ciągnęła pani de Lima. — A potem nawet i nie pisał. Prawie wcale nie pisał, bo maszynę sprzedał. Na wódkę... Aż wreszcie zniknął... Jednego dnia! Nawet nie powiedział, że odchodzi... Mario miał wtedy pięć lat. Wróciłam do rodziców. A potem...

— Kroki rozwodowe podjęła pani!

— A cóż miałam robić? Musiałam myśleć o przyszłości dziecka.

— Chciał jednak pani odebrać syna.

— Tak. Ale sąd mu nie przyznał. Czy to nie najlepszy dowód, że już wówczas nie był to człowiek normalny?

— Niestety. W uzasadnieniu nie ma niczego, co umożliwiłoby

postawienie takiej tezy. Chodziło o alkoholizm i stan majątkowy.

Ból zdawał się powoli ustępować. Gdyby tak można było wziąć kąpiel...

— Mój obecny mąż stał się dla Maria prawdziwym ojcem. Dopiero on... — podjęła pani de Lima. — A José okazał się nikczemny nawet po śmierci. Co za perfidny pomysł z tym testamentem...

— Więc rzeczywiście nie pozostawił pani żadnych rękopisów czy maszynopisów?

— Ależ... To była jego perfidia. Zabrać wszystko, a potem napisać w testamencie, że to, co znajduje się w moim posiadaniu, staje się własnością Maria... Oszukał własne dziecko!

— Zapisał swemu synowi również wszystkie swoje utwory drukowane do chwili śmierci i sztukę złożoną w jakimś teatrze.

— Panie mecenasie! Przecież jego nigdzie za życia nie chcieli grać. Jedno jedyne wydanie książkowe *Szarego płomienia* krytyka zjechała gruntownie. No i kilka opowiadań, które sprzedał za grosze do czasopism — to byłoby wszystko.

— Dziś te utwory poszły w cenie. Zresztą, gdyby się pani zgodziła...

— Nigdy się nie zgodzę! Jak pan może w ogóle o tym wspominać! Mario ma prawo do wszystkiego, co napisał jego ojciec! Nie pozwolę okradać dziecka!

— Oczywiście! Oczywiście. Wspomniałem o tej możliwości tylko gwoli ścisłości... Zrobimy wszystko, co będzie możliwe. Czy jednak nie wydaje się pani dziwne, że pierwszy mąż pani wydziedziczył, powiedzmy częściowo i warunkowo, syna, mimo iż z akt sprawy rozwodowej zdaje się wynikać, że go bardzo kochał.

— To komedia. Chciał się tylko na mnie zemścić. Odebrać mi dziecko! Ale mu się nie udało i nie uda! Nawet po śmierci! On nikogo nie kochał, tylko siebie!

— Spróbujmy rozważyć wszystkie punkty nadające się do zaczepienia — zdobyłem się na jeszcze jeden wysiłek. — Testament sformułowany jest trochę dziwnie. Nie podano w nim nazwy żadnego z utworów z wyjątkiem owej sztuki, odrzuconej zresztą pierwotnie przez wspomniany w testamencie teatr. Tak samo nie wymienia on tytułów dzieł warunkowo zapisanych Instytutowi im. Burta. Mówi tylko o „reszcie”, to jest tych, które nie znajdują się w pani posiadaniu ani nie

były publikowane za życia autora. Otóż przyszedł mi do głowy pewien pomysł, który, być może, ułatwi dochodzenie praw. Niech pani spróbuje spisać tytuły i treść znanych pani dzieł Josego Bragi, które dotychczas nie zostały opublikowane. Uwierzytelnimy ten spis u notariusza. Być może Instytut im. Burta jest w posiadaniu jeszcze jakiegoś dzieła. Spróbujemy wówczas przekonać sąd, że znajdowało się ono pierwotnie w posiadaniu pani, a potem zaginęło. Oczywiście, nie będziemy oskarżać Instytutu o kradzież, ale jest to zawsze jakaś płaszczyzna uzasadniająca pani roszczenia.

— Spróbuję sobie przypomnieć — odrzekła niezbyt pewnie. — Ale... nie wiem, czy co z tego wyjdzie. Wszystkie ogłoszone drukiem dzieła, do których rości sobie pretensje Instytut Burta, nieznane były z tytułu ani z treści nie tylko mnie, ale również memu synowi.

— Pani syn miał wtedy pięć lat...

Zmieszała się.

— Spotykali się później, czasami... José czytał mu niektóre swoje utwory.

— No cóż? Może się jednak państwu coś przypomni.

Uważałem rozmowę za skończoną. Ale klientka jeszcze nie miała zamiaru odchodzić.

— Widzi pan — podjęła znów z wahaniem. — Tą drogą, którą pan idzie, zdaje się, że nigdzie nie zajdziemy... Mojemu mężowi nasunął się pewien pomysł. To znaczy, ściślej mówiąc, chciałam powiedzieć... pewne podejrzenie.

— Podejrzenie?

— Widzi pan, założmy nawet, że testament jest prawomocny. Że José był przy zdrowych zmysłach. Jakie mamy dowody, że umarł on naturalną śmiercią?

Tym razem straciłem już panowanie nad sobą.

— Chce pani oskarżać Instytut Burta, placówkę naukową o światowej sławie, o morderstwo?! To bzdura! Nonsens! Tak poważna instytucja nie łakomiłaby się na kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy.

— Z tych setek tysięcy urosną wkrótce miliony!

— Ależ komu mogłoby zależeć na śmierci młodego, nieznanego pisarza?

— Faktem jest, że poważne wpływy zasilają nieustannie kasę

Instytutu, że ukazujące się co roku nowe utwory pochodzą z tajemniczej teki pośmiertnej, znajdującej się w posiadaniu Bonnarda. I że José zmarł... właśnie w klinice Instytutu Burta. Oto fakty! To jasne! To jasne! Leczone tam Joségo, a on z wdzięczności za opiekę zapisał im swe dzieła, które były wówczas, bądźmy szczerzy, bez wartości. Niestety, choroba była nieuleczalna — ciągnęła z ironią. — Rzadki przypadek raka, przeciw któremu nie ma jeszcze dziś środków. Leczenie nowotworów nie jest zresztą specjalnością Instytutu... I oto po śmierci pacjenta sam wielki profesor Bonnard zainteresował się spuścizną nieznanego grafomana, którą pozostawił on w spadku Instytutowi, i używając swych wpływów, robi z niego wielkiego pisarza. To wszystko jest zbyt piękne, aby było prawdziwe! Co więcej, okazuje się, że testament zawiera klauzulę ustanawiającą Bonnarda jedynym opiekunem mego syna, jeśli Mario Braga ma korzystać z dorobku pisarskiego swego ojca. Oczywiście, to nikomu nie wydaje się dziwne...

Nie rozumiałem, do czego zmierza.

— Pani chyba nie wierzy w to, co mówi? Oskarżać profesora Bonnarda! To nonsens!

— A ja jednak, jako klientka, proszę pana mecenas, aby zajął się tą sprawą. Wnoszę o zbadanie i tej okoliczności. Przecież ekshumacja jest dopuszczalna. Można przeprowadzić badania. Truciznę stwierdzi się po latach.

— Skompromitujemy się i tyle.

— Sądzi pan, że spece z Instytutu Burta nie zostawili śladu?

— Ależ w ogóle uważam za wykluczone, by wchodziło tu w rachubę morderstwo! José Braga umarł na raka!

— Dobrze. Chcę być tego pewna. Podejrzenia nie są pozbawione podstaw — dokończyła z naciskiem.

Byłem zaskoczony jej stanowczym tonem.

— Nie rozumiem.

— W tym czasie, kiedy pan bawił się w swoje wątpliwości prawnicze, staraliśmy się bliżej zainteresować Instytutem. Otóż od uczynnych ludzi, zasługujących na pełne zaufanie, dowiedzieliśmy się, że na biednym Josém profesor Bonnard dokonywał pewnych... eksperymentów.

To mi wystarczy.

— Na pewno chodziło o nowe środki lecznicze. José Braga był w stanie beznadziejnym, a wówczas na żądanie chorego stosowanie nawet niedostatecznie sprawdzonych środków jest dopuszczalne.

— Być może... Być może... Ja jednak proszę o ekshumację!

— Zastanowię się.

— Jednak proszę...

Czułem, że uparta kobieta nie wyjdzie, póki nie wyrażę zgody.

— Dobrze — powiedziałem z wysiłkiem. — Zajmę się tą sprawą. Gdzie jest pochowany José Braga?

— W Punto de Vista. To taka mała miejscowość, sześć kilometrów od Instytutu Burta. Jest zresztą pewna sprzyjająca okoliczność. Mój brat Esteban Alberdi jest tam proboszczem.

II

Wieś Punto de Vista, rozrzuconą wzdłuż stoku niewysokiego wzgórza, zamieszkiwali głównie chłopci bezrolni, zatrudnieni na pobliskiej plantacji, i dzierżawcy ubogich poletek. Niewielkie domki, najczęściej po prostu lepianki sklecone z kamienia i z drewna, mające z daleka oczy mozaiką białych, prostokątnych plam na tle soczystej zieleni, z bliska traciły wszelki urok. Przykuwał wzrok jedynie stary, pamiętający z pewnością portugalskie rządy kościół, wzniesiony na szczycie wzgórza. Barokowa fasada, chociaż wyszczerbiona przez czas, budziła podziw harmonią linii architektonicznych, a okalający kościół od północy park zapowiadał wytchnienie.

Zatrzymałem samochód tuż przy długich, stromych schodach prowadzących do kościoła i zapytawszy o drogę, ruszyłem piechotą w górę ku bocznej bramie ogrodu. Furta nie była zamknięta. Ocieniona aleja biegła w głąb parku, gdzie bieleły się mury jakichś budowli. Okazało się jednak, iż są to tylko wypalone ściany jednopiętrowego domu, plebania zaś mieści się w niewielkim budyneczku jeszcze dalej, niemal tuż przy murze oddzielającym teren parku od pobliskiego cmentarza.

Wszedłem na ganek i zapukałem do drzwi. Po chwili dobiegł mnie przytłumiony odgłos kroków. Drzwi skrzypnęły i w progu ukazała się postać księdza. Niewysoki, o twarzy drobnej, jakby trochę dziecięcej, choć siwiejące skronie wskazywały, że czasy jego młodości minęły już dość dawno, nie przypominał wcale typowego proboszcza wiejskiego. Stał w drzwiach i bez słowa patrzył na mnie pytająco, raczej ze zdziwieniem niż z zainteresowaniem.

— Czy zastałem księdza Alberdi? — zapytałem, choć wydało mi się, że w twarzy duchownego dostrzegam jakieś nieuchwytnie podobieństwo do Dolores de Lima. Nie myliłem się zresztą.

— To ja — potwierdził ksiądz cicho, jakby z onieśmieleniem. — Słucham pana.

— Jestem pełnomocnikiem pani de Lima.

Ksiądz ożywił się.

— Ach, Dolores! Dawno już jej nie widziałem... Proszę, proszę wejść.

Bardzo się cieszę...

Otworzył szeroko drzwi zapraszając gestem do wnętrza.

Przez maleńką sionkę i kuchenkę przeszliśmy do pokoju pełniącego jednocześnie funkcję gabinetu, biblioteki i sypialni. Ściany pokrywały wokół półki z książkami, od podłogi do sufitu. Pod oknem stało staromodne biurko z fotelem, tuż obok wąski tapczan przykryty szarym pledem. Na środku — stół i dwa krzesła, w kącie pokoju figura Madonny z Dzieciątkiem.

— Piękna biblioteka — zauważyłem rozglądając się z ciekawością po pokoju. Książd uśmiechnął się blado.

— Nikt nie jest wolny od namiętności... — rzekł sentencjonalnie.

Przebiegłem wzrokiem po grzbietach najbliższych tomów: Kant, Kierkegaard, La Mettrie, Leibniz, Locke, Mach, Maritain...

— To chyba coś więcej niż namiętność bibliofila? — powiedziałem wskazując na książki. — Sami filozofowie?

— Prawie wyłącznie. Dziwi pana z pewnością — podjął z pewnym zażenowaniem — iż ja, proboszcz wiejski... To tylko, rzecz można, wspomnienia młodości.

— Widzę tu również sporo nowych wydań...

— Cóż... Pasja pozostała... Ale to nieważne. Niech pan siada, o tu! — wskazał na fotel, sam usiadł na skraju tapczana. — Cóż słyhać u mojej siostry? A jak tam Mario?

— W zasadzie... nic nowego. Tak sędzę... Jak już wspomniałem, jestem adwokatem, pełnomocnikiem pani de Lima...

Zesztywniał nieco.

— Słucham pana.

— Chyba pani de Lima pisała...

— Nie pisała — przerwał głosem cichym, z pozorów tonem łagodnym, w którym jednak nietrudno było wyczuć rozdrażnienie. — Od blisko dziesięciu lat nie utrzymujemy żadnych kontaktów.

— Chodzi o grób Joségo Bragi.

Na moment w oczach księdza pojawiło się coś na kształt zdziwienia, potem odwrócił wzrok ku oknu i nie patrząc na mnie powiedział:

— A więc przypomniła sobie. Może ją pan zapewnić, iż nie zarósł chwastami. Przez pierwsze lata po śmierci Joségo, gdy wszyscy zapomnieli o jego mogile, ja pamiętałem. Teraz moja opieka

niepotrzebna. Coraz częściej przyjeżdżają różni ludzie... Przywożą kwiaty... Sława pośmiertna najlepiej chroni groby... — umilkł na chwilę. — A więc i Dolores sobie przypomniała — powtórzył nie kryjąc ironii.

Znalazłem się w dość kłopotliwej sytuacji.

— Pani de Lima nie to miała na myśli, prosząc mnie, abym tu przyjechał — rozpocząłem jak najogólniej, ale ksiądz znów mi przerwał.

— Niech pan, mecenasie, nie próbuje jej bronić. Dziwi pana może, iż nie kryję przed panem, człowiekiem, którego pierwszy raz widzę, mego krytycznego stosunku do postępowania mojej siostry. Widzi pan... myślę, że jako pełnomocnik powinien pan wiedzieć wszystko. Poza tym nie lubię kłamać. Nie ułatwia mi to życia, ale taki już jestem i chyba pozostanę...

— Chodzi o ekshumację — przeszedłem do meritum sprawy.

— Ekshumację?! Też pomysł! — parsknął gniewnie. — José życzył sobie, aby Punto de Vista było jego miejscem wiecznego spoczynku i nie zgodzę się, aby dla marności światowego rozgłosu przenoszono jego kości gdziekolwiek. Choćby to miał być cmentarz dla zasłużonych.

— Nie mamy zamiaru zabierać zwłok. Ekshumacja ma być dokonana w celu ekspertyzy sądowo-lekarskiej.

Ksiądz patrzył na mnie przez chwilę ze zdziwieniem, wreszcie wyjąkał:

— Nie rozumiem... Po cóż ekspertyza? W jakim celu? Dlaczego?

— Widzę, że będę musiał przedstawić księdzu szczegółowo całą sprawę. Czy ksiądz zna treść testamentu Bragi?

— Znam. I powiem szczerze, iż nie dziwię się Dolores, że nie oddała Bonnardowi Maria. Zawsze to przecież jej syn... Nikt nie zastąpi matki... Pieniądze nie są sprawą najważniejszą.

— To nie takie proste — podjąłem ostrożnie. — José Braga spisując testament działał z pewnością pod wpływem głębokiej urazy do swej byłej małżonki. Nie chcę wnikać w tej chwili w to, czy ta uraza była słuszna. Istotne jest, że Mario został wyraźnie pokrzywdzony. Chcemy więc podjąć próbę obalenia testamentu.

— Po co?! Za półtora roku Mario osiągnie pełnoletność i druga koperta będzie otwarta. Jestem przekonany, iż José nie wydziedziczył swego syna. Druga część testamentu z pewnością rozwiąże problem.

— Instytut Burta ma prawo dowolnie rozporządzać sumami, które

obecnie wpływają na jego konto.

— A więc znów chodzi jej tylko o pieniądze! — wybuchnął z sarkazmem. — Więc jednak nic się nie zmieniła! A może pan ją do tego namówił? Panu przecież, jako jej adwokatowi, z pewnością na tym zależy... No, niech pan powie szczerze. Przecież to jasne!

Patrzył na mnie z nie ukrywaną niechęcią.

Rozmowa przybrała niewłaściwy obrót, nie mówiąc już o tym, że metoda „mówienia prawdy w oczy” z pewnością nie należała do przyjemnych. Musiałem jednak przyjąć wyzwanie.

— Może mi ksiądz wierzyć lub nie wierzyć, ale w rzeczywistości byłem tym, który odradzał pani de Lima podjęcia kroków przeciw Instytutowi. Istnieje zresztą coraz więcej powodów, dla których chętnie bym pozbył się sprawy testamentu Joségo Bragi. Zresztą od początku nie miałem do niej serca — powiedziałem szczerze, choć czułem, że wbrew intencjom brzmi to sztucznie i naiwnie.

— Więc dlaczego ją pan w ogóle brał?

— Przyjąłem sprawę przez grzeczność, z polecenia innego klienta i wydawało mi się, że w jakiś rozsądny sposób potrafię ją doprowadzić do zadowolającego rozwiązania. Okazało się jednak, że obie strony bynajmniej nie dążą do kompromisu, zwłaszcza że, formalnie biorąc, kompromis nie miałby tu sensu. Albo José Braga był przy zdrowych zmysłach i testament, sporządzony przez notariusza zgodnie z wszystkimi wymogami prawa, jest nie do obalenia, albo też był chory psychicznie, a przynajmniej w czasie sporządzania dokumentu nie znajdował się w pełni władz umysłowych. Sąd, przyznając prawa spadkowe Instytutowi Burta, przyjął pierwszą tezę jako dowiedzioną i wszystko wskazuje, że niewiele będzie można na tej płaszczyźnie zwojować. Co najwyżej mógłbym na pewien czas uzyskać nałożenie aresztu sądowego na należności wypłacane przez wydawnictwa i teatry. Projekt ten jednak pani de Lima odrzuca z pewnych zasadniczych powodów. Istnieje obawa, iż nie uda się wydobyć dalszych nieopublikowanych manuskryptów od profesora Bonnarda.

— Rozumiem. Więc parę dobrych lat czekaliście, aż „źródło wyschnie”?

— Właśnie...

— Tymczasem dzieła ukazują się nadal i rosną w cenie...

— Otóż to! Nie wiadomo, czym jeszcze dysponuje Bonnard. Co prawda, znając tempo pisania Bragi przed rozejściem się z panią Dolores, z pewnych oszacowań zdaje się wynikać, że wiele już tego nie ma... „Źródło” powinno być już niemal „suche”. Niemniej pewności nie mamy.

— Ale co to ma wspólnego z ekshumacją?!

— Zdaniem pani de Lima istnieją uzasadnione podejrzenia, iż José Braga nie zmarł naturalną śmiercią. Być może uda się coś wykryć...

— Po sześciu latach? A zresztą to szczyt nedorzeczości posądzać Bonnarda o morderstwo. Co jak co, ale do tego nie byłby zdolny.

— I ja tak sądzę. Nie chodzi tu jednak o zarzut morderstwa, lecz — niedozwolonych zabiegów medycznych. I to zresztą nie wydaje mi się zbyt sensowne, chociaż punkt zaczepienia łatwiej znaleźć. Będzie to jednak sprawa długa, przewlekła. Oczywiście jeśli nie znajdziemy wyraźnego dowodu. Mówiąc szczerze, nie lubię prowadzić spraw o posmaku kryminalnym, a tym bardziej jeśli mogą zakończyć się kompromitacją. Nie potrafię jednak przekonać pani de Lima.

Ksiądz zdawał się nie słyszeć mych słów.

— Szczyt nedorzeczości! — powtórzył patrząc w podłogę. — Znam dobrze Bonnarda. To wykluczone. Nie zgadzam się z nim w wielu kwestiach, ale to człowiek na wskroś uczciwy!

— Istnieją podobno podstawy do podejrzeń, iż eksperymentował na Bradze... Pańskiej siostrze mówił ktoś ponoć godny zaufania.

Alberdi uniósł na mnie wzrok.

— Czy to czasem nie... Lopez da Silva?

— Nie wiem. Nic mi to nazwisko nie mówi. Kto to taki?

— Administrator tutejszych plantacji...

— Sądzi ksiądz, że może on coś na ten temat wiedzieć?...

— Nie wiem.

— Ale to ktoś godny zaufania?

— Niech pan spyta Dolores — zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie. I nagle zmieniając temat powiedział: — Nie zgodzę się na ekshumację. To nie ma sensu. Chyba że władze sądowe tego zażądają... Albo sam Bonnard.

— Co mam powiedzieć pani de Lima?

— To, co pan słyszał. Nic więcej.

Wstał z tapczanu dając mi do zrozumienia, że uważa rozmowę za

skończoną.

— Czy ksiądz radzi mi porozmawiać z profesorem Bonnardem?

— Nic panu nie radzę — uciął niezbyt uprzejmie.

— Ksiądz mnie źle zrozumiał. Chodzi o to, że muszę podjąć decyzję. Mówiłem księdzu, że nie mam serca do tej sprawy. Nawet jednak gdybym się zdecydował wnieść pozew z prywatnego oskarżenia, myślę, że powinienem przedtem porozmawiać z Bonnardem. Choćby dla upewnienia się, czy rzeczywiście nie istnieje jakaś możliwość uniknięcia skandalu.

— Niech się pan wiele nie spodziewa po tej rozmowie. Bonnard to człowiek trudny...

— Powiem szczerze. Być może po prostu staram się znaleźć dla siebie samego argumenty pozwalające mi na... rzucenie sprawy!

— Niech pan spróbuje — powiedział nieco łagodniej.

— Którędy najbliżej do Instytutu?

— Pokażę panu... Chodźmy.

Wyszliśmy na ganek, a potem okrążywszy domek stanęliśmy przy niskim murze cmentarnym. Zbocze wzgórza było tu odsłonięte i z góry roztaczał się widok na dolinę.

— Dojedzie pan do głównej szosy. Cztery kilometry na północ skręci pan w lewo. O tam! Widzi pan ten biały długi budynek? — wskazał jakąś jasną plamę w dolinie, u podnóża dalekiego wzniesienia.

— Widzę.

— To właśnie Instytut Burta.

— Dziękuję. W razie czego zapytam kogoś o drogę.

— Nie radzę... Może pan otrzymać fałszywą informację.

— Dlaczego?

— Widzi pan — ksiądz jakby się trochę zmieszał. — Instytut nie cieszy się u nas zbyt dobrą sławą, to znaczy... wśród tutejszych chłopów. Zwłaszcza ostatnio...

— Nie rozumiem...

— Może się to panu wyda śmieszne, ale to ludzie biedni, prymitywni. Przeważnie analfabeci. Ostatnio zaczęły tu krążyć wieści, że w Instytucie... straszy. Próbowałem nawet przemawiać do rozsądku, ale to niewiele pomaga. Być może, te plotki są celowo rozsiewane... Czy ja wiem?

— I dlatego ci chłopci mogą mi wskazać fałszywy kierunek?

— Najlepszy sposób na diabła, to go oszukać — zaśmiał się krótko.

— Nie wyglądam chyba...

Zlustrował mnie wzrokiem.

— Kto wie? Kto wie?... — zaśmiał się znowu.

Ruszyliśmy przez park ku furtce. Ksiądz jakby przygasł. Na moje dalsze próby podtrzymywania rozmowy odpowiadał monosylabami. Dopiero gdy go pożegnałem i już począłem schodzić w dół, zawołał za mną:

— A Dolores niech pan powie, żeby przyjechała! Nie będę jej robił wyrzutów. Niech przyjadą w trójkę. Po śmierci Joségo sytuacja zmieniła się zresztą... Niech przyjadą! Koniecznie!

Stał długo przy furcie. Jeszcze z szosy widziałem jego ciemną sylwetkę na tle białej ściany ogrodu.

III

Gmach Instytutu Neurocybernetyki im. Samuela Burta był budowlą o niezwykłym kształcie, przypominającą z daleka wydłużone cielsko jakiegoś mezozoicznego gada. Wzniesiony przed dwudziestu laty z betonu, szkła i aluminium, ponoć według projektu samego Niemeyera, zaliczany był przez przewodniki turystyczne do najwybitniejszych dzieł architektonicznych w naszym kraju. Początkowo mieściło się tu nieduże luksusowe sanatorium, modne swego czasu i za granicą. Jednak za rządów lewicującego prezydenta Dartesa sanatorium zostało upaństwowione. Wkrótce potem rewelacyjne eksperymenty nad neurodyną i autorytet naukowy Samuela Burta sprawiły, że patronat nad lecznicą objął Instytut Neurocybernetyki.

Od tej chwili placówka poczęła stopniowo zmieniać swój charakter z leczniczego na naukowo-badawczy, tak iż w ostatnich latach, po gruntownej przebudowie gmachu, zaniechano już zupełnie przyjmowania pacjentów. Te ostatnie zmiany nastąpiły już po śmierci Burta, gdy kierownictwo Instytutu objął prof. Bonnard, jeden z najwybitniejszych biocybernetyków w skali światowej, i wiązały się ze znacznym rozszerzeniem zakresu badań, finansowanych podobno również przez armię.

Nie wiem, w jakim stopniu ta ostatnia informacja odpowiadała prawdzie. Faktem jest jednak, iż wrażenia z pierwszych moich odwiedzin w Instytucie zdawały się temu przeczyć.

Kiedy wąską, wybetonowaną drogą zajechałem przed gmach, wydał mi się opustoszały. Cisza panowała wokoło, żadnego pojazdu na podjeździe ani strażnika przy wejściu. Wygodne, szerokie schody prowadziły do zamkniętych szklanych drzwi. Za przezroczystą ścianą widziałem rozległy hall, drzwi dwóch wind i schody prowadzące zarówno w górę — na piętro, jak i w dół — do podziemi.

W hallu również nikogo nie było. Nacisnąłem guzik dzwonka i czekałem z obawą, iż przyjdzie mi wrócić z niczym. Po chwili jednak usłyszałem przytłumiony szum i drzwi stanęły przede mną otworem.

Wszedłem do hallu, a drzwi zamknęły się za mną same. W tymże

niemal momencie z korytarza na prawo wyszła młoda, wysoka dziewczyna w białym laboratoryjnym kitlu i zapytała, czego sobie życzę. Gdy oświadczyłem, że chciałbym się widzieć z prof. Bonnardem, wzięła mnie widocznie za naukowca, gdyż poczęła mnie wypytywać, kto mnie do Instytutu skierował. Po wyjaśnieniu jednak, kim jestem i że chodzi tu o sprawę Bragi, prosiła, abym zaczekał, sama zaś połączyła się telefonicznie z profesorem, zawiadamiając go o moim przybyciu. Nie wiem, czy uczony był aż tak zajęty, czy też nie życzył sobie spotkania z pełnomocnikiem pani de Lima, dość że początkowo wyraźnie usiłował mnie spławić kierując do dyrektora administracyjnego. Dopiero po dłuższych naleganiach zgodził się mnie przyjąć.

Gabinet Bonnarda znajdował się na pierwszym piętrze. Dziewczyna wpuściła mnie do niewielkiego przedpokoju i odeszła. Przez uchylone drzwi widziałem szerokie, zarzucone papierami biurko i pochyloną głowę Bonnarda. Znałem go z dyskusji telewizyjnej, w której brali udział naukowcy różnych specjalności, m. in. Katarzyna jako filolog. Już wówczas nie wywarł na mnie szczególnie korzystnego wrażenia. Wysoki, nieco przygarbiony, o chudej, nerwowej twarzy i łysej jak kolano, pokrytej licznymi bliznami czaszce, przypominał raczej emerytowanego generała niż wybitnego naukowca. Z usposobienia kostyczny, nieprzystępny, teraz przyjął mnie szczególnie oschle i urzędowo. Wstał, co prawda, zza biurka na mój widok, wyraźnie jednak starał się ograniczyć płaszczyznę dyskusji.

— Mówiłem, że nie zajmuję się tą sprawą — oświadczył niemal opryskliwie. — Wszelkich wyjaśnień udzieli panu dyrektor administracyjny i notariusz. Uważam za bezpodstawne wszelkie roszczenia pani de Lima i nie widzę potrzeby podejmowania jakichkolwiek prób kompromisu.

— Żyje jednak syn zmarłego i on...

— Czy pytał pan o zdanie tego młodego człowieka? — przerwał Bonnard cierpko. — Czy w porozumieniu z nim przyjechał pan tutaj?

— To jeszcze niemal dziecko. Ma dopiero szesnaście lat...

— Czy rozmawiał pan z nim?

— Nie rozmawiałem... ale...

— To radzę panu od tego zacząć. Szczerze radzę. Marnuje pan tylko swój i mój czas. Żegnaj pana!

Profesor usiadł w fotelu.

Nie dałem jednak za wygraną.

— Przepraszam bardzo pana profesora, ale nie chodzi mi w tej chwili o testament Joségo Bragi ani też w ogóle o sprawę spadku.

— A więc o co?

— Widzi pan, panie profesorze, są tu pewne niejasne punkty, które warto byłoby wyjaśnić ku obopólnej korzyści...

— A więc jednak próba przetargu?

— Bynajmniej. Nie mam tu na myśli mojej klientki, lecz siebie samego. Od rozstrzygnięcia tych wątpliwości zależy dalsze prowadzenie przeze mnie tej sprawy. Otóż nie lubię prowadzić spraw o posmaku kryminalnym... — dokończyłem wolno, patrząc przenikliwie na uczonego.

Wydało mi się przez moment, jakby cień przebiegł przez twarz Bonnarda.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał krótko, nieznacznie unosząc głos.

— Istnieje podejrzenie, że José Braga nie umarł naturalną śmiercią...

Byłem już przygotowany na gwałtowną replikę i nawet począłem żałować, iż posunąłem się tak daleko, lecz ku memu zdziwieniu Bonnard zapytał tylko:

— Co pan rozumie przez określenie „nie umarł naturalną śmiercią”?

— Mam na myśli śmierć wywołaną przyczynami zewnętrznymi... Pewnym działaniem... — rozpocząłem wolno cedząc słowa, ale Bonnard nie dał mi skończyć.

— Więc chcecie nam zarzucić mord?

— Bynajmniej. Tego nie powiedziałem. Chodzi mi tylko o autorytatywne stwierdzenie, czy metody leczenia, powiedzmy niektóre z nich, nie mogły przyspieszyć jego zgonu.

— Jak panu wiadomo, Braga zmarł na szczególnie złośliwą formę choroby nowotworowej. Jeśli chodzi o metody leczenia, nie mamy sobie nic do zarzucenia. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby utrzymać go przy życiu. W aktach dotyczących sprawy spadku znajduje się pełna dokumentacja przebiegu leczenia. Niech się pan zwróci do sądu o jej udostępnienie.

— Niestety, zdaniem mojej klientki istnieją uzasadnione

podejrzenia, iż na osobie Bragi przeprowadzane były pewne eksperymenty.

— A więc szantaż? Nie spodziewałem się tego po panu, panie mecenasie!

— Źle mnie pan rozumie. Chciałem tylko usłyszeć z pańskich ust odpowiedź w tej sprawie. Nie jest to szantaż, raczej wyraz zaufania.

— Proszę pana, czy może się pan czego innego spodziewać ode mnie niż zaprzeczenia? I czy z tego zaprzeczenia może pan cokolwiek wywnioskować? A jeśli chodzi o nieudolną próbę szantażu, to mam dostatecznie czyste sumienie, aby pana prosić o opuszczenie mego gabinetu.

— Ależ, panie profesorze!

Bonnard nacisnął już jednak guzik na krawędzi biurka. W drzwiach stanęła ta sama dziewczyna w białym kitlu.

— Proszę odprowadzić tego pana do wyjścia i... zrzucić ze schodów.

Oczywiście dziewczyna nie miała zamiaru wykonać dosłownie polecenia zwierzchnika, odetchnąłem jednak z ulgą dopiero wówczas, gdy usiadłem za kierownicą.

Palę rzadko, lecz tym razem począłem nerwowo szukać papierosów. Byłem wściekły na siebie i Dolores de Lima. Pomyślałem, że chyba będę musiał zrzec się sprawy spadku po Bradze.

Z drugiej strony czułem tak głęboką urazę do Bonnarda, iż największą satysfakcją sprawiłoby mi znalezienie jakichś dowodów przeciw Instytutowi. Zarzut morderstwa na pewno był wyssany z palca przez panią de Lima, ale w tak aktywnej placówce badawczej jak Instytut Burta próbowanie nowych metod leczniczych, w okresie gdy istniał tam jeszcze oddział szpitalno-sanatoryjny, było na porządku dziennym. A takie próby łatwo podciągnąć pod miano eksperymentów.

Zapaliłem papierosa i uruchomiłem silnik. W tej chwili uświadomiłem sobie, że właściwie nie otrzymałem definitywnej odpowiedzi na swe pytanie. Bonnard nie zaprzeczył, iż metody lecznicze stosowane w przypadku Bragi mogły mieć charakter eksperymentów, a tylko powiedział, że nie powinienem od niego oczekiwać czego innego niż zaprzeczenia.

I powołał się na swe... czyste sumienie. Czy było to tylko przejęzyczenie, czy też może kryło się za tym coś głębszego? Jeśli tak —

to chyba rzeczywiście przeprowadzano eksperymenty na Bradze. Mogły to być zresztą eksperymenty mające go uratować i przeprowadzane za zgodą chorego. Ale czy nie stanowi to już podstawy do zakwestionowania wagi prawnej testamentu?

Mimo wszystko zdawałem sobie sprawę, iż jestem jeszcze zbyt słabo uzbrojony, aby móc podjąć atak na Bonnarda. Liczyć wyłącznie na wyniki ekshumacji byłoby naiwnością. Powinienem przede wszystkim dotrzeć do informatora pani de Lima, przejrzeć dokumentację przebiegu choroby Bragi, zorientować się lepiej w zakresie i metodach pracy Instytutu Burta. Najlepiej byłoby znaleźć jakiegoś wybitnego specjalistę, niezbyt przychylnie nastawionego do Bonnarda, i poprosić o konsultację... Bonnard na pewno ma wrogów. Pozostawała jeszcze również sprawa Maria Bragi. Dlaczego profesor tak nalegał, abym porozmawiał z chłopcem? Niezależnie od tego, co się za tym kryło, poznanie bliżej syna pani de Lima na pewno nie mogłoby zaszkodzić. To jednak wydawało mi się wówczas zadaniem najłatwiejszym.

Na szosie zwiększyłem szybkość do „studwudziestki”. Byłem już zupełnie spokojny.

IV

Pani Dolores nie było w domu. Drzwi otworzył mi sam gospodarz — tęgi, barczysty mężczyzna o siwiejących skroniach i wypukłych oczach krótkowidza, spoglądających zza szkieł okularów.

— Nie spodziewaliśmy się, że pan dziś przyjdzie. W kancelarii powiedziano żonie, że pan wyjechał... Proszę. Bardzo proszę. Pan pozwoli. To dobrze, bardzo dobrze, że pan przyszedł — nie ukrywał zadowolenia, prowadząc mnie do gabinetu.

— Byłem w Punto de Vista.

— To dobrze. To bardzo dobrze! — ucieszył się gospodarz. — Nie mogliśmy się pana doczekać.

— Czy zaszło coś nowego? — zapytałem siadając w fotelu.

— Sądzę, że... tak — potwierdził de Lima, jakby z pewnym wahaniem. — Może się napijemy? Koniak czy whisky?

— Dziękuję. Ja rzadko piję.

Lecz gospodarz już otworzył podręczny bar i sięgnął po butelkę.

— Jeden kieliszek koniaku nie zaszkodzi.

— Powiedział pan, że macie mi do zakomunikowania jakąś nowinę? — podjąłem pragnąc jak najszybciej przejść do meritum sprawy.

— Otóż to! Właśnie żona próbowała dziś rano dodzwonić się do pana. Jak pan wie, przedwczoraj wróciłem z Londynu... — Nie wiedziałem, ale potakująco skinąłem głową. De Lima był przedstawicielem znanej firmy brytyjskiej i od czasu do czasu wyjeżdżał do Anglii.

— Znam Londyn dobrze — ciągnął gospodarz nalewając koniak do kieliszków. — Spędziłem tam młodość. A pan zna Londyn?

— Owszem. Znam.

— Czy bardzo dobrze?

— To zależy. Ale przepraszam pana, miał pan mówić o jakiejś sprawie... — próbowałem skierować rozmowę na właściwy tor.

— No właśnie! Do tego zmierzam. Więc pan zna dobrze Londyn?

— Zależy którą dzielnicę.

— Słusznie. Słusznie — zgodził się gospodarz. — To zresztą nie ma

znaczenia. Chociaż... Lepiej, gdyby pan znał tę ulicę...

— Jaką ulicę?

— Black River Street.

— Niestety, nie przypominam sobie.

— Widzi pan, jak już mówiłem, znam Londyn dobrze. A tę ulicę w szczególności, bo mieszkał tam jeden z moich kolegów, u którego bywałem w czasie studiów. Teraz również bywam co roku w Londynie i czasem zaglądam na stare miejsca. Tak jakoś człowieka ciągnie... Czytał pan *Próg nieśmiertelności* Bragi? — zmienił nagle temat.

— Właśnie kończę.

— To dobrze. To bardzo dobrze! — ucieszył się nie wiadomo dlaczego. — Czy przypomina pan sobie scenę, jak główny bohater tej książki, no, wie pan, ten malarz, po raz pierwszy konstatuje, że zaczyna ślepnąć? Idzie wtedy ulicą i zdaje mu się, że jest mgła, ale bliższe drzewa dostrzega tak samo niewyraźnie jak dalsze...

— Oczywiście, pamiętam.

— To jest właśnie ta ulica!

— Nie bardzo rozumiem...

— Niech pan posłucha. Ja może nie jestem entuzjastą twórczości Bragi, ale czytam wszystko. Choćby ze względu na Maria. Otóż na tej ulicy są drzewa, tak jak opisuje to Braga. Ale on tych drzew nie mógł widzieć... Nawet na zdjęciu! Mam zresztą takie zdjęcie. Zaraz panu pokażę.

Podszedł do biurka i wziął leżący na nim egzemplarz *Progu nieśmiertelności*. Otworzył książkę i wyjął z niej, wsuniętą jako zakładkę, kolorową widokówkę.

— Proszę, niech pan spojrzy.

Przyjrzałem się uważnie zdjęciu. Przedstawiało ono wąską ulicę o dziewiętnastowiecznej zabudowie. Po obu stronach ulicy ciągnęły się szeregi niewysokich drzew. Sama widokówka nie różniła się niczym od setek podobnych, sprzedawanych w kioskach każdego większego miasta.

— Dlaczego pan sądzi, że Braga nie mógł widzieć tych drzew? — zapytałem kładąc zdjęcie na stoliku.

Twarz Limy przybrała wyraz uroczysty.

— Dlatego, że drzewa te posadzono dopiero cztery lata temu, a więc w dwa lata po śmierci Bragi — wyrzekł głosem z lekka drżącym z przejęcia.

Zastanawiałem się dłuższą chwilę.

— Może po prostu zbieg okoliczności — powiedziałem wreszcie, sięgając po kieliszek. — On nie znał Londynu, a nawet jeśli znał, to nie ma żadnego znaczenia. Wybrał pierwszą z brzegu nazwę ulicy, jaką znalazł w jakimś spisie czy planie, albo mu ktoś po prostu podał... A drzewa to już nic nie znaczący dodatek. Wytwórz fantazji.

— Opis ulicy jest bardzo wierny — nie ustępował de Lima.

— Możliwe, iż ktoś mu o tej ulicy opowiadał, a drzewa były pisarzowi potrzebne do akcji, więc je dorobił.

— Braga lubił operować realiami...

— Więc jeśli nie przypadek, to co?

— Widzi pan... — gospodarz odruchowo zniżył głos. — Zastanawiałem się nad tym długo... I żona też myślała. Jeśli wykluczyć przypadek, to mamy tu dwie ewentualności: albo tej książki José Braga nie pisał i są to tylko apokryfy...

— Nonsens! Czy ktokolwiek z wybitnych twórców, a przecież, zdaniem krytyki, takim wybitnym twórcą jest autor *Progu nieśmiertelności*, pisałby pod obcym nazwiskiem? I to nazwiskiem, które jeszcze parę lat temu było zupełnie nieznanne szerszemu ogółowi? Tę możliwość należy wykluczyć!

— Jest jeszcze druga ewentualność: że Braga żyje i pisze! Że jego śmierć jest fikcją!

— Ale po cóż by to robił?

— Myślę, że w pewnym stopniu odpowiedź na pańskie pytanie daje on sam w tej książce — wskazał leżący na stole tom. — Zazwyczaj największą sławę osiąga się po śmierci...

— No dobrze. Ale jaką rolę spełnia tu profesor Bonnard? Jakiż sens miałyby udział wybitnego uczonego w tak dziwacznych i, bądźmy szczerzy, niezbyt czystych z punktu widzenia prawa machinacjach? Korzyści materialne Instytutu? Ujawnienie prawdy postawiłoby profesora w niezręcznej sytuacji.

— Być może są jeszcze inne przyczyny, o których nie wiemy... W każdym razie jeśli okaże się, że José Braga żyje, będzie można go zmusić do płacenia alimentów na rzecz syna. Mnie tam na tych pieniądzach nie zależy. Odradzałem nawet żonie podejmowanie jakichś kroków prawnych. Ale pan ją zna...

Przypomniało mi to jeden z celów wizyty.

— Czy chłopiec jest w domu?

— Niestety — gospodarz rozłożył bezradnie ręce i jakby się zmieszał. — Maria nie ma.

— A więc wyszedł? Chciałbym się koniecznie z nim zobaczyć.

— Prawdę mówiąc... wyjechał. Ostatnio czuł się niedobrze. Postanowiliśmy wysłać go nad morze.

— Teraz? W połowie roku szkolnego? — zdziwiłem się szczerze.

— No tak. No właśnie. Widzi pan... takie nieszczęście... Uradziliśmy, że przerwie naukę. Strata jednego roku to nie tak wiele. Chodzi o jego zdrowie...

— Zachorował? Na co?

— Właściwie... nic szczególnego — odpowiadał coraz bardziej niepewnie. — Po prostu wyczerpanie nauką. Jak to nieraz bywa... No, a poza tym... W tym wieku młodzież przeżywa wszystko bardzo silnie.

— Co się stało?

— Właściwie nic... Po prostu zachowywał się od pewnego czasu... jak by tu powiedzieć...

— Nienormalnie? Robił awantury?

— Właśnie. Właśnie. Poza tym sądzimy, że to wpływy złego środowiska... Koledzy, koleżanki... Wie pan, jak to bywa. Chcielibyśmy go odsunąć na pewien czas od tych wpływów... No i wyczerpanie nerwowe. Lekarz radził, aby go wysłać do sanatorium.

— Gdzie on jest? — indagowałem uparcie.

— Widzi pan... Był tam zaledwie dwa tygodnie... Przedwczoraj otrzymaliśmy wiadomość, że uciekł. Właśnie żona pojechała...

— Czy zawiadomiono policję?

— Nie, nie... Domyślamy się, gdzie on jest. To już nie pierwszy raz. Żona pojechała po niego.

— Dokąd?

— Myślę, że znajdzie go u brata.

— Księdza Alberdi?

— Tak, właśnie...

— Byłem tam dziś około południa. Ksiądz nic nie wspominał... Przeciwnie: zapraszał was troje, abyście przyjechali w odwiedziny. Czy sądzi pan, że mogła to być gra?

— Nie, nie. Skądże znowu... — zaprzeczył pośpiesznie.

— A może Mario jest w Instytucie Burta?

De Lima spojrzał na mnie z niepokojem.

— Nie. Chyba... nie. Myślę, że Mario jeszcze nie dotarł do Punto de Vista. Ale zjawi się tam na pewno. Żona przywiezie syna. Chyba jutro wróca.

— Jest pan tego pewny?

— Nnno... — ociągał się z odpowiedzią. — Może Mario zostanie na parę dni u szwagra. Ale żona wróci jutro!

Postanowiłem zagrać w otwarte karty.

— Niech pan mi powie, czy konflikt między wami a synem, bo o to tu chyba chodzi, nie wiąże się w jakiś sposób z osobą Joségo Bragi?

Gospodarz chwilę milczał. Widocznie zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu sięgnął po butelkę i odrzekł:

— Pośrednio. Tylko pośrednio!

— Co pan przez to rozumie?

— Mario był przywiązany do swego ojca. Poza tym... wie pan, jak to jest... Chłopcu imponuje, że jest synem wielkiego pisarza. Żona jest nieco innego zdania... Zwłaszcza o pewnych cechach charakteru zmarłego — powiedział nalewając koniaku.

— Rozumiem. Czy chłopiec odwiedza profesora Bonnarda?

Ręka trzymająca butelkę zadrżała. Kilka kropel koniaku spłynęło po brzegu kieliszka.

— Nie! Chyba nie... — zaprzeczył niezbyt pewnie. — Mario był, co prawda, kilka razy w Instytucie u ojca, jeszcze przed jego śmiercią... ale...

— Byłem dziś u Bonnarda w waszej sprawie. Poradził mi, abym zapytał się o zdanie samego Maria — powiedziałem pozornie obojętnym tonem.

Znów przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Nie miałem zamiaru podawać dal — szych szczegółów swej wizyty w Instytucie, a zwłaszcza wspominać o przyjęciu, z jakim się tam spotkałem. Gospodarz zaś nie kwapił się z podjęciem tematu.

— Nie wiem, co miał na myśli profesor Bonnard — powiedział wreszcie. — Ale czy to może mieć jakieś znaczenie? Mario jest niepełnoletni. To chłopiec trudny, nieobliczalny... Zresztą mogę pana zapewnić, że konflikt między moją żoną a jej synem nie miał absolutnie

nic wspólnego ze spadkiem. Maria w ogóle sprawy finansowe nie interesują!

— No dobrze. Dlaczego jednak nie powiedział mi pan od razu, że żona wyjechała po syna?

— Pan nie pytał. Zresztą sądziliśmy, że rodzinne nieporozumienia nic tu nie wnoszą do sprawy.

— Jestem innego zdania — odparłem sztywno.

— Panie mecenasie — podjął gospodarz siłąc się na uśmiech. — Niech pan nie myśli, że chcieliśmy coś ukryć przed panem. To nieporozumienie! Jeśli zaś chodzi o Bonnarda, to po ekshumacji przekonamy się, jaką minę będzie miał pan profesor...

— Więc żądacie państwo w dalszym ciągu przeprowadzenia ekshumacji? Ksiądz Alberdi się sprzeciwia.

— Taak? — zdziwił się czy też tylko udał zdziwienie. — Ale niech się pan tym nie przejmuje. Zgodzi się na pewno. Mam znajomości w kurii.

— Rozumiem. Może wystarczy jednak, aby pani Dolores porozmawiała z bratem.

— Obawiam się, że to odniesie wręcz przeciwny skutek od zamierzonego.

— Tak... Z księdzem Alberdi niełatwo dojść do porozumienia. A co pan o nim sądzi?

De Lima sięgnął znów po butelkę, ale spostrzegł, że kieliszki są pełne, więc ręka zawisła w pół drogi.

— Ja księdza Alberdi... nie znam — odrzekł z ociąganiem. — To znaczy... znam go tylko z opowiadań żony... i Maria. Niech mi pan wierzy, nigdy z nim nie rozmawiałem... Nie widziałem go nigdy na oczy. Widzi pan... Dolores rozwiodła się z Bragą i poślubiła mnie. Nasze małżeństwo nie mogło być uznane przez kościół... Dopiero po śmierci Joségo mogliśmy wziąć ślub kościelny. Alberdi nie chciał wybaczyć swej siostrze, że odeszła od pijaka, który ją tyranizował... Brat żony to człowiek twardych zasad. Chociaż uważa się za postępowego... Czy pan wie, że miał nawet z tego powodu kłopoty?

— Dlatego dano mu taką nędzną parafię?

— I tak, i nie. Raczej... sam sobie winien. Gdyby się trochę pokręcił, na pewno daliby mu lepszą. Ale on nie chciał. Dziwny człowiek. Żona twierdzi, że w seminarium i na studiach wyższych wrócono mu dużą

kariere. Przed laty wyszła nawet jakaś jego praca z apologetyki.

— Jeszcze obecnie widać to po jego bibliotece...

— Zmarnował szansę życiową. Mógł być dziś biskupem... Zachciało mu się zostać księdzem nowoczesnym. W tym czasie modne stało się zdobywanie praktycznego doświadczenia duszpasterskiego w trudnych środowiskach. Podobno początkowo nie chciano go puścić. W końcu skierowano go do Punto de Vista. Było to rzeczywiście środowisko trudne. Element zacofany. Pijaństwo, demoralizacja, lenistwo, a co za tym idzie — nędzna wegetacja. Zresztą chyba sam pan widział. Niewiele się tam zmieniło. Niewielki ma wpływ ksiądz Alberdi na swe owieczki.

— Dlaczego więc pozostał?

— Głupia ambicja. Chciał pokazać, że potrafi wychować tych nicponiów. Wkrótce po jego przyjeździe zachorował i zmarł proboszcz tej parafii i Alberdi został sam jej gospodarzem. Ale nie był typowym księdzem wiejskim i nie wiedział, jak się zabrać do tych ludzi. Uparł się jednak, że odejdzie dopiero wtedy, gdy nastąpi wyraźna poprawa... A potem... chyba się przyzwyczaił. Były zresztą okresy, że nie miał łatwego życia. Naraził się niepotrzebnie administratorowi tamtejszych majątków... Gdyby nie moja żona, musiałyby wówczas pożegnać się z parafią. Może zresztą byłoby to dla niego lepiej...

— Czy ksiądz Alberdi przyjaźnił się z Josém Bragą?

De Lima wzruszył ramionami.

— Trudno to nazwać przyjaźnią. Podobno ciągle się kłócili. Musi pan wiedzieć, że Braga był ateistą. Jednakże, co rzuca też pewne światło na mentalność mego szwagra, Braga już po rozejściu się z Dolores przesiadywał miesiącami na plebani!. Co więcej, Alberdi załatwił, że pochowano go na cmentarzu, co prawda, tuż przy murze, ale to zawsze miejsce poświęcone. Widać nie wobec każdego jest on rygorystą.

— Może udało mu się nawrócić Bragę?

— Raczej odwrotnie — zaśmiał się gospodarz.

— Czyżby pan podejrzewał, że ksiądz Alberdi nie wierzy?

— Nie to miałem na myśli. Widzi pan... — de Lima zniżył głos — Braga był komunistą...

— Nigdy o tym nie słyszałem — wtrąciłem zdziwiony.

— Być może do partii komunistycznej nie należał, ale z tego, co wiem od żony, to z pewnością był sympatykiem komunizmu. Dziś się o

tym nie pisze, ale tak było. Zresztą jak tak dobrze wczytać się w jego książki, to w każdej coś się znajdzie... Otóż Alberdi ulegał jego wpływom i niepotrzebnie wtrącał się, gdzie nie należy.

— Sądzi pan, że Alberdi jest sympatykiem komunistów?

— Nie przypuszczam. Był, co prawda, swego czasu zwolennikiem Dartesa, ale to co innego. Po pożarze zresztą bardzo się uspokoił.

— Jakim pożarze?

— Widział pan, jak mieszka? To jest dom ogrodnika. Plebania była przedtem bliżej kościoła. Stoją pewnie mury.

— Miał szczęście, że biblioteka ocalała — zauważyłem mimochodem.

— On się przeniósł do tej budki już wcześniej! To właśnie pod wpływem Bragi. Podobno od lat namawiał księdza, aby zamienił plebanię na szkołę. Alberdi nie bardzo się kwapił, zwlekał... Nie dziwię mu się zresztą. Po śmierci Bragi zdecydował się jednak. No i odwdzińczyły mu się jego owieczki... W czasie remontu zaproszono ogień. I tak został księżzulo bez plebanii... — umilkł i zamyślił się. — Może jeszcze koniaku? — przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza.

— Dziękuję. Ciekawi mnie jeszcze jedno: dlaczego Braga leczył się w Instytucie Burta? Czy wie pan coś na ten temat?

— To bardzo proste. Kiedy Mario miał trzy lata, Dolores spędziła z synem i mężem lato w Punto de Vista. Poznali wówczas Bonnarda przy jakiejś okazji. Prawdopodobnie u Alberdiego lub też u da Silvy. Wówczas jeszcze, za rządów Dartesa, Bonnard bywał czasem u da Silvy.

— Teraz nie bardzo się lubią?

— Nie o to chodzi... Da Silva to zresztą uroczy człowiek, dżentelmen w każdym calu. Czego nie można powiedzieć o Bonnardzie...

— Zna go pan osobiście? — zapytałem dzielając w duchu opinię gospodarza.

— Owszem. Poznałem go u da Silvy. Konflikt ma tu głębsze podłoże — wrócił do tematu. — Że tak powiem: materialne. Da Silva był akcjonariuszem sanatorium, w którym mieści się obecnie Instytut.

— Nie otrzymał odszkodowania?

— Tu nie o to chodzi. Mogliby przecież przenieść Instytut gdzie indziej. Zachciało się Burtowi zniszczyć tak piękną lecznicę... Dziś, gdyby nie wpływy Bonnarda, sprawa byłaby do załatwienia.

— Rozumiem. Więc mówi pan, że wówczas przed laty Bonnard zaprzyjaźnił się z Bragą?

— W każdym razie w tym czasie się poznali. Gdy później siedział u Alberdiego, często jeździł do Instytutu. Potem, gdy zachorował, zajął się nim Bonnard. Braga był zresztą bez grosza...

— Czy Alberdi widział Joségo Bragę po śmierci?

De Lima rozłożył bezradnie ręce.

— Tego nie wiem. Szkoda, że się pan go nie zapytał. Jedno jest pewne — on chował zwłoki...

— Zastanawiam się, czy w świetle tego, co od pana usłyszałem, jest sens domagać się ekshumacji.

— Jak najbardziej! Oczywiście teraz nie będzie pan potrzebował wnosić oskarżenia przeciw Bonnardowi. Moje odkrycie ułatwia sprawę, prawda? Wtedy miał pan może słuszne obiekcje, że oskarżanie profesora byłoby ryzykowne, ale teraz... Sytuacja jest zupełnie inna. To już nie jest posądzenie o morderstwo, a tylko próba stwierdzenia, czy czasem... nieboszczyk nie uciekł z grobu — zaśmiał się sztucznie. Zastanawiałem się chwilę.

— Jakie jest naprawdę pańskie zdanie? — podjąłem patrząc z uwagą w twarz de Limy. — Przecież pańska żona mówiła, że wie z pewnych źródeł, iż na Bradze przeprowadzano niedozwolone eksperymenty. Te dwie wersje są sprzeczne.

— Nie wiem. Naprawdę nie mam tu żadnego zdania. Może są sprzeczne, a może nie. Zobaczymy. Zobaczymy po ekshumacji!

— Porozumiem się z sędzią śledczym — powiedziałem wstając. Czułem, że niczego więcej na ten temat tu się nie dowiem.

— Oczywiście nie będzie pan nic wspominał o pierwszych podejrzeniach — mówił gospodarz odprowadzając mnie do drzwi. — Sprawa jest jasna. Chodzi o prawdę. Choćby w trosce o historię literatury. Żeby nie było jak z Szekspirem... W każdym razie prasa będzie miała o czym pisać.

Niegłupi ten de Lima — myślałem wychodząc na ulicę. — Oczywiście węższą, gdzie mogą, bo to ich interes. Ale z tymi drzewami to naprawdę dziwna sprawa. Może coś w tym jest?

Postanowiłem, że zanim podejmę następny krok w tej sprawie, porozmawiam z Katarzyną. Jej autorytet jako filologa i znawcy

twórczości Joségo Bragi będzie rozstrzygający. Długo rozmawialiśmy przez telefon. Była bardzo sceptycznie nastawiona do hipotezy Limy. Umówiliśmy się, że wpadnę do niej następnego dnia na śniadanie.

V

— Jak ty to robisz, Katarzyno? Wyglądasz coraz młodziej!

Rozparłem się swobodnie w miękkim fotelu, spoglądając z ukontentowaniem na zgrabną sylwetkę gospodyni.

— Nie pleć głupstw. Wiem dobrze, jak wyglądam. Nie spałam prawie wcale. Przypominam zmoreę... — westchnęła stawiając na stole tacę ze śniadaniem. — Ale spać mi się nie chce. Nie wyobrażasz sobie, jak jestem podniecona! Całą noc siedziałam nad Bragą i, doprawdy, sama nie wiem, co o tym sądzić. To rzeczywiście sensacja... Znalazłam jeszcze cztery innego rodzaju przykłady.

— A jednak daj sobie powiedzieć... Gdy na ciebie patrzę, to czuję się co najmniej o piętnaście lat młodszy. Szkoda, że nie mam u ciebie żadnych szans. Oddajesz bez reszty swe noce Josému Bradze.

— Nie masz do zazdrości żadnych praw. A jeżeli chodzi o Bragę, to niestety jest to miłość platoniczna.

— Ba! Gdybym był pewny, że on naprawdę nie żyje... — rzuciłem niby żartem.

Przerwała nalewanie kawy do filiżanki i popatrzyła na mnie z powagą.

— Więc myślisz, że tu należy szukać rozwiązania zagadki tych „zdolności wieszczych”?

— Na razie nie mam żadnego własnego zdania. De Lima być może wie więcej, niż chce powiedzieć. Postaram się dziś zdobyć zezwolenie na ekshumację.

— W grobie mogą być zwłoki innego człowieka. Chyba to zupełnie możliwe? Gdyby to była mistyfikacja... Wyobrażam sobie! Co za historia...

— Jeśli szkielet będzie dobrze zachowany, nie widzę trudności z identyfikacją. Braga jako czteroletni chłopiec był ranny...

— Wiem... Wtedy zginęli jego rodzice. Więc to ma być dowodem?

— Tak. Brakowało mu dwóch żeber.

— Ktoś mógł spreparować zwłoki. Przecież dla chirurga to nie żadna sztuka.

— A właśnie cały szkopuł w tym, że tego nie da się spreparować.

Przecież to ubytki z wczesnego dzieciństwa, dające charakterystyczne zmiany organiczne. Badałem tę sprawę i radziłem się znajomego eksperta sądowego. Jeśli mam być szczery, to nie wierzę zresztą, aby Bonnard poszedł tak daleko... W ogóle wydaje się nieprawdopodobne, aby wybitny uczony...

— Ja też tak myślę — skinęła głową Katarzyna. — Nie zmienimy jednak faktu, że utwory Bragi zawierają nader dziwne przeskoki w przeszłość, jeśli można to tak nazwać. Ale ty nic nie jesz!

Zgarnęła na mój talerz kilka kawałków szynki.

— Więc myślisz, że przypadek należy wykluczyć? — zapytałem po chwili, przerywając jedzenie.

— W zasadzie nigdy nie można wykluczyć przypadku! Prawdopodobieństwo jest jednak bardzo małe, zwłaszcza że to, co odkrył de Lima, nie jest jedynym przykładem. Prawdę mówiąc na te drzewa nigdy bym nie wpadła. Skąd mogę wiedzieć, w jakim mieście, na jakiej ulicy, kiedy posadzono drzewa?

— Jakiego rodzaju są twoje odkrycia?

Katarzyna wyszła do sypialni i przyniosła dwie książki, z których wystawało kilka pasków papieru.

— Spójrz! O tu — otworzyła jedną z książek w założonym miejscu i wskazała palcem podkreślony fragment jakiegoś wiersza w tekście.

— „...zmiecie ostatni żółtkły ślad jesieni” — przeczytałem głośno. Słowo „żółtkły” było podkreślone dwukrotnie.

— Nie bardzo rozumiem, o co chodzi — powiedziałem podnosząc wzrok znad książki.

— Jest to wiersz Willera w tłumaczeniu Stelli Ribero. Otóż Braga cytując ten fragment posłużył się wydaniem z 1981 roku. Różni się ono nieco od wydania pierwszego z roku 1974. Między innymi słowo „żółty” tłumaczka zastąpiła słowem „żółtkły”.

— Rozumiem. Jeśli zmarł w 1979 roku, nie mógł mieć w rękę drugiego wydania. Ale przecież zmiana mogła być dokonana przez redaktora *Progu nieśmiertelności* w wydawnictwie. Mógł on uważać, że trzeba się tu oprzeć na późniejszym tłumaczeniu.

— To nietrudno będzie sprawdzić. Ale nawet jeśli to jest poprawka redakcyjna, trzy inne przykłady rozstrzygają.

Otworzyła tom w innym miejscu.

— Pokaż — wyciągnąłem rękę po książkę.

— Niestety — uśmiechnęła się podając mi foliał. — Wątpię, czy cokolwiek będziesz w stanie dostrzec. Czy znasz Szalaya?

— To, zdaje się, jakiś pisarz?

— Zdaje się! — powtórzyła z ironią. — Imre Szalay, laureat Nobla! O tym powinien wiedzieć każdy kulturalny człowiek!

— Widocznie nie jestem kulturalny — odparłem z przekąsem.

— Jeśli istotnie chcesz wygrać sprawę Bragi, musisz zabrać się do czytania współczesnej prozy. Tak, mecenasie, nie ma rady, Chodzi bowiem o to, że ten Szalay stał się głośny pięć, sześć lat temu. Nobla otrzymał trzy lata temu i mniej więcej w tym samym czasie ukazało się u nas pierwsze tłumaczenie. Tymczasem jestem przekonana, że na twórczość Bragi, przynajmniej jeśli chodzi o *Zmierzch* i *Próg nieśmiertelności*, miał w poważnym stopniu wpływ właśnie Szalay.

— A mówią, że Braga to prekursor, awangarda...

— To nie ma nic do rzeczy. Niewątpliwie tym, co jest najcenniejsze u Bragi, to jego umiejętność łączenia niezwyklej dynamiki konstrukcji z zaskakującymi w swej śmiałości chwytami formalnymi. Z pozoru całe postępowanie bohaterów, cała intryga, ba! całe ustawienie akcji wydaje się sprzeczne z logiką. A tymczasem mamy tu do czynienia z pełną precyzją myśli i głęboką treścią filozoficzną. W tej umiejętności ukazywania tego, co jest najistotniejsze, jest Braga na pewno mistrzem najwyższej klasy. Nie znaczy to jednak, iż — jak każdy żywy człowiek, tworzący w określonych warunkach i poddany oddziaływaniu tych warunków — nie ulegał świadomie czy nawet nieświadomie różnym wpływom. Nie ma się też co dziwić, że mógł być to wpływ Szalaya. Rzecz jednak w tym, że trudno dociec, jak to było w ogóle możliwe!

— Może czytał tego Szalaya w oryginale czy nawet w maszynopisie?

— Nonsens! Braga nie znał węgierskiego.

— Czy jednak taki wpływ można wyraźnie, jednoznacznie stwierdzić? Na czym on polega?

— W zasadzie najjaskrawiej występują podobieństwa w metodzie opisu i sposobie charakterystyki postaci. Zdarzają się również zbieżności w użyciu pewnych zwrotów, zresztą, rzecz jasna, chodzi tu o zbieżności z przekładem. Te zapożyczenia mają przeważnie charakter nieświadomy. Są niedostrzegalne nie tylko dla twórców, ale i dla przeciętnego odbiorcy.

— Powiem ci szczerze: wszystko to jest zbyt skomplikowane na mój rozum. Ale nawet przyjąwszy bez dowodu, że jest tak, jak mówisz, czy można wysnuć jakiś konkretny wniosek w sprawie Bragi? Czy jesteś pewna, że Braga zapożyczał od Szalaya i tłumacza? A może wszyscy trzej zapożyczali od kogoś czwartego? Przecież z twoich słów zdaje się wynikać, że nawet musieli zapożyczać! Bo przecież Szalay też nie korzystał z objawienia bożego! I tłumacz również uczył się tłumaczyć na różnych wzorach.

Katarzyna stropiła się nieco.

— Taka możliwość istnieje, ale... to bardzo mało prawdopodobne. Nie! W praktyce należy ją odrzucić — zastanawiała się przewracając machinalnie kartki książki. — Zbieżność jest zbyt wyraźna. Zresztą... Można będzie sprawdzić.

— Co sprawdzić? Chcesz dać jeszcze jakiemuś specowi?

— W pewnym sensie... Wezmę na komputer... Nasz wydział ma zagwarantowane sześćdziesiąt godzin rocznie w uniwersyteckim ośrodku obliczeniowym, a wykorzystaliśmy dotąd dwanaście. Okoliczności są o tyle sprzyjające, że w tym tygodniu nietrudno będzie się docisnąć. Ponadto Martinez ma już zakodowanego Szalaya. Automat potrafi w ciągu dziesięciu godzin zakodować całego Bragę i przygotować program analizy porównawczej. Pojutrze mogę mieć wyniki.

— Nie znam się na tych waszych maszynach i ta cała abrakadabra nie robi na mnie wrażenia — powiedziałem wzruszając ramionami. — Powiedz lepiej, co nam da konkretnie to liczenie.

— Nie rozumiesz? — zdziwiła się, chyba szczerze. — To, nad czym całą noc przesiedziałam. WS-140 robi w ciągu dwudziestu sekund. A jeśli dać maszynie parę godzin i solidne wytyczne, dostaniesz cały usystematyzowany zestaw zbieżności, zapożyczeń, podobieństw, i to nie tylko prostych, ale i złożonych! Podwójnie, potrójnie przetransponowanych! I na dokładkę przy każdym przykładzie dane dotyczące prawdopodobieństwa przypadku. A gdyby mi pozwolono wykorzystać cały przydział czasu, to powiem ci nawet dokładnie, jak się zmieniał styl i stan wiedzy, a nawet nastrój twórcy, to znaczy Bragi, w czasie jego krótkiego życia. Powiem ci, z całą pewnością, czy *Próg nieśmiertelności* był napisany wcześniej od *Zmierzchu*, a *Złoty most* od *Studni*, czy później.

— A tak, bez tego komputera to nie potrafisz?

— Owszem, mam nawet na ten temat własne zdanie. Ale nigdy nie ma się pewności. Maszyna dostarcza dowodów statystycznych.

— Słyszę, jak się w grobie przewracają profesorowie twoich profesorów. Ja jednak jestem widocznie człowiekiem starej daty. Ten mariaż filologii z matematyką zawsze mi pachnie mezaliansem.

Spojrzała na mnie z oburzeniem.

— Nie rozumiesz, że to tylko narzędzie? Gdy tak sobie pomyślę, jak to przed pięćdziesięciu czy stu laty trzeba było ślęczyć całe dziesięciolecia nad grubymi foliałami, aby poznać zaledwie zarys prawidłowości, bardzo mi żal moich poprzedników.

— Jak dawno znasz Bonnarda? — zmieniłem temat.

— O o o, dawno... Poznałam go chyba siedem lub osiem lat temu. Przez profesora Siccardi. Byłam wtedy jego asystentką. Profesor polecił mi przejrzeć teczkę maszynopisów, które otrzymał od Bonnarda z prośbą o opinię. Były to właśnie próbki twórczości Bragi.

— Jesteś więc jego odkrywczynią?

— Raczej krytykiem, i to surowym. Dziś te pierwsze uwagi wydają mi się śmieszne...

— Ale chyba go nie zdyskwalifikowałaś?

— Tak źle nie było. W ocenie nie brakło zwrotów w rodzaju: „wykazuje zacięcie”, „ujawnia talent epicki”, „zapowiada pisarza o dużych ambicjach”... Ale, szczerze mówiąc, wówczas jeszcze go nie rozumiałam. Czułam wybitny talent, lecz bynajmniej nie porwał mnie od razu. Dopiero stopniowo, wczytując się, poczyynałam smakować i ulegać urokowi tego, co jest w nim niezwykle. Właśnie w związku z tą pierwszą oceną byłam w Instytucie Burta u Bonnarda. Dał mi potem jeszcze inne teksty.

— To może i Bragę znałaś osobiście?

— Znałam... — potwierdziła lakonicznie i umilkła, patrząc w zamyśleniu na trzymaną w dłoni filiżankę.

— Nigdy nie wspominałaś... To było tam, w Instytucie Burta?

Katarzyna skinęła głową.

— Kiedy ostatni raz go widziałaś? — indagowałam coraz natarczywiej. — To znaczy, ile dni czy tygodni przed śmiercią?

— Gdzieś w maju 1978 roku. To chyba będzie blisko rok przed

śmiercią.

— Jak on wówczas wyglądał?

— Cóż, nie za dobrze. Był wtedy na obserwacji.

— Później już go nie widziałaś?

— Nie. W czasie kuracji profesor Bonnard zakazał wszelkich wizyt. Napisał tylko do mnie... — urwała.

— Bonnard?

— Nie. Braga. Pisał, że czuje się lepiej, że bardzo żałuje, że nie może się ze mną zobaczyć, że ma nadzieję, iż kiedyś jeszcze pogadamy...

Wydało mi się, że dostrzegam w oczach Katarzyny łzy wzruszenia. Być może nie była to tylko taka sobie znajomość.

— Często widzisz się z Bonnardem?

— Od śmierci Bragi w zasadzie kontakt się urwał. Dopiero teraz, niedawno, w czasie audycji telewizyjnej... Ale to była tylko przelotna rozmowa. Na temat twórczości Bragi rozmawiałam po raz ostatni z profesorem gdzieś na początku 1982 roku. Pytałam go wówczas, czy Braga nie zostawił jakiegoś utworu. Odrzekł, że tak, że są u niego maszynopisy i sam ma zamiar zająć się ich wydaniem.

— Nie chciał ci pokazać tych manuskryptów?

— Pytałam go o to. Obiecał, że zadzwoni do mnie lub do Siccardiego. Ale nie zadzwonił. Widocznie zapomniał. A potem już zaczęły się ukazywać książki.

— Mogłabyś go odwiedzić. Powiedzmy znaleźć jakiś pretekst...

Spojrzała na mnie przenikliwie.

— Jeśli mi przyrzekniesz, że nie będziesz próbował wykorzystać mnie w jakiejś intrydze godzącej w Bragę...

— Przyrzekam — potwierdziłem pospiesznie. — Co do Bonnarda nie masz chyba skrupułów?

— Nie wiem — powiedziała po chwili zastanowienia. — Przede wszystkim chodzi o prawdę.

— I ja tak myślę. Aha! Jeszcze jedno: czy znasz syna Bragi?

— Widziałam go raz w klinice. Miał wtedy dziewięć lub dziesięć lat. Pewno już wyrósł... Był bardzo podobny do ojca.

Zamyśliła się i jakby przygasała.

— Więc przyjeżdżał dość często do Instytutu?

— Tego nie wiem. Braga wyrażał się o chłopcu bardzo ciepło. Musiał

go kochać.

— Może chłopak wie coś bliższego o okresie poprzedzającym śmierć.

— Możliwe. Dobrze byłoby z nim pogadać.

— Jest zresztą i drugi powód. Chciałbym stwierdzić, czy istnieje obecnie kontakt między nim a Bonnardem. Czy pozwolisz, że zadzwonię od ciebie do de Limów? Matka chłopca pojechała na wieś po niego i powinna była już chyba wrócić.

— Proszę bardzo. Ja sprzątnę ze stołu.

Usiadłem za biurkiem, przysunąłem sobie telefon i wykręciłem numer. Niemal natychmiast odezwał się de Lima. Gdy usłyszał moje nazwisko, aż krzyknął z podniecenia:

— Ach, to pan, mecenasie?! No, nareszcie! Wydzwaniam od godziny i nigdzie nie mogę pana złapać. Niestety, mamy nowy kłopot... Żona dzwoniła z Punto de Vista. Mario znów uciekł!

— Jak to „znów”? Przecież miał być u księdza Alberdi?

— Dziś w nocy udało się go złapać na drodze w pobliżu Punto. Wydawało się, że już ma dosyć awantur. W czasie podróży do domu zatrzymali się na śniadanie w jakimś przydrożnym barze. Mario wyszedł umyć się i... zniknął. Żona czekała, a jego już nie było. Obawiamy się, że on znów wróci do Punto de Vista, i chcemy pana prosić o pomoc.

— Nie bardzo rozumiem. Cóż ja tu mogę zdziałać?

— Sprawa jest delikatna. Powiedziałem żonie, iż rozmawialiśmy wczoraj szczerze i mam pełne zaufanie do pana. Musi pan koniecznie pojechać do Punto. Bardzo prosimy... Oczywiście pokryjemy wszystkie koszty. Żona czeka na pana w „casa grande”, u pana da Silvy. Trzy kilometry od wsi. Każdy dzieciak wiejski panu wskaże. Bardzo prosimy! To sprawa pilna.

Byłem zaskoczony propozycją.

— O co właściwie chodzi?

— Przepraszam bardzo, ale najlepiej żona panu wytłumaczy. Tam na miejscu. Pojedzie pan?

Nie miałem zamiaru stwarzać sztucznych przeszkód.

— Chciałem, co prawda, tę niedzielę spędzić w domu, ale jeśli to sprawa tak pilna, pojedę.

— Bardzo się cieszę! — de Lima rozpływał się w podziękowaniach.

— Będziemy panu niezmiernie wdzięczni! Więc mogę zawiadomić żonę telefonicznie, że pan już jedzie?

— Tak. Najpóźniej za godzinę ruszam.

Położyłem słuchawkę i spojrzałem na Katarzynę, która stała w drzwiach zaintrygowana rozmową. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Czy jesteś dziś bardzo zajęta?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Chciałbym ci zaproponować wycieczkę.

Mrugnęła porozumiewawczo.

— Punto de Vista?

— Tak. Być może przy okazji odwiedzisz profesora Bonnarda... No, co? Zgoda?

— Obawiam się, że ci zasną po drodze. A kierowcy tego nie lubią.

— Pozwolę ci spać, ile tylko zechcesz. No, jedziemy?

— Jedziemy! — uśmiechnęła się, ale zaraz jakby cień przebiegł po jej twarzy.

— Czy to chodzi o ekshumację?

— Nie sędzę.

Widziałem, jak odetchnęła z ulgą.

VI

Katarzyna była rzeczywiście bardzo zmęczona i przespała prawie całą dwugodziną podróż. Obudziła się dopiero, gdy zatrzymałem wóz w pobliżu Punto de Vista, aby zapytać o drogę do „casa grande”.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała ziewając.

— Za dziesięć minut powinniśmy być na miejscu.

Przeciągnęła się z westchnieniem i sięgnęła do torebki po kosmetyczkę.

— Po co my właściwie tam jedziemy? — zapytała po chwili.

— Już ci mówiłem, że nie wiem. Mam się spotkać z panią de Lima. A ty, co o tym wszystkim myślisz?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Zagadka może mieć wiele rozwiązań...

— Nawet jeśli odrzucimy hipotezę, że José Braga żyje?

— Nawet wówczas. Według mnie wchodzi w grę trzy możliwości: apokryf, konspiracja lub kompozycja maszynowa. Niemniej żadna z tych hipotez nie wyjaśnia wszystkiego. A nawet każda tworzy nowe problemy.

— Co to za hipotezy?

— Rozważmy po kolei. Możliwe, że ktoś naśladuje Bragę. Pisze po jego śmierci apokryfy, tworzy „pod niego”, jak van Meegeren tworzył nowe obrazy Vermeera. Oczywiście musi to być człowiek o dużym talencie. Nie mniejszym niż samego Bragi. Być może zresztą, Braga pozostawił jakieś zapiski — konspekty czy nawet fragmenty dzieł, które stwarzają podstawę dla kontynuowania jego twórczości. Nie byłyby to w tym przypadku apokryf, lecz dzieło wspólne, w którym jeden ze współautorów pozostaje w konspiracji. Istnieje w twórczości Bragi wyraźna ewolucja, a nawet pewnego rodzaju zastanawiający skok jakościowy. Ten skok dziwnie wiąże się z ostatnimi czterema pozycjami... A przecież posiadacza maszynopisów nie obowiązuje chyba kolejność publikacji?

— Istotnie. Przeglądałem testament. Tego rodzaju zastrzeżeń nie ma.

— Bonnard mógłby wydawnictwu przekazać najpierw *Próg nieśmiertelności* i *Zmierzch*, a później dopiero *W studni* i *Złoty most*. Tymczasem *Złoty most* i *W studni*, wydane wcześniej, są niewątpliwie także napisane przed *Zmierzchem* i *Progiem nieśmiertelności*. To nietrudno stwierdzić nawet bez pomocy cyfrowki. Ewolucja ma zresztą wyraźną tendencję wzrostową. Wykazuje coraz pełniejsze dojrzewanie talentu. Porównaj *Złoty most* ze *Zmierzchem*. Czuje się, że choć pisał to ten sam człowiek, *Zmierzch* stanowi jakościowo znacznie wyższy gatunek literacki.

— Ba! Czy to istotnie pisał ten sam człowiek?

— Ze statystycznej analizy stylu zdaje się wynikać, że tak. Ale załóżmy, że ostatnio wydane dwie powieści, tom opowiadań i dwie sztuki napisał nie Braga, lecz jakiś inny pisarz. Nasuwa się przede wszystkim pytanie: po co? Dlaczego tak wybitny twórca nie pisze pod swoim nazwiskiem? Jeśli nawet opierał się na konspekcie czy korzystał z fragmentów dzieł Bragi, dlaczego to ukrywa? I dlatego sądzę, że chodzi tu zupełnie o co innego. To musi być eksperyment. Naukowy eksperyment! Oczywiście i tu nasuwają się pytania bez odpowiedzi, ale jest ich znacznie mniej.

— Co nazywasz eksperymentem?

— Tych nowych dzieł, być może, nie stworzył ani Braga, ani też żaden inny pisarz. Co najwyżej mógł je jakiś pisarz korygować.

— No więc kto? — zdenerwowałem się już, bo minęliśmy rozdroże i ujrzałem przed sobą szeroką, wysadzaną eukaliptusami aleję, na której końcu za ażurową bramą błyszczały w słońcu kolorowe ściany dużej nowoczesnej willi.

Kompozycja maszynowa! Próby tworzenia literatury z pomocą maszyn... Przypuszczenie wydało mi się fantastyczne, lecz nie było już czasu na dyskusję. Dojechałem do zamkniętej bramy i dałem sygnał. Niemal natychmiast zjawił się wysoki, ubrany z miejska Metys i bez słowa otworzył ciężkie, kute artystycznie skrzydła wrót. Okrążywszy kwietnik przed willą, wjechałem na podjazd, zatrzymując samochód tuż przy głównym wejściu. Na schodach czekała Dolores de Lima w towarzystwie pana domu.

Da Silva był postawnym, niemłodym już mężczyzną o bujnej ciemnej czuprynie i twarzy rzymskiego senatora, jak później określiła go

Katarzyna. Miał na sobie świetnie skrojony, jasny garnitur, a każdy ruch czy słowo znamionowało światowca.

Pani de Lima była wyraźnie zaskoczona obecnością Katarzyny i bynajmniej nie próbowała tego ukryć. Da Silva — przeciwnie — jak przystało na gospodarza i dżentelmena w każdym calu, nie okazał w najmniejszym stopniu zdziwienia, nawet parokrotnie z ostentacją podkreślił swą radość „z tak miłych odwiedzin”. Myślę zresztą, że nie była to tylko kurtuazja...

Po prezentacji pan domu poprowadził nas do baru, gdzie lokaj w nieskazitelnym smokingu przygotowywał już napoje chłodzące i cocktaile. Wnętrze willi było zresztą świetnie klimatyzowane, tak iż nie odczuwało się zupełnie upału panującego na dworze. Zasiadliśmy w fotelach i da Silva dał dyskretny znak lokajowi, że już jest niepotrzebny.

— Słyszałem od męża pani, że nastąpiły pewne komplikacje... — zwróciłem się do pani de Lima zagajając rozmowę.

Moja klientka nie podjęła jednak tematu.

— Pani doktor jest z zawodu prawnikiem czy lekarzem? — zapytała Katarzynę dość obcesowo.

— Ani jedno, ani drugie. Jestem filologiem — odparła z uprzejmym uśmiechem Katarzyna.

Trzeba było jak najszybciej rozładować sztywną atmosferę.

— Doktor Dali prosiłem o pomoc w naszej sprawie. Jest ona wybitnym znawcą twórczości Joségo Bragi i jej badania potwierdzają odkrycie pani męża — usiłowałem rozproszyć obawy pani de Lima.

— Ach, to świetnie! — da Silva skłonił z lekka głowę w stronę Katarzyny. — Głos naukowca może mieć tu znaczenie zasadnicze.

— Więc pani też przypuszcza, że José żyje — powiedziała pani de Lima raczej w formie twierdzenia niż pytania.

— Wydaje mi się to mało prawdopodobne — odpowiedziała Katarzyna z wdziękiem, lecz stanowczo. — Nie widzę sensu mistyfikacji.

Pani de Lima zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem.

— Nie rozumiem. Więc...

— Zgadza się z panią doktor w pełni — nie pozwolił jej dokończyć da Silva. — To byłoby zbyt proste rozwiązanie zagadki.

— A więc?... — Pani de Lima patrzyła na Katarzynę z coraz większym niepokojem i nieufnością.

— Sądzę, że nie można wykluczyć — podjęła Katarzyna z pewnym ociąganiem — że twórczość Bragi jest kontynuowana z pomocą maszyn. Tego rodzaju eksperymenty, teoretycznie biorąc, są zupełnie możliwe. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że przy użyciu zwykłych maszyn liczących nie można jeszcze dziś zrealizować takiego przedsięwzięcia. Nie zapominajmy jednak, że Instytut Burta pracuje nad neurodyną, której właściwości nie są jeszcze co prawda w pełni zbadane, lecz z tego, co już ogłoszono — substancja ta odznacza się zadziwiającą pojemnością informacyjną, i to o cechach zbliżonych do cech funkcjonalnych mózgu. Hipoteza ta tłumaczyłaby też w pewnym stopniu przyczyny nieujawnienia przez Instytut Burta faktycznego stanu rzeczy. Tego rodzaju postępowanie może również stanowić element składowy doświadczenia. Chodziłoby w tym przypadku o zbadanie reakcji odbiorców tych dzieł i stwierdzenie, czy nikt nie potrafi odróżnić ich od dzieł żywych twórców. Przeprowadzono już takie doświadczenia w przypadku maszynowych kompozycji muzycznych i poetyckich.

— Eee... Maszyna miałaby napisać powieść?! — pani de Lima spojrzała na Katarzynę niemal z oburzeniem.

— Powiedziałam, że to jest teoretycznie możliwe. Czy możliwe już dziś w praktyce — nie wiem! Spróbujmy zestawić fakty. Instytut Burta dysponuje nie tylko najnowszą aparaturą, ale jest pierwszą placówką naukową na świecie, która podjęła badania nad neurodyną. W USA i ZSRR przystąpiono do doświadczeń dopiero w dwa lata po nas. Profesor Bonnard jest nie tylko słynnym neurofizjologiem i psychiatrą, ale również wybitnym cybernetykiem.

W okresie poprzedzającym bezpośrednio zgon Joségo Bragi profesor Bonnard utrzymywał bliższy kontakt z profesorem Siccardim — znanym filologiem, specjalistą od maszynowej analizy tekstów. A muszą państwo wiedzieć, że Siccardi należał do entuzjastów eksperymentowania w zakresie poezji maszynowej. Pamiętają może państwo głośną historię z rzekomo nowo odkrytym wierszem miłosnym Gonzagi? — dorzuciła z błyskiem w oczach Da Silva nie odrywał wzroku od Katarzyny.

— Ciekawe... — powiedział zawieszając głos. — Więc pani doktor sądzi, że osiągnięto już tak zadziwiające rezultaty?

— Czas biegnie. To, co wydawało się niemożliwe wczoraj, dziś jest

tylko trudne, a jutro będzie sprawą dziecinnie prostą. Już w pierwszym okresie eksperymentów z analizą utworów muzycznych jako sprawdzian, czy maszyna wykryła właściwe reguły tworzenia, stosowano próby kompozycji nowych dzieł w stylu analizowanych utworów. Robiły to te same maszyny, dokonując syntezy przy udziale czynnika przypadkowości, naśladującego wyobraźnię. To było dwadzieścia — trzydzieści lat temu! Trudno ocenić, jakie możliwości postępu stwarza tu neurodynamika.

— Więc sądzi pani, że Bonnard przekazał po prostu maszynie polecenie przeanalizowania utworów Bragi i tworzenia nowych dzieł? — zapytał z niedowierzaniem da Silva.

— Oczywiście, nie po prostu. To jest bardzo trudna sprawa, wymagająca skomplikowanych zabiegów i wielu prób. Ale sens tego jest taki właśnie, jak pan powiedział.

— Rozumiem, że można w ten sposób tworzyć dzieła muzyczne czy nawet pisać wiersze liryczne. W każdej metaforze jest trochę surrealizmu. Ale mam wątpliwości, czy w ten sposób można stworzyć poemat. A już pisać powieści czy opowiadania?... Wymaga to przecież pomysłu, logicznej konstrukcji fabuły, znajomości człowieka i jego życia. Przecież powieść nie jest mechanicznym zlepkiem tego, co komu na myśl przyjdzie. Konieczna jest selekcja, dobór! Maszyna, choćby najdoskonalsza, chyba tego nie potrafi zrobić, bo nie jest człowiekiem.

— Ma pan rację o tyle, że to bardzo trudna sprawa. Ale bynajmniej nie jest to przedsięwzięcie niemożliwe.

— Maszyna musiałaby dysponować wiedzą równą wiedzy człowieka!

— Niekoniecznie. Nie chodzi przecież o to, aby ona sama zastępowała we wszystkim pisarza. W uproszczeniu można to sobie wyobrazić tak: trzeba zaprogramować ogólne reguły konstruowania fabuły oraz możliwie duży zasób odpowiednich elementów wymiennych, z których ta fabuła byłaby konstruowana. Maszyna tworzy różne warianty. Bardzo wiele z nich na pewno jest nie do przyjęcia całkowicie lub częściowo. Tu selekcji dokonuje człowiek: wybiera jeden z wariantów i rozpracowuje go dalej na maszynie. Stopniowo od ogólnych zarysów przechodzi do coraz większych konkretów i w ten sposób powstaje coś w rodzaju konspektu powieści. Według tego konspektu,

korzystając z zawartych w pamięci maszyny wzorców twórczości danego pisarza, maszyna rozbudowuje akcję i stylizuje. Stale pod kontrolą człowieka!

— To właściwie nie maszyna pisałaby powieść, lecz Bonnard i jego współpracownicy z pomocą maszyny.

— Można to i tak określić.

— Dlaczego jednak wzięli akurat twórczość Bragi jako obiekt eksperymentu? Dlaczego nie „kontynuują” jakiegoś zmarłego dawno pisarza?

— Braga mógł uczestniczyć czynnie w przygotowywaniu zasobu pamięci maszyny. Może zapisano mnogość ciągów wolnego biegu kojarzeń... Na przykład dyktował wszystko, co mu na myśl przychodziło, próbował różnych sposobów kojarzenia, nawet zapisywał tok myśli w procesie tworzenia fabuły. Instytut Burta zajmuje się neurocybernetyką i psychofizjologią, nie zaś czystą lingwistyką matematyczną. Ale państwo z pewnością mają inne pilne sprawy do załatwienia niż słuchać moich teoretyzowań — przerwała nagle tok swych rozważań.

Dopiero teraz i ja zauważyłem, że pani Dolores mieni się na twarzy z coraz większego zdenerwowania.

— Ależ słuchamy z największym zainteresowaniem — próbował jeszcze przestrzegać zasad kurtuazji da Silva, ale pani de Lima przecięła z miejsca dyskusję.

— Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale czas leci i chciałabym porozmawiać z panem mecenasem o sprawach najpilniejszych — oświadczyła wstając.

Da Silva umiał natychmiast znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji.

— Czy lubi pani magnolie? — zapytał Katarzynę takim tonem, jakby kontynuował prowadzoną już rozmowę na temat kwiatów. — Mój ogrodnik wyhodował bardzo interesującą odmianę.

— Czy można by ją zobaczyć? — podchwyciła zręcznie Katarzyna.

— Oczywiście. Pani pozwoli — da Silva skłonił się z galanterią. — Państwo wybaczą — zwrócił się do mnie i Dolores — że pozostawimy ich samych.

— Ależ proszę, proszę...

Gdy wyszli, pani de Lima usiadła na powrót w fotelu i patrząc na mnie przenikliwie powiedziała:

— Wygadana ta pańska znajoma!

— To jej pasja zawodowa — odrzekłem usprawiedliwiająco. — A zresztą sprowokowaliśmy ją sami.

— Myślałam, że powie coś bardziej do rzeczy.

— Wątpi pani w możliwość maszynowe twórczości? Ja również nie jestem przekonany, że o to właśnie chodzi.

— No, niech pan powie, po co to wszystko? Jaki tego sens? Jeśli dobrze zrozumiałam, gdyby było tak, jak ona mówi, Mario nie miałby żadnych praw do tych książek.

— Chyba nie. Najwyżej można by domagać się odszkodowania za przywłaszczenie nazwiska. Ale nawet wykorzystywanie dorobku zmarłego pisarza dla osiągnięcia zysku nie wchodzi w rachubę wobec istnienia testamentu, a być może jakichś dokumentów udzielających tego prawa Instytutowi.

— Właśnie... Po co pan ją właściwie tu przywiózł? — zapytała bez owijania w bawełnę. — Mamy teraz poważne sprawy na głowie, a pan niepotrzebnie komplikuje sytuację.

Postanowiłem trochę ostudzić moją klientkę.

— Jeśli się pani nie podoba, że przyjechałem z doktor Dali, możemy zaraz wyjechać...

Pani de Lima spojrzała na mnie z niepokojem.

— Nie gadaj pan głupstw, mecenasie. Nie po to pana tu ściągnęłam!

— Doktor Dali zasługuje na pełne zaufanie — powiedziałem pojednawczo. — Poza tym myślę, że może nam się przydać. Zna Bonnarda osobiście, była pierwszym opiniodawcą twórczości Bragi, poleconym Bonnardowi przez Siccardiego, i gdyby chodziło o zbadanie na miejscu, w Instytucie, jak sprawy stoją, łatwo znajdzie pretekst.

Pani de Lima trochę się uspokoiła, ale nie wykazywała zbyt dużego entuzjazmu.

— W tej chwili rzeczywiście przydałby się ktoś, kto miałby łatwy dostęp do Instytutu, ale nie wiem, czy pańska znajoma nie wyrządzi więcej szkody niż pożytku. Czy zresztą jest pan pewny, że nie jest wtyczką Bonnarda?

— Powiedziałem, że darzę ją pełnym zaufaniem — odparłem chłodno.

— No dobrze już, dobrze — westchnęła ciężko. — Przejdę więc do

rzeczy. Mąż mówił panu, iż Mario uciekł mi w czasie drogi do domu?

— Tak. Wiem o tym.

— Jest niemal pewne, że zjawi się ponownie w Punto de Vista. Ściślej, u mego brata lub co gorsza... w Instytucie. Da Silva mi bardzo pomaga. Robi, co może. Rozesłał ludzi na wszystkie strony. To dzięki niemu udało się wczoraj schwytać Maria. Niestety, są to ludzie trochę... brutalni. Pan wie... jak to na plantacjach. Pan da Silva to uroczy człowiek i ma najlepsze intencje, ale Mario jest trudnym dzieckiem, nerwowym. Nie chcę, by znów doszło do awantur. Dlatego też nie prosiłam policji o pomoc.

— Jaka w tym moja rola?

— Zaraz powiem. Mario pana nie zna. Tak się składało, że nie widział pana dotąd... — zmieszła się trochę. — Wiem, chciał pan z nim porozmawiać. Więc myślałam, że panu będzie łatwiej nawiązać kontakt, wytłumaczyć mu...

— Mam uzasadnioną pretensję do państwa, że tak długo nie mieliście do mnie zaufania. Jako pani adwokat powinienem wiedzieć wszystko. Jak można było przede mną ukrywać, że Mario trzyma w tej sprawie stronę Bonnarda?

Zaprzeczyła gwałtownie.

— Nie można tak powiedzieć. Mario nie interesuje się sprawą testamentu. Tyle że nienawidzi mego męża, mnie nie kocha... — otarła chusteczką łzy cisnące się jej pod powieki.

— Rozumiem. Cóż ja jednak mogę pomóc?

— Poczeka pan tu do wieczora. Ostatecznie nawet przenocujecie. Jeśli będzie sygnał, że Mario pojawił się w pobliżu kościoła, pojedzie pan do mego brata i spróbuje wybadać Maria.

— Czy nie lepiej byłoby wynająć detektywa?

— Nie. Tu nie o to chodzi. Niech pan zdobędzie jego zaufanie. Pan to potrafi... jak zechce.

— A jeśli Mario skieruje się wprost do Instytutu?

— Nie uda mu się tam dotrzeć. Da Silva się o to postara.

— Więc jednak znów... — powiedziałem z lekką drwiącym tonem.

— Nie! Nie! Tym razem nie chodzi o to, żeby go schwytać. Ale on o tym nie wie.

— Rozumiem. Więc sądzi pani, że jedynym punktem oparcia będzie

dla niego plebania?

— Tak.

— No, a jeśli się nie zjawi? Może przecież ukrywać się przez parę dni.

Zmieszała się.

— Widzi pan... On dziś jeszcze, do wieczora, najdalej do północy, musi tam być. Gotów jest zrobić wszystko.

— Niech pani powie szczerze, o co tu chodzi? — zapytałem oschle.
— Dlaczego pani kręci?

— Nie. Nie. Nic nie ukrywam. Chodzi o to, że dziś przypada rocznica śmierci Joségo...

VII

Kończyliśmy właśnie kolację, gdy do jadalni wszedł jakiś krępy mężczyzna, przypominający wyglądem boksera, i stanąwszy dyskretnie za fotelem da Silvy powiedział mu do ucha parę słów.

Siedząca obok gospodarza Katarzyna przerwała w pół zdania swój dłuższy wywód na temat najnowszych prądów w literaturze i spojrzała na niego pytająco.

— Państwo wybaczą, ale mam już wiadomość o Mariu — wyjaśnił do Silva. — Piętnaście minut temu widziano go dwa kilometry od osady.

— Pański wywiad świetnie działa! — zaśmiała się Katarzyna, której wino z lekka uderzyło do głowy.

— Zastosowaliśmy bardzo prostą metodę — odrzekł gospodarz nie ukrywając zadowolenia z pochwały. — Są tu zresztą sprzyjające warunki. Osada leży w zakolu, które przecina szosa. Aby więc dotrzeć do osady z północy, trzeba przejść przez most oddalony stąd o kilometr. Uznaliśmy za wątpliwe, aby Mario przeszedł w bród rzekę. Wystarczyło więc obserwować most. Jest prawie pełnia, księżyc jasno świeci, łatwo więc dostrzec z pobliskich krzaków, kto tamtędy przechodzi. Spodziewałem się zresztą, że Mario skorzysta z autostopu, i kazałem obsadzić obserwatorami cały półtorakilometrowy odcinek szosy między mostami. Nietrudno zauważyć zatrzymujący się samochód.

— Musiał pan być świetnym dowódcą, panie pułkowniku — powiedziała z podziwem Katarzyna, ale wydało mi się, że w jej głosie wyczuwam jakby cień ironii.

— Nie należałem do najgorszych — skłonił się da Silva. — W czasie akcji pod...

— Czy jednak pan, mecenasie, nie powinien już jechać? — przerwała pani de Lima nie ukrywając zdenerwowania.

— Moim zdaniem wystarczy, jak pan ruszy za kwadrans — oświadczył gospodarz rzeczowym tonem. — Może napijemy się jeszcze?

— A jeśli Mario... — podjęła znów Dolores. Lecz da Silva uniósł dyskretnie dłoń.

— Nie martw się, moja droga. Nie ulega wątpliwości, że wszystko

odbywa się zgodnie z przewidywaniem. Dlatego właśnie lepiej będzie, jeśli pan mecenas dotrze na plebanię nie przed nim, lecz po nim. Należy się obawiać, że gdyby Mario stwierdził, iż u księdza jest ktoś obcy, albo co gorsza zauważył, że ktoś go śledzi, mógłby rzeczywiście ukryć się gdzieś we wsi lub w ogrodzie, w pobliżu kościoła.

— Dlatego sądzę, że najlepiej, jeśli doktor Dali pojedzie ze mną — stwierdziłem stanowczo.

— Oczywiście! Jadę z tobą — podchwyciła Katarzyna.

Pani de Lima nie ukrywała niezadowolenia.

— To chyba nie ma sensu. Pani zostanie tu z nami — powiedziała szorstko. — Rano odwiozę panią...

— Jadę! — powtórzyła stanowczo Katarzyna.

— Może jednak... — podjął da Silva, ale nie dałem mu dokończyć.

— Obecność doktor Dali może się bardzo przydać. Nie zapominajcie państwo, że Mario widział doktor Dali w Instytucie i wie, iż była znajomą jego ojca...

— Nie wiem, czy on to może pamiętać. To już tak dawno. Tyle lat... — rzekła pani de Lima wzruszając ramionami.

— Przypomni sobie. A ten drobny z pozoru fakt może mieć duże znaczenie. Przecież chodzi o to, aby zdobyć jego zaufanie.

— Masz w stu procentach rację. Trzeba jechać — podchwyciła Katarzyna.

— No, powiedz, co o tym sądzisz? — zwróciła się Dolores do gospodarza.

Da Silva patrzył na Katarzynę w milczeniu. Widać było, że walczą w nim sprzeczne uczucia.

— Bardzo bym chciał, aby pani została — rzekł jakoś miękko. — Powiem szczerze: cieszyłem się na ten wieczór... Ale... Chyba pan ma rację — zwrócił się do mnie. — Szkoda... — dokończył z westchnieniem.

— Myślę, że się jeszcze zobaczymy — powiedziała Katarzyna z anielskim uśmiechem.

Byłem na nią wściekły, lecz usiłowałem nie okazywać tego.

— Jeśli pani pozwoli — skłonił się da Silva.

— Mój dom zawsze będzie z radością panią gościł — wyrzekł patetycznie.

Wstaliśmy od stołu. Pan domu i Dolores de Lima odprowadzili nas

do auta.

— Niech pan zaparkuje na placu przy studni. Tak będzie lepiej — udzielił mi ostatnich rad da Silva.

— Coś się tak do niego wdzięczyła? — dałem upust tłumionej wściekłości, gdy już ruszyliśmy.

— Uroczy facet — zaśmiała się krótko.

— Mogłabyś sobie kogoś innego znaleźć. Przecież to stary dziad!

— Ale za to dżentelmen. A ten profil: zupełnie rzymski senator!...

— Nie przypuszczałem, że ty...

— Głupi jesteś — przerwała mi i znów zachichotała. — Świetnie się bawiłam.

— Widziałem to! — ogarniała mnie coraz większa złość.

— Nic nie widziałeś! — zaprzeczyła ze śmiechem. — Nie myśl, że jestem pijana. Nie zauważyłeś, że kpiłam z niego?

Złość nagle mnie opuściła, chociaż nie bardzo dowierzałem Katarzynie.

— Tak mi się zdawało — powiedziałem po chwili, już spokojniej. — Ale mogłabyś go tak nie czarować.

— Sądzę, że gra była warta świeczki!

— Nie rozumiem.

— Da Silva jest tu główną sprężyną. Limowie to tylko marionetki w jego rękach. Rozumiesz teraz?

Byłem zaskoczony jej słowami. Sposób, w jaki je wypowiedziała, wskazywał, iż jest z pewnością trzeźwa.

— Nie rozumiem, o czym ty mówisz. Przecież sprawa testamentu Bragi...

— To tylko pretekst — przerwała mi w pół zdania. — Tu nie chodzi bynajmniej o sprawę śmierci Bragi, o testament czy w ogóle dojście do prawdy. To jest gra o znacznie poważniejszą stawkę. Nie wiem jeszcze, o co, ale czuję to przez skórę. Dla da Silvy celem ataku jest Instytut. Nawet osoba Bonnarda nie jest tu ważna, choć to z pewnością najgroźniejszy przeciwnik. Zresztą prawdopodobnie da Silva nie działa na własną rękę. Czy możesz mi powiedzieć, kto jest właścicielem tutejszych plantacji?

— Jakaś spółka akcyjna czy koncern...

— Musisz się dowiedzieć dokładnie. To bardzo ważne. I radzę ci być ostrożniejszym. Nie angażuj się zbyt w tę aferę.

— Przerazasz mnie — powiedziałem szczerze. — Skąd te podejrzenia? Co ci mówił da Silva?

— Próbował wyciągnąć ze mnie, co wiem o neurodynie. Muszę przyznać, robił to w sposób arcyzręczny.

— Co mu powiedziałaś?

— Wszystko to... co wiadomo oficjalnie. Zresztą, mówiąc szczerze, wiem sama niewiele więcej od niego, a może i mniej. Pozostawiłam go jednak w mniemaniu, że mogę być dla niego niezłym źródłem informacji.

— Nie spodziewałem się po tobie, abyś była zdolna do takiej gry. Myślałem, że ci zawrócił w głowie.

— Będę musiała jak najprędzej zobaczyć się z Bonnardem. Gdyby nie to, że Instytut jest pod obserwacją, zawiózłbyś mnie tam jeszcze dziś.

— Nie żądaj ode mnie, abym był nielojalny wobec Limów. Oni mi ufają. Najpierw musiałbym oficjalnie zrezygnować.

— Wykluczone. Od razu wiedzieliby, o co chodzi. Teraz nie możesz się wycofać. Niech myślą, że pracujesz dla nich. Musisz być tylko ostrożny.

— Żądasz ode mnie za wiele. To wbrew etyce zawodowej. Nie należę do ludzi, którzy...

— Rozumiem — przerwała pospiesznie. — Niech i tak będzie. Nie wymagam od ciebie nielojalności wobec Limów. Bądź tylko czujny.

— Czy ty nie przesadzasz? Cóż z tego, że pytał o neurodynę? Każdy może się interesować.

— Pamiętasz początek puczu generalskiego przeciw Dartesowi? To jest właśnie ów pułkownik da Silva...

— Ten, który próbował aresztować Dartesa?!

Maszyna wspinała się teraz w górę, po drodze biegnącej wzdłuż zbocza wzgórza wśród zabudowań osiedla.

— Jesteś niebezpieczną kobietą — powiedziałem z uznaniem.

— Powinieneś już dawno o tym wiedzieć.

Plac przed kościołem był opustoszały. Mieszkańcy osady wcześniej chodzili spać. Zaledwie w jednym oknie — w domu sklepikarza — paliło się światło.

Zaparkowałem wóz przy studni, tak jak radził da Silva. Księżyc oświetlał jasno schody i białą fasadę kościoła. Jedynie z prawej strony kilka niewysokich drzew rzucało postrzępione krótkie cienie.

— A jeśli Mario jeszcze jest tu gdzieś w pobliżu? — powiedziała szeptem Katarzyna. — Jeśli nas zobaczy albo już widzi...

— Trudno. Nie będziemy się ukrywać.

Wokół panowała cisza mącona tylko dalekim ujadaniem psów. Weszliśmy po schodach na górę i stanęliśmy przed boczną bramą. Nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym zgrzytem zawiasów.

Pograżony w ciemnościach ogród nie sprawiał zbyt miłego wrażenia. Wydawało mi się, że za każdym drzewem czy krzakiem dostrzegam jakąś czającą się postać. To samo musiała odczuwać Katarzyna, bo przytuliła się do mnie i tak szliśmy w milczeniu, wypatrując końca tej wędrowki. Nareszcie minęliśmy wypalone ściany plebanii i w głębi bocznej alei dostrzegliśmy światła domku Alberdiego.

W pokoju paliła się lampa, rzucająca jasną smugę na rabaty pod oknem i pobliskie krzewy. Ale od strony ganku panował mrok, rozjaśniany tylko słabym odblaskiem światła w okienku nad drzwiami.

Z wnętrza domku nie dochodził żaden dźwięk.

— Może Maria jeszcze nie ma — powiedziała szeptem Katarzyna.

— Sądzisz, że powinniśmy poczekać?

— Chyba nie ma sensu. Gdyby nas zobaczył...

Wszedłem na ganek i zapukałem ostrożnie. Za drzwiami panowała cisza.

— Może nie dosłyszeli. Zapukaj głośniej. Głuchy odgłos pukania rozszedł się daleko po parku. Ale i tym razem we wnętrzu domku nic się nie poruszyło. Jeśli Mario nie zdążył jeszcze tutaj dotrzeć i był gdzieś w pobliżu, pukanie mogło niepotrzebnie go zaalarmować.

Położyłem dłoń na klamce i nacisnąłem. Drzwi ustąpiły.

— Czy można? — zapytałem, zatrzymując się w progu, lecz odpowiedziała mi tylko cisza. Przeszedłem przez ciemną sionkę i stanąłem w drzwiach pokoju. Był pusty. Na biurku, obok otwartej książki, stała szklanka z herbatą. Podeszedłem do biurka i dotknąłem szklanki.

Była jeszcze ciepła.

— No i... — usłyszałem za sobą głos Katarzyny.

— Alberdi musiał wyjść przed kilku lub kilkunastu minutami.

— Może go wezwano nagle do chorego...

— Może. Albo też... wyszedł z Mariem.

— Nie widać, aby chłopiec tu był. Katarzyna zastanawiała się.

— Musimy poczekać — podjęła po chwili. — Ale sytuacja trochę się skomplikowała. Gdybyśmy obu zastali w domu, sprawa byłaby rozwiązana, a tak... Czekać tu w pokoju? Może to wyglądać na zasadzkę. Czekać przed domem? Nie ma sensu. Wracać? Jeszcze gorzej.

Tak źle i tak niedobrze.

— Przede wszystkim czy rzeczywiście należy się obawiać, iż Mario na mój widok gotów znów się ulotnić?

— Nie wiem, ale trzeba się z tym liczyć.

W tej chwili przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

— A co powiesz na taką propozycję: pozostaniemy tu oboje, ale w pewnym momencie pojawisz się na scenie tylko ty. Powiedzmy poczekaś na ganku i jak ich zobaczysz, wyjdiesz im naprzeciw. Gdy Mario cię pozna, sprawa załatwiona.

— Myślisz, że oni się już spotkali?

— Bardzo możliwe, że są w tej chwili na cmentarzu.

— Teraz? W nocy?

— Dziś przypada rocznica śmierci Joségo Bragi. Mario chce odwiedzić grób ojca. W dzień to może być ryzykowne. Lampę zapaloną zostawili po to, aby ludzie da Silvy myśleli, że ksiądz w domu.

Zostałem sam. Usiadłem w fotelu i sięgnąłem machinalnie po leżącą na biurku książkę. Było to jakieś dzieło filozoficzne pełne ołówkowych podkreśleń i dopisków na marginesie.

Odłożyłem książkę i spojrzałem odruchowo w kierunku okna. W tej chwili uświadomiłem sobie, że siedząc przy biurku jestem z pewnością dobrze widoczny z zewnątrz. Wstałem więc i wyszedłem do sionki. Poprzez zamknięte drzwi nie dobiegał żaden szmer. Wsłuchałem się w ciszę, próbując na próżno wyłowić z niej choćby najśłabszy sygnał obecności Katarzyny.

Tak upłynęła minuta, może dwie... Na prawo od wejścia, obok jedyne go w sionce okna, znajdował się wiejski piec kuchenny, w rogu prymitywna umywalnia. Na lewo dostrzegłem maleńkie uchylone drzwi. Spiżarnia była ciasna, ale nie najgorzej zaopatrzona. Widocznie gospodyni księdza potrafiła dbać o jego doczesne potrzeby.

Na ganku skrzypnęła deska. Ktoś, najpewniej Katarzyna, schodził

czy wchodził ostrożnie po drewnianych stopniach. Potem usłyszałem jeszcze słaby odgłos kroków po ścieżce i zapanowała znów cisza. Spodziewałem się, iż lada chwila odezwą się głosy, ale ani zza drzwi, ani też zza okna, zasłoniętego tylko siatką przed owadami, nie dobiegł mnie żaden dźwięk.

Minuty płynęły, lecz Katarzyna nie wracała.

Najchętniej wyszedłbym na ganek, jednak zdawałem sobie sprawę, że w ten sposób mogę wszystko popsuć. Upłynęło tak pięć, potem dziesięć minut... Poczynałem się niepokoić.

Nagle, zupełnie niespodziewanie usłyszałem delikatne pukanie do drzwi. Czyżby Katarzyna?

Klamka drgnęła. Ktoś sprawdzał, czy drzwi są zamknięte. To mógł być chyba tylko Mario.

Niemal w ostatniej chwili ukryłem się w spiżarni. Przez szparę w uchylonych drzwiach ujrzałem wysmukłą postać chłopca w ciemnej sportowej bluzie. Obcisłe spodnie wydłużały jeszcze jego sylwetkę, nadając mu raczej wygląd dwunastoletniego dziecka, wyrosniętego nad wiek, niż blisko siedemnastoletniego młodzieńca.

Chłopiec zamknął drzwi i nie zatrzymując się wszedł prosto do pokoju. Tuż za progiem stanął i stwierdziwszy widocznie nieobecność księdza, cofnął się, lecz po chwili wahania podszedł pośpiesznie do okna i zasunął roletę.

Teraz w pełnym świetle widziałem go wyraźnie: twarz miał ściągłą, ogorzałą, a z lekka kędzierzawe włosy uwypuklały jeszcze ślady krwi murzyńskiej dostrzegalne w jego rysach. Katarzyna wspominała mi kiedyś, że matka Joségo Bragi była Mulatką.

Mario usiadł na fotelu przy łóżku, potem jednak wstał i wrócił do sionki.

Uczułem, jak krople potu występują mi na czoło. Jeśli zajrzy do spiżarni... Na szczęście wrócił znów do pokoju, przechodząc jednak na lewą stronę i znikając mi z oczu. Usłyszałem skrzypnięcie krzesła. A więc usiadł przy stole. Chyba jedyna okazja, by niepostrzeżenie wydostać się z domku.

Ostrożnie, jak najwolniej począłem otwierać drzwi spiżarni. Z napięciem wsłuchiwałem się w ciszę, wykorzystując każdy szmer w pokoju dla maskowania gwałtowniejszych ruchów.

Byłem już w sionce, gdy z zewnątrz dobiegł mnie odgłos przyśpieszonych kroków po ścieżce, potem na ganku. Cofnąłem się na powrót do spiżarni, przymykając drzwi.

W tej samej niemal chwili drzwi wejściowe otwarły się z trzaskiem i do sionki wszedł ksiądz Alberdi.

— Mario! — zawołał od progu.

— Jestem, wuju — usłyszałem przyciszony głos chłopca.

Alberdi wszedł do pokoju.

— Gdzieś ty się podział? Szukałem ciebie...

— Ciszej! Proszę, niech wuj mówi ciszej.

— Dlaczego? — zdziwił się ksiądz.

— Ktoś się tu kręci w pobliżu domu.

— Jesteś chyba przewrażliwiony. Może jaki pies.

— Widziałem... Tu się kręcą po parku jacyś ludzie. Pewnie od da Silvy. Czy wuj nie widział, tam przy cmentarzu, jak się krzaki poruszyły? Dlatego zostawiłem wuja. Ale tu przy domu też się kręcą. Widziałem kobietę.

— Pewnie Noka.

— Nie. To nie była kobieta ze wsi. Czekala tu na ganku, ale ją wyprowadziłem w pole.

— Co ty opowiadasz? Nigdzie nic nie widziałem...

Widocznie jednak Alberdi nie zlekceważył słów chłopca, gdyż wrócił do sionki i zamknął drzwi wejściowe na zasuwę.

— Przede wszystkim umyj się — powiedział wracając do pokoju. — Jesteś brudny, jakbyś co najmniej czołgał się rowami. Pamiętasz, gdzie jest umywalnia?

— Pamiętam.

Cofnąłem się pospiesznie, zwięzając szparę. Po chwili usłyszałem brzęk naczyń i plusk wody w głębi sionki.

Ksiądz krzątał się po pokoju.

— Będiesz spał na składanym łóżku. Jest tu takie na stryżku. Kiedyś jeszcze twój ojciec na nim sypiał..

Plusk wody ustał.

— Naprawdę?!

— Mieszkał tu kilka miesięcy.

Chwilę panowało milczenie. Alberdi przesuwał stolik.

— Wuju?... — odezwał się Mario niepewnie. Alberdi stanął w progu.

— Słucham cię. Cóż powiesz, chłopcze?

— Nic takiego. Myślałem, że... — Mario urwał.

Znów usłyszałem brzęk naczyń i plusk przelewanej wody.

— Na pewno jesteś głodny? — odezwał się Alberdi.

— Dziękuję. Nie bardzo.

— Zjesz, zjesz. O, tu masz ręcznik. Z wodą trochę skąpo. Silnik się zepsuł i zbiornik na stryszku pusty. Ja tam się nie znam na mechanice. Zresztą to nie takie znów ważne. Mnie wystarczy to, co napompuje stary Lucas.

Plusk wody ucichł. Słyszać było tylko krzątanie się Alberdiego po sionce.

— Może zjesz pieczeni? — usłyszałem jego głos tuż przy drzwiach spiżarni.

Byłem już niemal pewny, że za chwilę odkryje moją obecność.

— Dziękuję... Dziękuję. Ja naprawdę nie jestem głodny — usłyszałem głos Maria.

— Ej, chłopcze, chłopcze, co ty mówisz? Jak ja byłem w twoim wieku... — gderał Alberdi oddalając się w głąb sionki.

— Chciałbym koniecznie z wujem porozmawiać.

— Oczywiście. Porozmawiamy. Ale pić ci się na pewno chce. Noka zrobiła świetny napój. Napijesz się?

— Tak, wuju. Ale przede wszystkim chciałbym porozmawiać.

— Co ci się tak spieszy? No, no, przyznaj się! Czyś ty czasem nie zwiął z domu?

— Nie! Byłem nad morzem. W Playa de Oro.

— Na wycieczce? Teraz? A szkoła?

— Ja się tam nie pchałem. To mama z de Limą i lekarzem tak uradzili. Abym wypoczął — dorzucił z odcieniem ironii w głosie.

— Chorowałeś? Długo?

— Eeee tam... Nic mi nie jest. Jeśli chce wuj wiedzieć, to... istotnie zwiąłem. Ale z sanatorium. To nie dla mnie!

Przeszli do pokoju.

— Matka wie, że tu jesteś? — zapytał ksiądz już nieco surowiej.

— Gdyby wiedziała, tobym tu nie był! — zaśmiał się sztucznie. — Już wczoraj próbowałem się tu dostać. Ale na nieszczęście nadziałem się

na ludzi da Silvy. Ale ja się nie dam! Ja nie mam zamiaru wracać ani do Playa de Oro, ani do domu! Jeśli wujowi to się nie podoba, to sobie pójdę!

Zapanowało milczenie. Usłyszałem brzęk szklanki i skrzywienie krzesła.

— Nikt cię stąd nie wyrzuca — odezwał się po chwili Alberdi. — Ale matkę trzeba zawiadomić, bo będzie cię szukała.

— Niech wuj robi, co chce. Do domu i tak nie wrócę!

— Sądzę, że da się jakoś załatwić, abyś na parę tygodni został u mnie. Dlaczego jednak tak się zastrzegasz, że do domu nie wrócisz?

Mario zwlekał z odpowiedzią. Poszerzyłem nieznacznie szparę i przez otwarte drzwi pokoju zobaczyłem Alberdiego siedzącego przy stole.

— To nie jest mój dom. A zresztą... — podjął niewidoczny z mego ukrycia chłopiec i urwał w pół zdania.

— Miałeś jakieś przykrości?

Mario nie był jednak skłonny do zwierzeń.

— Nie martw się, chłopcze. Wszystko się jakoś ułoży! — zaczęła zachęcająco Alberdi.

— Wszystko mi jedno. Niech mi wuj powie, ale tak naprawdę, szczerze, co sądzi o moim ojcu? — wyrzucił wreszcie z siebie pośpiesznie, jakby przełamując jakiś wewnętrzny opór.

Alberdi spojrział na siostrzeńca niepewnie.

— No cóż... Był wybitnym pisarzem.

— Nie o to mi chodzi. To dziś mówią wszyscy. Ja chciałbym wiedzieć, jakim człowiekiem on był w życiu. Widzi wuj... ja... ojca... pamiętam. Dobrze pamiętam. Ale to, co pamiętam, to tylko jedna strona. Ojciec był zawsze dla mnie bardzo dobry. I bardzo mądry! Najmądrzejszy. I takim pozostał w mojej pamięci. Ale przecież... byłem tylko dzieckiem. Wielu rzeczy mogłem nie dostrzegać. Może nawet nie chciałem dostrzegać. Niech wuj powie, jaki on był naprawdę. Czy rzeczywiście był złym człowiekiem? Pijakiem, egoistą?

— Cóż mam odpowiedzieć na to pytanie? — odrzekł Alberdi, wolno dobierając słowa. — Nie będę ukrywał. Kiedy go poznałem, wywarł na mnie korzystne wrażenie. Potem ponoć zmienił się bardzo, ale ja w tym czasie go nie widywałem. Gdy wreszcie przyjechał tu na dwa lata przed śmiercią, był człowiekiem chorym, cierpiącym na nieustanne bóle głowy,

wyczerpanym nerwowo. Niewątpliwie twój ojciec należał do ludzi nieprzeciętnych i trudnych w bezpośrednim pożyciu. Nie dlatego, aby był jakiś... dokuczliwy, wybuchowy czy egocentrycznie nastawiony. Z tego, co wiem, był uciążliwy dla otoczenia przede wszystkim dlatego, że prowadził nienormalny tryb życia. Poza tym odznaczał się zupełną niezaradnością w sprawach bytowych, co zwłaszcza dla mamy musiało być bardzo ciężkie. Zwykłą, normalną pracę uważał za stratę czasu. Nigdy dłużej nie pracował jak kilka miesięcy. Poza tym był uparty nie mniej niż twoja matka i za wszelką cenę chciał dowieść swej racji.

— Czy to prawda, że kłócił się z wujem?

— Przesada. Owszem, toczyliśmy dość zażarte, można nawet rzec gwałtowne dyskusje. Ale to dotyczyło problemów filozoficznych. Wiesz przecież, że twój ojciec był, niestety, niewierzący. Różniliśmy się w wielu sprawach... — urwał na chwilę. — To prawda. Był uparty! — powiedział na wpół do siebie. — Uparty do końca...

— A czy mama go kiedyś kochała?

Ksiądz długo zwlekał z odpowiedzią.

— No... chyba. Z pewnością. Z pewnością. Inaczej nie wyszłaby za niego za męż. I on ją też kochał... po swojemu.

— A później? Kiedy byłem mały? Gdy mama odeszła...

— Mówiłem ci przecież, że nie widywałem się w tym czasie z twoim ojcem. Jeśli chcesz wiedzieć, to zawsze byłem przeciwny rozwodowi. I to nie tylko dlatego, że jestem duchownym. Ale cóż, nie sądźmy ludzi zbyt pochopnie. I do tego własnych rodziców.

— Mama ojca nie kochała! A nawet nienawidziła — wybuchnął chłopiec.

— Mario! Jak możesz tak mówić?! — zawołał ksiądz z wyrzutem. — Jak się ludzie kłócą, nie zawsze znaczy to, że się nienawidzą.

— Wiem, co mówię! Nie chodzi o to, że nieraz były awantury. To nie były zresztą kłótnie, bo ojciec nigdy nie krzyczał. A mama, jak nawet czasem powie coś w złości, to nie znaczy zaraz, że tak myśli. Ale że ojca nie kochała, to wiem na pewno! Mam dowody.

Skrzypnęło krzesło. Ksiądz wstał i podszedł do okna.

— Cóż ty, chłopcze, możesz wiedzieć... — podjął starając się przybrać jak najłagodniejszy ton. — Pamiętasz tylko to, co działo się u was w domu w okresie przed rozwodem. Potem — sprawa rozwodowa...

nowy dom... A przecież zanim ty przyszedłeś na świat, kochali się. Dopiero później. Ten rozwód... Twoi rodzice ciężko zawinili. Nie tylko wobec Boga. I siebie, i ciebie skrzywdzili. Pytasz się, czyja to była wina. Jej czy jego. Na pewno obojga! A kto mniej, kto więcej — któż jest w stanie stwierdzić. Nikt sumienia czyjegoś nie przejrzał. A nawet jakby... Ale ty, dziecko, nie sądź swoich rodziców. Nie trzeba.

Dłuższy czas panowała cisza. Wreszcie usłyszałem głos chłopca, ale jakiś zmieniony, matowy:

— Formalnie biorąc wuj ma rację! Ja też mamy nie potępiam za to, że czasem powiedziała to i owo, ale chodzi mi o co innego. Jeśli się kogoś naprawdę kocha, to można go widzieć w korzystnym świetle. A nie odwrotnie. A mama chyba nigdy nie wierzyła w ojca. Że jest człowiekiem, który zdobędzie kiedyś sławę. Nawet nie interesowała się tym, co pisze. Nie wiem, czy za życia jego przeczytała choć jedną jego powieść do końca. Uważała po prostu, że to marnowanie czasu!

— Nie obraź się, mój drogi, ale jesteś jeszcze bardzo młody i patrzysz na wszystko w sposób trochę uproszczony. Można znaleźć sporo analogicznych sytuacji w historii. Sokrates, Rousseau, cesarz rzymski Klaudiusz... Kto wie, może właśnie z bliska trudniej dostrzec wielkość... Ja sam, przyznaję zupełnie szczerze, przed śmiercią twego ojca nie przeczytałem nic, dosłownie nic z tego, co stworzył. Dopiero, gdy zdobył rozgłos...

— Ale wuj mówił, że już wtedy uważał ojca za niezwykłego.

— Tak. To prawda. Twój ojciec wywarł na mnie dość silne wrażenie. W bezpośredniej rozmowie... Ale nie znaczy to, że od razu uważałem go za geniusza. Są różne odcienie niezwykłości...

— Wuj mówi tak specjalnie, żeby mi dowieść, że mama miała prawo nie wierzyć w talent ojca. Ale od niewiary do całkowitego lekceważenia chyba daleko. Jest chyba różnica między tymi pojęciami? Żeby wuj wiedział... — urwał nagle.

— A co miałbym wiedzieć?

— Ach, nic...

Mario stanął w drzwiach. Oparty o framugę, trwał tak nieruchomo dłuższą chwilę.

— Powiedz, co się stało? — podjął Alberdi. — Możesz być ze mną szczerzy. Tak chyba będzie lepiej.

— Nie. Nie! Niech wuj nie pyta...

— Możesz mi nic nie mówić, jeśli uważasz to za słuszne. Ja tylko tak pytałem, bo zaczęłaś. Czasem dobrze podzielić się z kimś troskami. Może łatwiej byłoby ci... zrozumieć.

— Nie! Nie! To nie o to chodzi. Ja nie mogę. Nie to, żebym nie chciał wujowi powiedzieć. Ale nie mogę! Przysięgłem, że nie powiem. Nikomu!

— Trudno. Przysięg należy dotrzymywać. Mam nadzieję, że ta przysięga szkody nikomu nie przynosi.

— Szkody? Przysięga? Ta na pewno nie! A, jeśli chodzi o szkodę w ogóle, to już za późno! — zaśmiał się nagle nienaturalnie. — Myślę, że jakieś czterysta do sześciuset tysięcy, a może ponad milion diabli wzięli! Ale cóż znaczą pieniądze? Pieniądze! Czy to się da w ogóle wymierzyć jakąś sumą pieniędzy?!

Alberdi podszedł do siostrzeńca i delikatnie oparł dłoń na jego ramieniu.

— Tak nie można. Trzeba się wziąć w garść — powiedział cicho.

— Wiem — Mario poruszył nerwowo ramionami. — Ale... ja nie mam nikogo. Jestem sam... Niech mi wuj pozwoli tu zostać.

— Oczywiście. Zaraz jutro napiszę do matki, że zostaniesz u mnie na pewien czas. Tu spokojnie. Wypocznesz. Pogadamy sobie... Zapomnisz o kłopotach...

— To niełatwe.

— Wiem. Oczywiście, że niełatwe. Ale tu na wsi człowiek żyje jakoś bliżej natury, a więc i bliżej Stwórcy. Tu łatwiej dostrzega się, jaką małością, jakim nic nie znaczącym epizodem są nasze kłopoty życiowe, choćby największe... Bo czymże my jesteśmy tu na ziemi? Czym są nasze sprawy?... Ja też kiedyś patrzyłem tak jak ty na świat. Zdawało mi się, że wszystko sprzysięgło się przeciw mnie, że nikt mnie nie rozumie. A jak spojrzeć na to dziś... Najważniejsze, aby nikogo nie krzywdzić. Aby mieć czyste sumienie. I samemu umieć przebaczać krzywdy.

— Przebaczać? To łatwo mówić. Ja zresztą do nikogo osobistych pretensji nie mam. Ale są krzywdy, których się nie da naprawić! I o tym niełatwo zapomnieć. Na przykład krzywdy wyrządzone komuś po śmierci...

— Nie rozumiem. Chodzi ci o deptanie pamięci zmarłego? Szkalowanie go czy jak?

— Niezupełnie... Ale, powiedzmy, coś w tym rodzaju. Co na ten temat mówi religia?

— Oczywiście... taki czyn jest grzechem. I Bóg go osądzi sprawiedliwie. Jeśli ktoś nie potrafi wzbudzić w sobie żalu i naprawić krzywdy — czeka go kara. Za życia lub po śmierci.

— Po śmierci... po śmierci... — Mario począł nerwowo krążyć po pokoju. — A skąd wuj wie, że istnieje cokolwiek po śmierci? Że istnieje tam jakaś sprawiedliwość?...

— Wierzę. Wierzę Pismu świętemu, wierzę Chrystusowi, wierzę również własnemu rozumowi, jego świadomości własnego istnienia... Wierzę, że duch nie może być tylko wytworem materii. Że nie można sprowadzić go do prądu elektrycznego płynącego w mózgu i przemian chemicznych jego substancji. Nie wiem, czy mnie dobrze rozumiesz. Ale czy nie czujesz sam, że jesteś i że to istnienie nie jest bynajmniej związane ani z twoją ręką, nogą, sercem czy głową, ale jest w ogóle! Jest ponad ciałem! W nim i obok niego! I to „coś” miałoby zginąć, rozproszyć się w niebyt, gdy umiera moje ciało? Nie! To niedorzeczność! To największa pomyłka nauki!

— No a komputery, automaty?

— Pomyśl, synku: czym są te sztuczne mózgi? Tylko imitacją mózgu! Uчени sami to mówią! Najwięksi materialści! Czy mamy jakiegokolwiek podstawy do twierdzenia, że maszyny myślą? Że robią to samo co ludzie? Nakręcany piesek też chodzi, a czy to znaczy, że żyje? To są tylko bardziej skomplikowane maszynki niż te, o których na pewno nikt nie odważy się powiedzieć, że żyją i myślą. To nonsens! — zapalał się coraz bardziej. — Tylko ludzie, zwierzęta, rośliny obdarzone są życiem! Obdarzone! Nieprzypadkowo używają tego słowa nawet cybernetycy. Obdarzone przez Stwórcę! Człowiek zaś jest największym dziełem Stwórcy! Jego dusza czująca i myśląca, jego rozum i wolna wola ma w sobie nadprzyrodzoną, osiagającą wyżyny abstrakcji zdolność obcowania z Bogiem. Ma świadomość Jego istnienia! Zdolność odróżniania tego, co zgodne jest z Jego wolą, a co sprzeczne. Czy dar sumienia nie jest darem bożym? Czy na przykład sztuczny mózg może mieć sumienie? Takich przykładów mógłbym ci wyliczyć setki. Myślałem nad tym przez lata. Jedna jest tylko odpowiedź: dusza nie jest tym samym, czym jest ciało. Jest związana z ciałem, ale może być też wolna. Przede wszystkim ma

najcenniejszą cząstką tego, co jest w jej Stwórcy — jest nieśmiertelna!

— To znaczy, że dusza żyje po śmierci? Co się właściwie z nią dzieje? Gdzie ona jest?

— Pytasz o życie pozagrobowe? To zdaje się to samo, o co ci chodziło w liście?

— Tak.

— Dusza ludzka to substancja duchowa. Nie jest ona złożona z żadnych części, nie może więc ulec rozkładowi sama z siebie. Jest ona jednak substancją niekompletną. Dopiero w połączeniu z ciałem tworzy człowieka. Czynniki materialne mogą oddziaływać na duszę poprzez ciało, przede wszystkim poprzez mózg. Jest to jednak zależność wywołana tylko warunkami. Istnienie tych warunków nie stanowi jeszcze przyczyny istnienia duszy. Otóż z chwilą śmierci następuje oddzielenie duszy od ciała. Ciało ulega rozkładowi, ale dusza, jako substancja niematerialna, nie ginie. Z chwilą śmierci staje ona przed sądem bożym, którego wyrok rozstrzyga o...

— Nie o to mi chodziło — Mario przerwał wywody teologa. — To mogę przeczytać w każdej dogmatyce. Czy wuj sądzi, że dusza może przebywać wśród nas? W naszym świecie? Chciałbym usłyszeć, co wuj naprawdę o tym sądzi. Tak sam, z własnych przemyśleń.

— No cóż... Nie myślę inaczej, niż uczy Kościół święty. Co najwyżej mógłbym ci powiedzieć, jak rozumiem ten dogmat. To jest oczywiście kwestia szczegółów. Powiedzmy sprawa ognia piekielnego. Myślę, że niekoniecznie trzeba go pojmować w sposób dosłowny. Kościół uczy, co prawda, że ogień piekielny czy czyścicowy jest realny i fizyczny, choć niekoniecznie musi być tej samej natury co ogień ziemski. Powiedzmy szczerze, różnię się tu nieco poglądami od wielu egzegetów i może jest w tym szczypta herezji, ale skłonny jestem traktować ten ogień symbolicznie. Jako symbol cierpień, niekoniecznie fizycznych. Bo przecież dusza pozbawiona jest ciała! Działanie ognia ma charakter energetyczny i musi w tym pośredniczyć ciało. Myślę, że ogień należy tu pojmować w sensie duchowym, jako źródło cierpień raczej moralnych. To samo dotyczy szczęśliwości niebieskiej...

— No pewnie, że ten ogień piekielny... jeśli go brać dosłownie... to bzdura. W ogóle jeśli wuj chce wiedzieć, to ja tam w te sądy pośmiertne, piekła, nieba i czyścice nie wierzę. I proszę, niech mi wuj tych bajek nie

opowiada.

Alberdi cofnął się gwałtownie. Wydało mi się, że lada chwila zaleje chłopca potokiem słów. Milczał jednak. Widocznie wzrastające napięcie poczęło coraz bardziej ciążyć chłopcu, bo zdecydował się przerwać milczenie pierwszy.

— Ja... ja... wuja przepraszam... — odezwał się niepewnie. — Nie chciałem wuja urazić.

— Ja się nie gniewam — powiedział ksiądz po chwili tak cicho, iż ledwo zrozumiałem jego słowa. — Bo i o co? O co miałbym się gniewać? Nie wierzysz? Wielu ludzi nie wierzy. Tylko, że myślałem... — nagle zmienił ton na chłodniejszy. — Więc o co ci właściwie chodzi? Co chcesz ode mnie usłyszeć? Pytałeś o moje poglądy — odpowiedziałem ci.

— Nie. Właśnie, że wuj mi nie odpowiedział! — zaproponował gwałtownie Mario. — Mnie nie chodziło o te nieba i piekła, ale o to, czy ta substancja uwolniona od ciała, ta nieśmiertelna dusza, może, zdaniem wuja, utrzymywać dalszy kontakt ze światem, w którym żyła. A może jest od niego całkowicie odcięta?

Alberdi usiadł w fotelu.

— Dziwne pytania zadajesz — rozpoczął trochę cierpko. — Jeśli wątpisz w istnienie duszy nieśmiertelnej, w stan nadprzyrodzonej szczęśliwości zbawionych i cierpienia potępionych...

— Tego nie powiedziałem. Ja po prostu nic nie wiem. A jeśli chodzi o to piekło, czyściec, niebo... to proszę mi wybaczyć, wydaje się strasznie naiwne. Tak, jakbym miał wierzyć w diabłów z rogami, anioły ze skrzydłami, w czarownice, rusałki, upiory... Przecież chyba wuj w to nie wierzy?

Znów krótką chwilę panowało milczenie.

— No... — odezwał się Alberdi jakby z wahaniem. — Oczywiście, że nie wierzę w istnienie rusałek, czarownic... Ale ty mieszasz wszystko. Nie rozumiesz istoty problemu. Mówisz, że wyobrażenie nieba, piekła, diabła, aniołów jest naiwne. To tylko dlatego, że sam ujmujesz je w sposób naiwny. Tak jak prości ludzie. To twoje wyobrażenia są naiwne, a nie same pojęcia. Dla mnie kryją one w sobie niezmiernie głęboką treść.

— No, ale...

Alberdi machnął ręką.

— Zostawmy tę kwestię na razie na boku. Choć bezcelowe byłoby

snucie rozważań na temat pośmiertnych losów dusz, gdy się nie pojmuje istoty nadprzyrodzonego sensu spraw ostatecznych, ale niech będzie! Spróbuję ci wytłumaczyć, co o tym myślę, nie drażniąc twoich wątpiących uszu naiwnymi pojęciami, mój ty mędrku. Nie wiem, czy mi się to w pełni uda, ale spróbuję. Powiedz mi jednak, dlaczego to cię tak bardzo interesuje? Czyżbyś nie był całkowicie pewny, że dusza bezcielesna jest tylko bajką, wymyśloną przez Kościół, ba! przez wszystkie religie świata! Tak, mój drogi. Wszystkie religie w ten lub inny sposób mówią o duszy. Czy nic to nie znaczy? No, powiedz! Jednak podejrzewasz, że może w tym jest jakaś prawda? W tych, jak mówisz, bajkach...

— Teraz to wuj miesza sprawy! — oburzył się Mario. — Wcale nie mówiłem, że wszystko to bajki.

— Więc jednak coś w tym jest? — podchwycił ksiądz triumfująco. Mario zniżył głos.

— Mam powody...

— Masz powody? Oczywiście. Oczywiście. Więc jednak? — powtórzył ksiądz.

— Właśnie... — rozpoczął Mario i urwał. W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi. Mario stał w kręgu światła i widziałem, jak patrzy z lękiem w kierunku drzwi.

Pukanie ponowiło się. Alberdi wstał z fotela i ruchem ręki dał znak chłopcu, aby pozostał w pokoju. Potem wyszedł do sionki, zamykając za sobą drzwi. Zapanowała cisza.

— Kto tam?

— Przepraszam bardzo — usłyszałem przytłumiony głos Katarzyny. — Czy zastałam mecenasa Espinozę?

— Kogo?! — zdziwił się Alberdi.

— Mecenasa Espinozę. Miał być dziś wieczorem u księdza.

— Nie znam żadnego mecenasa o tym nazwisku.

— Mecenas Espinoza był u księdza dwa dni temu. Ksiądz pamięta...

— Aaach, tak. Teraz sobie przypominam. Od mojej siostry. Niestety, dziś wieczorem nie było mnie w domu...

— Może ksiądz proboszcz będzie łaskaw otworzyć...

Alberdi nic nie odrzekł. Widocznie zastanawiał się, co zrobić. Wreszcie zasuwą zgrzytnęła i usłyszałem szmer otwieranych drzwi.

— Jestem Katarzyna Dali. Nie wiem, czy José Braga wspominał księdzu o mnie... — powiedziała bardzo głośno, widocznie, aby słyszał ją Mario!

— José Braga!?

— Tak. Poznaliśmy się w Instytucie Burta. Recenzowałam książki Bragi dla profesora Bonnarda. Poznałam tam również jego syna.

— Syna Joségo Bragi?

— Tak. Co prawda nie widziałam go już siedem lat, ale chyba mnie pamięta...

— Pytała pani o mecenasa Espinozę — przerwał jej niezbyt uprzejmie Alberdi. — Niestety, nie ma go tutaj.

— Przyjechałam z nim razem samochodem — wyjaśniała Katarzyna. — Byliśmy tu, pukaliśmy. Nikogo nie było. Espinoza miał czekać na księdza. Ja wyszłam naprzeciw...

— Niestety... Widocznie gdzieś poszedł.

— Nie wiem teraz, co zrobić...

Alberdi wyraźnie chciał się jak najszybciej pozbyć niewygodnego gościa.

— Poszedł chyba pani szukać. Może czeka w samochodzie. Jeśli się jeszcze zjawi, to powiem, że pani była.

— Będę czekała przy wozie — powiedziała Katarzyna z ociąganiem.

— Dobrze. Powtórzę.

— Dobranoc księdzu.

— Dobranoc.

Alberdi zamknął drzwi na zasuwę i wszedł do pokoju.

— Była ta twoja tajemnicza kobieta — powiedział szeptem do Maria. — Mówi, że ją znasz...

— Słyszałem... Coś sobie przypominam.

— To może lepiej ją zatrzymać?

— Nie wiem. Espinoza to mamy adwokat.

— Nie masz do niego zaufania?

— Nie widziałem go na oczy, ale myślę, że to musi być niezła kreatura.

— Na pierwszy rzut oka wywiera raczej dodatnie wrażenie. A co wiesz o tej kobiecie?

— Ojciec ją nawet lubił. Ale trudno coś powiedzieć... Jeśli przyjaźni

się z tym mecenasem...

— Pewnie jeszcze wróca.

— Najlepiej zgaśmy światło — podsunął Mario.

Alberdi nic nie odrzekł. Usiadł w fotelu i zamyślił się.

— Trzeba zdjąć ze stryszku łóżko — zauważył po chwili. — Drabina stoi za domem.

— Nie chce mi się spać.

— Tak... O czym chciałeś mi powiedzieć? — zmienił nagle temat.

— Może jednak zgasić światło?

Lampa zgasła. Zaskrzypiała deska podłogi, potem fotel.

— No więc?

— Niech wuj najpierw odpowie na moje pytanie.

— No dobrze. Niech i tak będzie. A więc: co sądzę o kontaktach duszy zmarłej osoby ze światem? Tak?

— Tak.

— Myślę, że taki kontakt istnieć może, ale przeważnie jest tylko jednostronny, a właściwie bierny. Dusza powinna chyba posiadać świadomość tego, co się dzieje w świecie, który opuściła, ale sama bezpośrednio nie może ingerować w życie tego świata.

— Dlaczego wuj tak sądzi? Dlaczego kontakt ma być tylko bierny? Przecież jeśli istnieje ten inny świat, w którym bytują dusze po śmierci, to chyba tylko tak, jakby chodziło o różne wymiary, ale wzajemnie ze sobą związane. Przecież to nie może być świat gdzieś oddalony w przestrzeni, ale tuż obok naszego.

— Ba! — zaakcentował Alberdi. — Można tu rzec, że masz rację i nie masz racji. Bo przestrzeń dla duszy, która opuściła ciało, nie istnieje. Więc nie ma co mówić o tym, czy niebo jest daleko, czy blisko. Tak mi się zdaje. Lokalizacja istotnie byłaby tu naiwnością. Ale z tymi wymiarami to nie tak, jak mówisz. To nie jest jakiś świat o innych wymiarach. Powiedzmy wzbogacony o czwarty wymiar w porównaniu z naszymi trzema. Ten byt wykracza poza wszelkie wymiary!

— Więc jak w tych warunkach można mówić o kontakcie?

— Stwórca! Jego pośrednictwo! Dzięki niemu może być dana duszy nieśmiertelnej świadomość tego, co po śmierci ciała dzieje się dalej w świecie, w którym żyła. Bóg widzi bowiem i wie wszystko. Więc za Jego sprawą może dusza też to wiedzieć. Kontakt ten jednak jest raczej bierny,

bo decyduje o tym nie człowiek, nie jego dusza, lecz Stwórcą. Dusza może tylko prosić Go o pomoc.

— No dobrze. Powiedzmy, że tak jest. Czy wuj sądzi, że ten kontakt musi być zawsze jednostronny? Czy taka dusza nie może dawać jakichś znaków o sobie ludziom żyjącym?

— Myślisz o zjawach na seansach spirytystycznych? O upiorach pokutujących w starych zamkach? Przecież sam powiedziałaś, że to bajki. Ja jestem tego samego zdania.

— No tak, ale... zdarzają się czasem zjawiska niewytłumaczalne. Przecież chyba wuj, wierząc w istnienie duszy po śmierci, nie odrzuca kategorycznie możliwości, iż za wolą Boga mogłaby ona ujawnić w jakiś sposób swą obecność?

— Nie odrzucam takiej możliwości. Stwórcą jest wszechmocny.

Zapanowało chwilowe milczenie. Pomyślałem, iż właściwie należałoby skorzystać z ciemności i wydostać się z pułapki. Co prawda istniało niebezpieczeństwo, że skrzypiąca podłoga ujawni moją obecność, ale oczekiwanie, aż ksiądz i jego siostrzeniec pójną spać, mogło być ryzykowne, zwłaszcza że Katarzyna gotowa wszczać alarm. Począłem wolno otwierać drzwi spiżarni.

— Kiedyś, dawno temu, podobno takie przypadki zdarzały się nawet często — podjął Mario.

— Dziś uczeni mówią, że to bzdura, złudzenie. Nawet wuj tak myśli. A gdyby zdarzył się taki wypadek...

— Wymagałby bardzo skrupulatnego badania, zanim wolno byłoby udzielić jakiejś autorytatywnej odpowiedzi. Ja na przykład zetknąłem się z pięcioma takimi przypadkami...

— I co?! — w głosie Maria wyczuwało się podniecenie.

— I nic. W trzech przypadkach to było po prostu złudzenie, a w dwóch innych zwyczajne oszustwo. Dlatego też nie dziw się, że tak sceptycznie podchodzę do wszelkich „sygnałów z zaświatów”.

— Dlaczego wuj powiedział „sygnałów”?

— No bo przeważnie to nazywają „sygnałami”. Jakieś dźwięki, trzaski, chroboty, odgłos kroków, pukania w szybę, czasem ciemne lub białe widma. Niektórzy sądzą, że takimi sygnałami są również sny. Czasem krewni zmarłego zamawiają mszę, bo im się śnił, nawet nieraz prosił we śnie o mszę... Lecz to inna sprawa. Taka ingerencja nie jest

wykluczona. czy istotnie jest to jakiś znak — nikt stwierdzić nie jest w stanie.

— Wuj mówił o sygnałach dźwiękowych. Czy wuj sądzi, że to wszystko złudzenie lub oszustwa?

— Niekoniecznie. Niektórzy święci i błogosławieni słyszeli głosy.

— A gdyby wuj usłyszał wyraźnie głos osoby zmarłej?

— Ja? W jaki sposób? We śnie?

— Nie... — Mario zawahał się.

— No więc jak? Na jawie?

— Tak. Powiedzmy... — znów zawahał się — przez... telefon.

Zamilkł raptownie.

— Cooo?! Kpisz ze mnie? — oburzył się Alberdi.

— Nie. Mówię zupełnie poważnie. Gdyby wuj usłyszał głos zmarłej osoby przez telefon...

— Czy ty, chłopcze, nie masz czasem gorączki? — zaniepokoił się ksiądz.

— Nic mi nie jest. Ja mówię poważnie. Niech wuj powie! Gdyby to był głos osoby zmarłej, jej sposób wyrażania się...

Fotel zaskrzypiał. Zatrzymałem się w progu spiżarni. Lada chwila mogło zabłysnąć światło.

— Wuj sądzi, że plotę bzdury? Ależ nie! Proszę mi wierzyć.

Znów zaskrzypiał fotel.

— No, więc? — dobiegł mnie szept Alberdiego.

— Gdybym usłyszał przez telefon głos osoby zmarłej, to wniosek nasuwa się sam. Musiałby to być głos z taśmy magnetofonowej.

— Ależ! — zachnął się Mario. — A gdyby ten człowiek, ten głos... rozmawiał z wujem? Odpowiadał na pytania...

— Co ty, chłopcze? — urwał i dopiero po dłuższej chwili podjął tonem konfidencyjnym: — Czyś ty czasem sam nie słyszał? Powiedz szczerze?

Mario zwlekał z odpowiedzią.

— Tak. Słyszałem — odrzekł wreszcie głosem nieco drżącym. — Tylko... błagam, niech wuj o tym nikomu nie mówi! A zwłaszcza mamie.

— To był głos twego ojca?

— Tak...

— I ten człowiek powiedział ci, że jest twoim zmarłym ojcem?!

— Nie. Chciał nawet, prawdopodobnie, abym go nie poznał. Początkowo bardzo zmieniał głos. Zwłaszcza w czasie pierwszej rozmowy.

— Więc było tych rozmów kilka?!

— Cztery. Pierwsza niecałe dwa lata temu.

— Dwa lata?!... Więc dlatego napisałeś do mnie?

— Tak. Ale dopiero po drugiej rozmowie. Kiedy zacząłem podejrzewać, że to jest głos ojca.

Znów zapanowała cisza. Zdawało mi się, że słyszę bicie własnego serca. Byłem już w połowie drogi między spiżarnią a drzwiami wyjściowymi, ale w tej chwili zapomniałem zupełnie o swej sytuacji.

— Dlaczego myślisz, że rozmawiałeś z ojcem? — zapytał niespodziewanie Alberdi, przerywając milczenie.

— To był on! Nikt inny, tylko on! — powtórzył Mario z przejęciem.

— Nie chodzi tylko o podobieństwo głosu, ale w ogóle: o sposób zwracania się do mnie... i... pewne szczegóły...

— Opowiedz mniej więcej treść rozmów. I w jakich okolicznościach do nich doszło. Może uda się nam wspólnie wyjaśnić zagadkę.

Mario nie kwapił się jednak ze zwierzeniami. Ksiądz powiedział coś tak cicho, że nie mogłem dosłyszeć, ale chłopiec nic nie odrzekł.

— Możemy pogadać jutro — podjął Alberdi. — Czasu będzie dość.

Propozycja wywarła jednak wręcz odwrotny skutek.

— Powiem wujowi. Teraz — odezwał się Mario głosem pełnym tłumionego napięcia. — Tylko wujowi o tym mówię, bo komu mam powiedzieć? Koledzy, nauczyciele wyśmialiby mnie, mama myślałaby, że zwariowałem. Chyba tylko jeden wuj może to zrozumieć — umilkł na chwilę zbierając myśli, — Pierwszy telefon był, jak już mówiłem, niecałe dwa lata temu. Ktoś zadzwonił do domu prosząc mnie do aparatu. Telefon odebrała mama i zawołała mnie. Głos w słuchawce był jakiś dziwny... Jakby ktoś nie mógł złapać oddechu. Słowa wypowiedane z przerwami... Zapytałem, kto mówi, ale otrzymałem tylko odpowiedź, że znajomy, dobry znajomy. Spytałem więc: kto? Jakie nazwisko? Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Zaraz zaczął pytać, jak się czuję, jak mi się powodzi w szkole, co słyhać w domu i... czy pamiętam jeszcze ojca. Odpowiadałem niewiele: parę, jak się to mówi, zdawkowych słów... I znów próbowałem dowiedzieć się, kto dzwoni, ale usłyszałem tylko „do

widzenia” i połączenie zostało przerwane. Mama pytała, kto dzwonił, a ja powiedziałem, że jakiś znajomy, ale że się nie przedstawił. To jej wystarczyło. Lecz mnie ta rozmowa wydała się jakaś dziwna. Po trzech miesiącach, kiedy już prawie zapomniałem o tym głosie, znów się odezwał. Tym razem dzwonił do szkolnego klubu. Musiał dobrze wiedzieć, w jakich godzinach tam bywam. Głos wówczas był trochę inny, bardziej naturalny i jakby znajomy. Prosił mnie, abym nikomu nie mówił o tej rozmowie. Znów pytał, jak mi się powodzi, a także, czy mi czegoś nie potrzeba. Powiedziałem, że nie, i znów zapytałem o nazwisko, lecz on tylko odrzekł, że to nieważne, że zresztą znam go dobrze. I wtedy powiedział do mnie: „Jet”.

— Jak? — nie zrozumiał Alberdi.

— „Jet”. Tak mógł powiedzieć tylko ojciec. Nikt inny. To było nasze tajemne słowo. Rodzaj hasła... którego używaliśmy tylko w największej tajemnicy, w czasie zabawy w podróż po kraju „Jet”. Zналиśmy je tylko dwaj. Oczywiście, biorąc na zdrowy rozsądek, odrzucałem początkowo kategorycznie, aby to mógł być głos ojca. Bo skąd? I wtedy, chociaż absolutnie nie wierzę w duchy, zacząłem interesować się tym, co w ogóle ludzie mówili i pisali na temat śmierci i tego, co się z człowiekiem później dzieje. U jednego z kolegów natrafiłem na książki o spirytyzmie i okultyzmie. Być może trochę byłem pod ich wrażeniem... Ale nie miałem z kim tego wszystkiego przedyskutować. I wtedy napisałem do wuja. Czekałem też na telefon, lecz dopiero po siedmiu miesiącach się odezwał. Niestety, niczego nowego się nie dowiedziałem. Tyle, że nabrałem jeszcze większej pewności. To był głos ojca. Ale nie zdobyłem się wówczas na zadanie mu pytania, czy to on.

— Gdzie odebrałeś telefon?

— Znów w domu. Tym razem wieczorem, i to jakoś tak, gdy nikogo nie było w domu. De Lima był w podróży służbowej, a mama w kinie. Rozmowa miała podobny przebieg jak poprzednio. Tylko przy końcu zapytałem, czy jeszcze będzie dzwonił. Powiedział mi, że tak, ale nie prędzej jak za pół roku. I abym nikomu nie mówił. Ostatnią, czwartą rozmowę telefoniczną miałem trzy miesiące temu. Było to w Instytucie Burta.

— Więc byłeś tu, w Punto de Vista? I nie wpadłeś do mnie? — powiedział ksiądz z wyrzutem.

— Nie mogłem. Była wówczas niedziela i pojechaliśmy z mamą i de Limą do „casa grande” na cały dzień. Po południu przyjechał ksiądz dziekan Alessandri. Jak zasiedli do brydża, wziąłem skuter i pojechałem do Instytutu. Profesor prosił, abym koniecznie wpadł do niego, gdy będę w Punto.

— Często widywałeś się z profesorem Bonnardem?

— Czasami... — odrzekł Mario wymijająco.

— Czy mama wiedziała, że pojechałeś do Bonnarda?

— Nie pytałem jej o pozwolenie — odparł hardo.

Rozmowa urwała się.

— Jak to było z tą rozmową telefoniczną? — podjął Alberdi. — Wspomniałeś, że różniła się od trzech poprzednich.

— Rozmawiałem z profesorem, gdy zadzwonił telefon. Profesor powiedział, że do mnie. Byłem przerażony, że to mama. Ale to był on... Zapytałem go wówczas... czy to on.

— No i co odpowiedział?

— Nie odpowiedział na to pytanie w ogóle. Tylko tyle, abym się nie przejmował, że wszystko będzie dobrze i że znów zadzwoni.

— Jakaż więc była różnica między tą rozmową a poprzednimi? Bo z tego, co mówisz, nic nie wynika.

Mario milczał.

— Czy dowiedziałeś się czegoś nowego? — nacierał Alberdi.

— Tak.

— Czegoś bardzo ważnego?

— Tak. Powiedział mi o czymś, o czym mógł wiedzieć tylko mój ojciec. O czymś, co dotyczyło przeszłości. I okazało się, że wszystko to było prawdą — dorzucił z jakąś niezrozumiałą zawziętością.

— Mów jaśniej. O co chodziło?

— Nie... nie... Tego powiedzieć nie mogę. Już wujowi mówiłem, że nie mogę. To ta sama sprawa...

— Cóż, trudno. Jak nie możesz, to nie możesz.

— I co wuj o tym wszystkim myśli? — padło pytanie, pełne niecierpliwego oczekiwania.

— No cóż?... Dziwnie to wszystko wygląda. Ale jedno ci powiem: Nie wierzę w to, aby to był twój ojciec. Bądź spokojny. Duchy nie rozmawiają z żywymi przez telefon. Tam, na drugim końcu przewodu musiał być

żywy człowiek...

— Czy tylko dlatego wuj tak sądzi, że chodzi tu o telefon? A czym jest gorszy telefon od głosu z nieba? Albo głosu wewnętrznego jak u świętej Joanny? A gdybym słyszał głos wśród nocy, w pokoju, wydobywający się z obrazu czy w ogóle nie wiadomo skąd? Albo głos widma na seansie spirytystycznym? Dlaczego ten sposób ma być jakoś bardziej typowy dla duchów?

Ksiądz Alberdi nie miał jednak zamiaru się upierać.

— Mniejsza o telefon. Rzecz w tym, że w ogóle nie wydaje się możliwe, aby wchodził tu w rachubę głos zza grobu.

— Jeśli wuj wierzy, że zdarzały się takie przypadki przed wiekami, to czemu nie mogą i dzisiaj?

— Nie o to chodzi! — zdenerwował się ksiądz. — Każdy taki przypadek musiałby być dokładnie zbadany. Wnioski należy wysnuwać bardzo ostrożnie. Jeśli tak wierzysz w to, że słyszałeś głos ojca, ja nie mam zamiaru go słownie zaprzeczać. Ale tamto „wasze” słowo to jeszcze nie dowód. Mógł je ktoś znać, słyszeć... Może ojciec zostawił pamiętniki...

— Dlaczego jednak chciano by mnie... — urwał raptownie. — Wuj myśli, że ja bredzę. Dobrze. Może sobie wuj tak myśleć. Może to i jest majaczenie, halucynacje, może jestem nienormalny... Ale ta ostatnia rozmowa była przy profesorze...

— Wierzę ci. Jutro porozmawiamy.

Skrzypnęła podłoga. Czułem, że ksiądz idzie w moją stronę. Cofnąłem się w kierunku spiżarni, ale wiedziałem, iż jeśli zaraz zabłyśnie światło, nie zdążę się już ukryć.

Na szczęście Alberdi podszedł wprost do drzwi wejściowych i odsunąwszy zasuwę, uchylił je ostrożnie. Chwilę nasłuchiwał, potem wyszedł na ganek.

— Chodź. Nikogo nie ma — rzucił szeptem w głąb mieszkania.

Cień Maria przemknął tuż obok mnie. Słyszałem, jak ksiądz i jego siostrzeniec schodzą po stopniach na ścieżkę.

Odgłos kroków ścichł. Po chwili dobiegło mnie głucho uderzenie o ścianę od strony spiżarni. Domyśliłem się, że przystawiono drabinę do stryszku. Nie miałem ani chwili do stracenia. Drzwi stały otworem.

Na ganku nikogo nie było. Alberdi i Mario znajdowali się po drugiej

stronie budynku.

W zasadzie mógłbym teraz podejść do nich, udając, iż dopiero przyszedłem. Ale czy nie wzbudziłoby to podejrzeń?

Zszedłem ostrożnie z ganku i ruszyłem aleją ku furcie.

Na schodach pod kościołem spotkałem Katarzynę. Była zdenerwowana w najwyższym stopniu.

— Gdzieś ty się podziewał? Chciałam już szukać posterunku policji. Myślałam, że leżysz gdzieś z rozbitą głową. Po parku kręcą się jakieś podejrzane typy...

— To ludzie da Silvy. A jeśli chodzi o mnie, to jak ci opowiem — nie uwierzysz! Znajdowałem się w najgłupszej w życiu sytuacji, niemal o krok od potwornej kompromitacji.

Opowiedziałem pokrótce swe przygody i posłyszane nowiny. Katarzyna z początku kpiała ze mnie, jednak nietrudno było dostrzec, że to, co usłyszała, wywarło na niej silne wrażenie.

— Przyjadę tu jutro — oświadczyła, gdy już byliśmy na szosie. — Spróbuję jeszcze raz sama porozmawiać z Mariem i jego wujem. A być może także z Bonnardem.

— Chcesz odwiedzić Instytut?

— Tak. Razem z Mariem. Spodziewaj się rewelacji. Z tego, coś usłyszał, zdaje się wynikać, iż sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż sądziłam.

— Przypuszczasz, że José Braga żyje?

— Nie wiem. Nic nie wiem — zaprzeczyła, ale nie byłem pewny, czy mówi prawdę.

VIII

W Punto de Vista znalazłem się ponownie dopiero po czterech dniach od pamiętnej nocnej wyprawy na plebanię.

Następnego dnia próbowałem dodzwonić się do Katarzyny, ale w domu jej nie było, na uniwersytecie zaś powiedziano mi, że jest na jakiejś konferencji, a później, że już wyszła. Jej domowy telefon nie odpowiadał ani tego dnia wieczorem, ani przez następne dwa dni. Byłem na nią wściekły — mogła przecież sama zadzwonić albo przynajmniej zostawić wiadomość.

Początkowo próbowałem się pocieszać, iż pojechała do Punto de Vista i nie może się ze mną skomunikować, ale mój aplikant widział ją w czwartek, jak przejeżdżała swoim wozem przez plac Przymierza, a więc nie ulegało wątpliwości, że po prostu unika rozmowy ze mną.

Tymczasem Limowie nie próżnowali i w środę musiałem zająć się sprawą ekshumacji. Muszę przyznać, że nadspodziewanie łatwo załatwiłem wszystkie formalności dotyczące samego aktu i ekspertyzy sądowo-lekarskiej.

Nie ulegało wątpliwości, że moi klienci mieli poparcie jakichś wpływowych czynników w sądownictwie i policji. Termin ekshumacji ustaliliśmy na piątek przed południem. Do Punto de Vista wyjechałem tego dnia bardzo wcześnie, gdyż postanowiłem, że porozmawiam z Alberdim i Mariem przed przybyciem komisji i de Limów. Ranek był pogodny, lecz chłodniejszy niż zazwyczaj o tej porze roku. Krótkotrwała nocna ulewa spłukała pył pokrywający szosę po kilkumiesięcznej suszy, tak iż przez całą drogę mogłem rozkoszować się czystym powietrzem, pełnym świeżej, rannej wilgoci.

Księdza Alberdi nie zastałem w domku ani w głębi ogrodu. Na ganku siedziała stara, chuda Indianka i obierała jarzyny, widocznie przygotowując obiad. Na moją indagację odpowiedziała, że księdza nie ma, że chyba w kościele, bo cieśla miał naprawić kazalnicę.

Gdy zapytałem, czy Mario Braga jest razem z księdzem w kościele, czy też w domu, łypnęła na mnie podejrzliwie czarnymi, zapadniętymi w głąb czaszki oczami i tylko powtórzyła:

— Ksiądz proboszcz najpewniej w kościele.

Alberdi rzeczywiście był w kościele, asystując przy naprawie kazalnicy. Na mój widok jakby się zatrwożył, lecz natychmiast twarz jego przybrała wyraz opanowania i spokoju. Podeszedł do mnie i przywitał się w sposób nie pozbawiony nawet pewnej serdeczności.

— Nie spodziewałem się, że już przyjedziecie.

— Przyjechałem sam. Chciałbym z księdzem porozmawiać.

— Czyżby zrezygnowano? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Niestety... Komisja powinna przybyć za godzinę. Odruchowo zagryzł wargi.

— Dziwi pana, że wyraziłem zgodę? — uniósł na mnie wzrok pełen niepokoju. Czyżby chciał wyczytać z mojej twarzy usprawiedliwienie dla siebie? — Cóż ja mam tu do powiedzenia? A zresztą... Zmieniłem zdanie — dodał, jakby się przestraszył własnej śmiałości. — Przekonano mnie. Tak będzie lepiej.

— Rozumiem. Długie ręce de Limy...

Alberdi nie podjął tematu.

— Chciał pan ze mną porozmawiać? Przejdźmy do zakrystii — ujął mnie pod ramię nad podziw przyjacielskim ruchem.

— Właśnie. Byłem w niedzielę wieczorem u księdza, ale...

— Wiem. Mówiła mi pańska znajoma, doktor Dali. Przyjeżdżała tu jeszcze dwukrotnie. Rozmawiała ze mną długo. Szczerze! — zaakcentował trochę nieprzyjemnym tonem, ale zaraz twarz mu się wypogodziła.

Weszliśmy do zakrystii. Ksiądz usiadł na kanapce pod oknem, wskazując mi ruchem ręki miejsce obok siebie.

— Słucham pana, mecenasie.

— Jak ksiądz chyba wie, istnieją poważne podstawy do przypuszczeń, iż José Braga żyje. Być może nawet ukrywa się tu, w Instytucie.

Alberdi patrzył na mnie z uwagą.

— To samo twierdzi pańska znajoma. Ale uważam, że to niemożliwe. Widziałem Joségo po śmierci...

— I jest ksiądz pewny, że pochował zwłoki Bragi?

— Prosiłem, aby otwarto na chwilę trumnę. Co prawda był bardzo zmieniony, jak zwykle bywa po dłuższej, wyniszczającej chorobie. Ale to

z pewnością był on.

— Czy ksiądz... dotykał zwłok?

Alberdi poruszył się niespokojnie.

— Więc i to pan wie? — zapytał cicho. Zrozumiałem, że myśli o czymś innym niż ja.

— Ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia? Nie o to mi chodziło. Czy ksiądz jest pewien, że zwłoki nie były ucharakteryzowane? Albo nawet... woskowa kukła.

— Ależ! — zaprzeczył Alberdi ze zgrozą i wracając do sprawy, która go gnębiła, powiedział pośpiesznie, jakby chciał jak najszybciej zrzucić z siebie jej ciężar: — Pan myśli, że nie miałem prawa... Ale ja miałem prawo! Miałem prawo udzielić mu sakramentu warunkowo. *Si capax es...* Rzecz w tym, iż ja rozmawiałem z nim przed śmiercią i mam podstawy do przypuszczeń, że się nawrócił...

— Więc ksiądz go widział tuż przed śmiercią?!

— Niezupełnie. Zmarł w dwa tygodnie później.

— Przyjrzał mu się ksiądz dobrze? To był ten sam człowiek?

Alberdi zamyślił się.

— Prawdę mówiąc — podjął po chwili wolno, jakby z wahaniem — w pokoju panował półmrok, Joségo raziło światło. I głowę miał zabandażowaną... W uchwytach. Był po operacji. Ale twarz widziałem. Ta sama co później, po śmierci... To z pewnością był on! — dodał stanowczo. — Przede wszystkim głos. Ten sam głos. Sposób mówienia. Nie ulega wątpliwości.

— Nikt nie będzie kwestionował tego, że ksiądz widział w szpitalu Joségo Bragę — sprostowałem nieporozumienie. — Chodzi tylko o to, czy później, po ogłoszeniu, że zmarł, gdy ksiądz otworzył trumnę, były to zwłoki tego samego człowieka.

Znów się zawahał.

— Wtedy nie miałem żadnej wątpliwości. Ale... teraz... gdy się tak zastanowić... pewności nie ma. Lecz to były prawdziwe zwłoki!

— Więc wówczas, na dwa tygodnie przed śmiercią, Braga się wypowiadał? — zmieniłem temat.

— Nie, nie — zaprzeczył pośpiesznie. — O tym w ogóle nie mogło być mowy. Pan nie znał Joségo! Ale... z tego, co mówił, wyczułem, że gotów jest pojednać się z Bogiem. Dlatego miałem później prawo...

— Czy on prosił, aby go ksiądz odwiedził?

— Przyszedłem z własnej woli. Bonnard początkowo nawet robił trudności, ale później się zgodził. José bardzo się ucieszył. Myślę, że nawet... czekał na mnie.

— Czy ksiądz mógłby mi opowiedzieć przebieg tej rozmowy? Gwarantuję pełną dyskrecję. Chodzi o to, że, być może, to, co Braga mówił, rzuci jakieś światło na sprawę. Oczywiście, jeśli ksiądz nie jest związany tajemnicą.

— Nie zastrzegam, chociaż wówczas można było, w pewnym stopniu, traktować rozmowę jako poufną. Nie o to jednak chodzi, abym się obawiał pańskiej niedyskrecji. Są to sprawy, które nie mogą w niczym ani pomóc mojej siostrze, ani wyrządzić szkody Josému. Ale moja relacja nie będzie miała chyba żadnej wartości. Po prostu mogłem zapomnieć wiele szczegółów. To przecież już ponad sześć lat. Czas zaciera kontury...

Czułem, iż Alberdi wzbrania się raczej pro forma.

— Rozumiem, ale może jednak ksiądz spróbuje sobie przypomnieć. Wszystko może mieć znaczenie...

— Niech się pan nie spodziewa szczegółów. Może tylko to: jak wszedłem do separatki, José nie wiedział, że to ja, i zapytał, kto przyszedł. Chociaż patrzył na mnie. To mi utkwiło w pamięci. On już bardzo źle widział, porażenie ośrodków wzrokowych. A w pokoju panował półmrok.

Przypomniała mi się przeczytana przed paru dniami książka.

— Więc ksiądz mówi, że on stopniowo tracił wzrok?

— Tak. To przecież był rak mózgu...

— A później, gdy księdza poznał, co mówił?

— Już nie pamiętam szczegółów. W każdym razie prosił mnie, abym, jeśli umrze, opiekował się Mariem. To znaczy, ściślej biorąc — zmieszał się trochę — chodziło mu o to, abym wpłynął na siostrę... Żeby zgodziła się na to, czego zażąda w testamencie. Ale nie chciał mi powiedzieć, w czym rzecz.

— I próbował ksiądz przekonać panią Dolores?

— Nie. Nie rozmawiałem z nią nawet. Zresztą... moim zdaniem matka to matka. Powiedziałem też Josému, że dopóki nie znam treści testamentu, nic nie mogę przyrzec.

— A co on na to?

— Już nie pamiętam jego słów. W każdym razie przyjął to spokojnie. Nawet się ze mną zgodził. Potem... Już nie przypominam sobie, jak to było... Zeszliśmy na kwestie filozoficzne.

I wtedy właśnie zaczął mówić o życiu wiecznym. Powiedział, że wierzy, iż ono jest możliwe.

— Czy ksiądz jest pewien, że on miał na myśli życie pozagrobowe w religijnym tego słowa znaczeniu? Że nie była to tylko pewnego rodzaju przenośnia?

— To nie była przenośnia! Co prawda zaraz się zastrzegł, że filozofowie katolicy, a nawet w ogóle każda religia pojmuje to życie wieczne fałszywie... Ale pewne jest, iż uznał je za fakt niezaprzeczalny, za realność! A to w jego ustach znaczyło ogromny krok naprzód... ku Bogu!

— Rozumiem. Ale na temat istnienia Boga, związku dusz z Bogiem, nieba... Ksiądz rozumie, o co mi chodzi?

— Za wiele pan wymaga, mecenasie. José Braga to była dusza harda, uparta... A poza tym, jeśli nawet zaczynał pojmować prawdy wieczyste, z pewnością nie mówiłby na ten temat tym samym językiem co prosty chłop z Punto de Vista, a nawet pan i ja... Musiałby to przełożyć na własny język pojęć. Tak, proszę pana. Choć ani razu nie użył słowa „Bóg”, wiedziałem, że Go szuka, że wreszcie poczyną Go dostrzegać, odczuwać Jego łaskę. Powiem panu: spodziewałem się nawet, że testament będzie zawierał coś w rodzaju wyznania wiary. Niestety, widocznie nie starczyło mu odwagi dla dokonania tego decydującego kroku...

— Czy czasem nie mówił on księdzu czegoś na temat... ceny, jaką trzeba płacić za nieśmiertelność? — zapytałem wpatrując się z uwagą w twarz Alberdiego. Oczy jego przybrały wyraz ogromnego zdziwienia.

— Skąd... pan... wie? — wyszeptał z wysiłkiem.

— Czy ksiądz czytał *Próg nieśmiertelności*?

— A co to? Jakaś książka? — zapytał zdziwiony.

— Najnowsza powieść Bragi. To znaczy ostatnia z ujawnionych przez Bonnarda. Musi ksiądz przeczytać. Jak najszybciej! Podejrzewam, iż można znaleźć w niej klucz do zagadki Bragi. Że to jest w istocie jego... wyznanie wiary — dodałem spuszczać wzrok.

Alberdi był ogromnie przejęty nowiną.

— Muszę to przeczytać. Pojadę po południu do miasta...

— Widziałem tę książkę u da Silvy. Może ksiądz od niego pożyczycy.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Wolałbym... — zawahał się. — Ale niech będzie — zmienił decyzję. — Poślę zakrystiana z listem. Więc mówi pan, że ta książka... — patrzył na mnie pytająco.

Stojący w kącie zakrystii stary zegar począł wydzwaniać godzinę dziesiątą. Czekaając, aż zamilkną ostatnie dźwięki, zastanawiałem się, czy powinienem zdradzić przed Alberdim wszystkie wątpliwości, jakie w ostatnich kilkunastu minutach zrodziły się w mej głowie.

— Spróbuję opowiedzieć z grubsza treść, a ksiądz sam się zorientuje — powiedziałem postanawiając ograniczyć się do streszczenia fabuły. — W zasadzie są to przeżycia psychiczne niewidomego malarza. Na początku akcji on jeszcze widzi, a dopiero później zaczyna tracić wzrok, i to w czasie tworzenia największego dzieła swego życia — gigantycznego malowidła ściennego. O stworzeniu tego dzieła marzył on od wielu lat, walcząc z przeciwnościami losu, z nędzą, obojętnością, niezrozumieniem. I oto gdy znalazł się na progu realizacji marzenia, staje się ono dla niego nieosiągalne.

— Braga też stopniowo tracił wzrok — wtrącił ksiądz. — Ale to wyraźnie wystąpiło dopiero na kilka tygodni przed śmiercią. Nie bardzo więc rozumiem...

— Niech ksiądz posłucha dalej. To jeszcze nie koniec. Tak kończy się pierwsza część książki. W drugiej części akcja przybiera nieoczekiwany obrót. Niewidomy malarz zdobywa sławę i uznanie, lecz bynajmniej nie z powodu walorów artystycznych dzieł stworzonych przed utratą wzroku ani też nieukończonego ogromnego malowidła, które uznał za swoje szczytowe osiągnięcie. Sławę i bogactwo dały mu obrazy, które malował już jako... ślepiec, próbując oszukać otoczenie, ukryć przed ukochaną kobietą swoje kalectwo, a przynajmniej odwlec moment ostatecznej klęski. Tak więc bohater powieści osiąga w zasadzie to, do czego dążył. Ale smak zwycięstwa jest gorzki. Dręczy go pytanie, czy rzeczywiście dzieła, które teraz tworzy, można uznać za piękne, czy też, po prostu, fakt, iż obrazy malował ślepiec, stanowi prawdziwą przyczynę powodzenia i uznania. Niestety, on sam nigdy nie będzie w stanie ocenić ich wartości... Tak kończy się część druga.

— I to już wszystko?

— Nie. Jest jeszcze część trzecia. Znowu akcja rozwija się jakby na

opak. Wokół kilku obrazów niewidomego malarza toczy się dyskusja. Jest to jednak dziwna dyskusja: każdy z uczestników twierdzi, że omawiane w danej chwili dzieło przedstawia zupełnie co innego.

Wszyscy zgadzają się jednak, iż obrazy mają wysoką wartość artystyczną, i wszyscy... wątpią, aby malarz był rzeczywiście ślepcem w chwili, gdy je malował. Bohater powieści dla udowodnienia, że nie ma racji, podejmuje się namalować nowy obraz w obecności ekspertów. Eksperyment oczekiwany jest z wielkim zainteresowaniem. Stanowi też świetny chwyt reklamowy dla impresariów malarza. Rezygnacja oznacza w tych warunkach krok samobójczy. A jednak malarz nie stawia się przed komisją. On również dokonuje eksperymentu. Chce sprawdzić, czy obrazy będą nadal budzić podziw, niezależnie od tego, kto był ich twórcą. Przecież swą nieobecnością da dowód, iż jako ślepiec nie potrafi malować.

W ten sposób również jednak nie jest w stanie dojść prawdy. Zaczyna bowiem podejrzewać, iż wszystko, co słyszy, jest fikcją, jest grą zainscenizowaną w tym celu, aby nie załamał się, tracąc jako ślepiec wszelkie nadzieje. Nie ujawnia jednak tych wątpliwości i nie przerywa pracy. Dlaczego? — Sam nie wie. Może choćby tylko dlatego, że kobieta, którą kocha i która, jak przypuszcza, jest właśnie inicjatorką tej fikcji, nie powinna zwątpić, że jest on szczęśliwy. I tak się kończy powieść.

— Dziwna to książka... — westchnął Alberdi. — Mówił pan jednak, iż jest to pewnego rodzaju wyznanie wiary. Nie bardzo rozumiem, co to wszystko, o czym pan opowiadał, ma wspólnego z życiem wiecznym, wiarą i religią?

— Streściłem tylko akcję. To jakby zewnętrzna warstwa... W istocie wszystko obraca się wokół problemu nieśmiertelności. Stąd i tytuł książki. Ta nieśmiertelność pojmowana jest chyba symbolicznie. Bohater nie ceni sobie ani bogactwa, ani sławy w sensie, że tak się wyrażę, doczesnym. On marzy o nieśmiertelności poprzez utrwalenie swych dzieł nie tylko w pamięci ludzkiej, ale w ludzkim wzruszeniu. Bohater wciąż znajduje się na progu nieśmiertelności i nie może go przekroczyć. Wydaje mu się, że już jest poza nim, a później okazuje się, że to złudzenie, że to fikcja. Ciągłe też musi płacić jakąś cenę, coraz zresztą wyższą, za tę nieśmiertelność. W końcu nawet płaci świadomością własnego istnienia, jeśli przyjmiemy tezę, że kontynuowanie twórczości jest właśnie owym

istnieniem, owym ciągiem prób osiągnięcia nieśmiertelności. Czy mnie ksiądz rozumie?

Alberdi milczał. Kiwał z lekka kilka razy głową, ale było to tylko odruchowe wtórowanie własnym myślom, bo po chwili powiedział niepewnie:

— Muszę koniecznie sam przeczytać... Zdaje się, że jednak pan ma rację... A ja... Cóż za naiwność!... — westchnął z goryczą. — Nie rozumiałem, o czym mówił... Ciekawe jednak, kiedy on to napisał? — wrócił nagle do zwykłego rzeczowego tonu.

— Doktor Dali twierdzi, że *Próg nieśmiertelności* jest spośród wydanych dotąd dzieł Bragi najmłodszym, najpóźniej napisanym. Być może skończył on tę książkę tuż przed śmiercią. Bo przypuszczenie, iż ostatnie książki Bragi są wytworem maszyny piszącej w jego stylu, wydaje mi się zbyt fantastyczne.

— Doktor Dali mówiła o tym. Ale z tego, co mi pan opowiadał przed chwilą, wnioskuję, że to wykluczone. Zaczynam raczej wierzyć, iż José żyje, a w jego grobie spoczywają zwłoki jakiegoś innego człowieka.

Spojrzałem na zegar. Komisja lada chwila mogła przyjechać, a ja nie zdążyłem dotąd wiele zdziałać. Należało się spieszyć.

— Czy ksiądz pozwoli, że zadam mu jeszcze kilka pytań? Chodzi mi przede wszystkim o młodego Bragę.

Alberdi poruszył się niespokojnie.

— Słucham pana.

— Co ksiądz sądzi o Mariu? Czy on rzeczywiście cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne?

— A cóż pan wie na ten temat? — odparł patrząc na mnie podejrzliwie.

— Pańska siostra i szwagier mówili, że Mario nie czuje się najlepiej — powiedziałem wymijająco, usiłując ukryć zmieszanie. — Już zresztą sam fakt kilkakrotnej ucieczki... Poza tym nerwowość, jakieś urazy, halucynacje...

Ksiądz patrzył na mnie badawczo.

— Czy o tych halucynacjach słyszał pan od mojej siostry i szwagra, czy też od doktor Dali? Niech pan sobie przypomni. To bardzo ważne!

Znów zamiast ja jemu, on mnie zadawał pytania.

— Mogę księdza zapewnić, iż nie słyszałem tego od pani Dolores ani

też jej męża. Chciałbym jednak dowiedzieć się, czy ksiądz nie zauważył u Maria jakichś zaburzeń psychicznych.

— Moim zdaniem, nic nie wskazuje, aby był nienormalny. Owszem, jest trochę niezrównoważony psychicznie, ale to nie choroba. Bo to, co pan nazywa halucynacjami — określił oględnie — może mieć bardzo naturalne wytłumaczenie. Jeśli zaś potwierdzi się przypuszczenie, że José żyje...

— No tak... — rozpocząłem i urwałem. Ktoś zapukał do drzwi zakrystii. Ksiądz wstał i otworzył. Na progu stała stara Indianka.

— Przyjechali panowie. Pytają o waszą wielebność.

— Już idziemy! — odrzekł krótko Alberdi i skinął w moim kierunku głową. Wstałem więc również, ale nim wyszliśmy z zakrystii, chwyciłem księdza za rękaw.

— Mario jest u księdza w domu? Prawda? — zapytałem ściszym głosem. — Chciałbym koniecznie z nim porozmawiać. Niech mi ksiądz to ułatwi.

Zatrzymał na mnie wzrok, ale nie wyczułem nieufności.

— Maria nie ma — powiedział takim tonem, jakby się usprawiedliwiał. — Naprawdę nie ma go u mnie teraz. Wczoraj wieczorem była tu ponownie pańska znajoma. Wiedziałem już, że dziś ma być ekshumacja. Powiedziałem jej o tym, a ona zaproponowała, że zabierze Maria na cały dzień na wycieczkę... że tak będzie lepiej. To dla Maria zbyt wielki wstrząs. Myślałem, że pan wie...

— Nie widziałem się z doktor Dali od czterech dni.

— Więc skąd pan wie o tych halucynacjach?

— Powiem księdzu później. Tamci z pewnością już się niecierpliwią — próbowałem zyskać na czasie.

— Ale to na pewno nie Dolores? — zapytał podejrzliwie.

— Nie. Mówiłem już przecież. Chodźmy! — przynagliłem, aby nie dopuścić do dalszych indagacji.

Spośród grupy mężczyzn czekających na nas przed kościołem znałem osobiście tylko dwóch: sędziego śledczego Castello i de Limę. Pani Dolores nie było, co bynajmniej mnie nie zdziwiło, zważywszy, iż uczestnictwo przy ekshumacji stanowiłoby z pewnością dla niej wstrząsające przeżycie. Zaskoczyła mnie za to obecność jakiegoś duchownego o dostojnym wyglądem. Jak się później okazało, był to

ksiądz dziekan Alessandri, bliski przyjaciel de Limów i kolega Alberdiego z seminarium, a obecnie jedna z wpływowych osobistości w kurii.

Jako eksperta sprowadzono prof. Gomeza, wybitnego specjalistę w zakresie medycyny sądowej, któremu towarzyszył młody lekarz-asystent oraz dentysta leczący przed laty Bragę.

Po prezentacji ksiądz Alberdi poprowadził nas do bramy cmentarnej, gdzie oczekiwali już dwaj policjanci wraz z trzema kopaczami. Pozostawiwszy jednego z policjantów przy bramie, aby nie dopuścić poza mury gromadzącej się gawiedzi, ruszyliśmy wąską ścieżką między grobami. Były to przeważnie groby biedne i zaniedbane, tylko bliżej kościoła i tuż pod jego ścianą dostrzegłem kilka okazalszych pomników, prawdopodobnie wzniesionych przed wielu dziesiątkami lat.

Grób Joségo Bragi znajdował się w głębi cmentarza, niemal tuż przy murze, biegnącym wzdłuż zachodniego zbocza wzgórza. Na nowej, widać niedawno położonej płycie błyszcząły w słońcu złocone litery i cyfry. Stanęliśmy wokół grobu rozproszeni w kilku grupach. Sędzia Castello wraz z protokolantem podszedł do Alberdiego i zwracając się do niego głośno, tak aby wszyscy słyszeli, powiedział:

— Zapytuję tu obecnego księdza Estebana Bartolomea Alberdiego, proboszcza parafii w Punto de Vista, czy może potwierdzić, iż w miejscu tym w dniu 25 marca 1979 roku w jego obecności pochowana została trumna ze zwłokami Joségo Bragi, pisarza, urodzonego 4 maja 1940 roku w Rio de Janeiro, zmarłego 20 marca 1979 roku w Instytucie Neurocybernetyki im. Samuela Burta w pobliżu Punto de Vista?

— Tak jest! — odrzekł Alberdi.

— Zapytuję księdza proboszcza — podjął sędzia — czy wyraża zgodę na otwarcie grobu uznanego za grób wspomnianego Joségo Bragi?

Na moment wzrok Alessandriego spotkał się ze wzrokiem Alberdiego.

— Wyrażam zgodę! — powiedział Alberdi, a w głosie jego wyczułem niepokój.

— Otworzyć mogiłę! — zwrócił się Castello do kopaczy. Podszedłem do sędziego.

— Czy profesor Bonnard został powiadomiony o ekshumacji? — zapytałem półgłosem.

— Nie sądzę, aby to było konieczne — odrzekł Castello lakonicznie i

zwracając się do policjanta stojącego po drugiej stronie grobu rozkazał:
— Sierzancie! Usuńcie te dzieci! Ruchem głowy wskazał w górę, ponad głowę policjanta, gdzie kilku urwisów wiejskich siedziało już na murze, przyglądając się nam z zaciekawieniem.

— Jazda stąd! — wrzasnął sierżant i mur opustoszał.

Uczułem dotknięcie czyjejś ręki. To de Lima podszedł do mnie i zaproponował:

— Przejdźmy się trochę. Pan pozwoli...

Robotnicy dźwignęli płytę i oparli o sąsiedni grób.

— Chodźmy — powiedziałem do de Limy. Poprowadził mnie w boczną ścieżkę. Za nami słychać już było zgrzyt łopat o kamienisty grunt.

Szliśmy chwilę w milczeniu. Czekałem, aż de Lima się odezwie, ale on jakoś zwlekał, nie wiedząc, jak zacząć.

— Słyszałem, co pan mówił do sędziego — odezwał się wreszcie szeptem, trochę jakby onieśmielony. — Niech mnie pan źle nie rozumie, ale... lepiej nie pytać o to... tak wprost.

— O Bonnarda?

— Właśnie. To sprawa... delikatna. Zawiadanie Bonnarda byłoby posunięciem taktycznie szkodliwym. A formalnie nie ma potrzeby. To mogłoby bardzo skomplikować sytuację. Chodzi o to, że istnieją dwie możliwości. Wyobraźmy sobie, że zwłoki, które znajdziemy w grobie, są rzeczywiście zwłokami Joségo Bragi i że nie uda się stwierdzić żadnych obrażeń wskazujących na eksperymentowanie. Śledztwo zostanie umorzona... a nawet... być może jeszcze w ogóle formalnie nie zostało podjęte... Nikt zarzutów wobec Instytutu Burta nie wysuwa. Żadnych pretensji Bonnard mieć nie może. Nawet jeśli dowie się o ekshumacji, to mogą być inne jej powody.

Uderzyło mnie dziwne zaakcentowanie ostatnich słów, ale nim zdążyłem zapytać, co ma na myśli, ciągnął dalej:

— Istnieją jednak znaczne szanse, że sprawa weźmie inny obrót. Powiedzmy, szkielet znaleziony w grobie nie będzie szkieletem Joségo Bragi albo też okaże się, że przeprowadzano jakieś podejrzone zabiegi... Sytuacja wtedy jest jasna. Oficjalne podjęcie śledztwa w pełni uzasadnione. Inaczej wówczas pogadamy z Bonnardem! Ujawnienie przed czasem, do czego zmierzamy, ułatwiłoby kontrakcję. Pan dyrektor Bonnard ma wielu przyjaciół... W kraju i za granicą... Niewykluczone, że

naciśnięto by jakąś sprężynę i sprawa przeszłaby w ręce innego sędziego.

— Rozumiem. Bardzo sprytnie pomyślane.

— Costello to twarda sztuka, z nim sobie nie dadzą rady. Musi tylko znaleźć punkt zaczepienia. Zresztą pan wie, że to facet o idealnie czystych rękach. Nikt mu nic nie może zarzucić.

— Tak. Znam go. Czy to on wytrzasnął tego dentystę?

— Nie. To Dolores sobie przypomniała. Ale to oczywiście jego inicjatywa. Uzębienie bardzo pomaga w identyfikacji. Co prawda podstawowym znakiem szczególnym jest brak żeber, ale w szkielecie mogą być większe ubytki.

— Widzę, że pomyśleliście o wszystkim. Obawiam się, że macie słuszne pretensje do mnie, iż tak mało pomogłem...

— Nie! Nie! — zaprzeczył gwałtownie. — Na pana inicjatywę liczymy dopiero w drugiej fazie. Rzecz w tym, iż pan również, jak Castello, należy do ludzi, którym nic nasi przeciwnicy nie mogą zarzucić. To bardzo ważne!

— Gdzie jest teraz pańska małżonka?

— Czeka w cosa grande na wyniki. Chcielibyśmy też ewentualnie zabrać Maria do domu.

Byłem zaskoczony tą zmianą decyzji.

— Myślę, że byłoby lepiej, aby, tak jak ustaliliśmy, chłopiec pozostał przez kilka tygodni u księdza Alberdiego. Z pewnością dobrze się tu czuje...

— Widział go pan? — zapytał de Lima ze źle ukrywanym niezadowoleniem.

— Teraz nie. Ale ksiądz Alberdi jest zdania...

— Bardzo cenię autorytet moralny mego szwagra, ale boję się, że nie potrafi roztoczyć nad chłopcem właściwej opieki.

— Jak pan to rozumie?

— Widziano go w pobliżu... Instytutu.

Pomyślałem o Katarzynie.

— Samego czy...

— Nie. Nie. Szwagier nie lubi spacerów. Mario włóczy się po okolicy z bandą wiejskich łobuzów. To nie dla niego towarzystwo — urwał nasłuchując. — Musimy wracać — powiedział po chwili. — Zdaje się, że

już dotarli do trumny...

Rzeczywiście do naszych uszu dochodziły teraz głucho uderzenia łopat o drewniane wieko skrzyni. Wróciliśmy pośpiesznie na miejsce ekshumacji.

W otwartej mogile widać było już zarys trumny, a kopacze przygotowywali haki dla jej wydobycia. Obok, na dwóch sąsiednich grobach, oparto przyniesione przez robotników deski, tworząc coś w rodzaju pomostu.

Profesor Gomez, ubrany już w gumowy kitel, stał obok sędziego, kierując pracą robotników.

Podszedłem bliżej i zwracając się do profesora zauważyłem:

— Trumna jest świetnie zachowana.

— To zrozumiałe — skinął głową Gomez. — Sześć lat w suchym porowatym gruncie... Ostrożnie! Starajcie się nie przechylać! — zawołał do kopaczy, którzy już poczęli ciągnąć w górę trumnę. — Powoli! Powoli! Tak. Dobrze. Teraz naprzód! O, tak. Postawcie na deskach!

Trumna stanęła na zaimprovizowanym podwyższeniu. Robotnicy przystąpili do odkręcania śrub. Stojący z dala od grobu dentysta, protokolant, a nawet sierżant podeszli bliżej. Czekaliśmy w nerwowym napięciu.

Wreszcie wieko puściło. Robotnicy unieśli je w górę i ujrzałem w trumnie, jakby zapadnięty w jej głąb, kształt ludzki. Łysa czaszka z brązowo żółtym odcieniem pokryta była zeschniętą skórą. Twarz nie zatraciła całkowicie cech ludzkich. Można było dostrzec jeszcze zarys warg i nosa, ale umarły sprawiał wrażenie raczej starca niż mężczyzny w sile wieku. Zwłoki ubrane były w ciemny garnitur. Ręce złożone na piersiach, a wśród ściemniałych pokurczonych palców błyszczał w słońcu niewielki srebrny krzyżyk.

Trzask migawki przerwał brutalnie ciszę. Wszyscy unieśli w górę głowy. Na murze stał jakiś młody mężczyzna z aparatem reporterskim w dłoniach.

— Co pan tu robi?! — zawołał Castello, a w głosie jego było tyle niekłamanego gniewu i oburzenia, że mężczyzna stojący na murze cofnął się odruchowo i zachwiał, z trudem odzyskując równowagę.

— Jestem z Noticias. Bardzo przepraszam. — wyjąkał reporter.

— Kto panu pozwolił robić zdjęcia? — pienił się sędzia. — Proszę

natychmiast oddać film! Sierzancie! Proszę zatrzymać tego człowieka!

Groźba podziałała w ten sposób, że dziennikarz pośpiesznie zeskoczył na dół, oczywiście na drugą stronę ogrodzenia, i zniknął, zanim policjant zdołał wspiąć się na mur.

— Kto zawiadomił prasę? — zapytał Castello spoglądając podejrzliwie w kierunku de Limy i moim, ale stojący obok niego ksiądz Alessandri próbował zbagatelizować zajście.

— To nieważne. Na pewno już się nie pokaże. Zrobił zresztą zaledwie jedno zdjęcie.

Tymczasem profesor Gomez z asystentem i dentystą podeszli do trumny i nachylili się nad zwłokami. Castello i de Lima przysunęli się również bliżej. Ja jednak miałem dość makabrycznych wrażeń i oddaliłem się w kierunku stojącego na uboczu Alberdiego.

Już z daleka zauważyłem, iż twarz księdza stała się nienaturalnie blada. Moją propozycję, iż odprowadzę go do domu, przyjął z nie skrywaną ulgą.

Wziąłem go pod ramię i ruszyliśmy wolno ku wyjściu. Milczeliśmy obaj, choć pytania cisnęły się na usta.

Przy bramie czekała nas niespodzianka. Obok policjanta stało trzech mężczyzn uzbrojonych w aparaty fotograficzne i magnetofony. Poczęły strzelać migawki, posypały się pytania. Na nieszczęście policjant zdradził, kim jest prowadzony przeze mnie ksiądz.

— Czy można prosić waszą wielbność o wywiad dla naszej rozgłośni? — wołał krępy, rumiany na twarzy reporter podsuwając Alberdiemu pod nos mikrofon. — To ksiądz przyczynił się do nawrócenia Joségo Bragi? Alberdi spojrzał w półprzymkniętym na reportera.

— Ja?... Ja?... — wyrzekł z lękiem. Począł się cofać.

— Proszę księdza, choć parę słów dla Ultima Hora — nacierał drugi dziennikarz.

— Panowie! Czy nie widzicie, że ksiądz się źle czuje?! — zawołałem z gniewem, odpychając reporterów.

— Tylko kilka zdań. Ksiądz udzielił ostatnich sakramentów Josému Bradze, prawda? — Proszę nas przepuścić — przepychałem się ku drzwiom kościoła, ciągnąc za sobą Alberdiego.

— Rozejść się! Proszę, niech panowie się rozejdą! — wołał policjant, wahając się, czy opuścić posterunek przy bramie i pospieszyć nam z

pomocą, czy też pozostać na miejscu.

— To może chociaż pan coś powie? — przyskoczył jeszcze raz do mnie reporter. — W jakim celu przeprowadzana była ekspertyza? Czy są już wyniki? Czy to prawda, że zwłoki Bragi zniknęły?

— Proszę odejść!

Wepchnąłem Alberdiego do kruchty i zatrzasnąłem drzwi.

Ksiądz stał pod ścianą i oddychał ciężko. Zaprowadziłem go do zakrystii, ale nie chciał tam pozostać, widocznie obawiając się nowego najścia reporterów. Wyszliśmy bocznymi drzwiami do ogrodu. Minęło chyba ze dwadzieścia minut, zanim dotarliśmy na plebanię. Alberdi czuł się bardzo źle. Musieliśmy co krok odpoczywać.

Stara Indianka złorzecząc na „panów z miasta”, którzy księdza wpędzą do grobu, pomogła ułożyć Alberdiego na tapczanie i przyniosła butelki z lekarstwami.

Widocznie Alberdi już od dłuższego czasu chorował na serce, bo domowa apteczka była nieźle zaopatrzona.

Powoli bladość ustępowała i oddech stawał się spokojniejszy. Siedziałem przy nim na tapczanie, a on trzymał kurczowo moją rękę, jakby bał się, abym nie odszedł i nie zostawił go samego. W miarę jednak jak wracały siły, ciekawość poczynała brać górę nad lękiem.

— Niech pan tam... pójdzie... i dowie się... a potem wróci... — to były pierwsze słowa, jakie od niego usłyszałem.

— Może jednak jeszcze trochę zostanie.

— Nie, nie... Niech pan już idzie! Noka zostanie przy mnie.

— Jeśli ksiądz chce koniecznie...

Wstałem. Alberdi patrzył mi w oczy pytająco. Nie wiedziałem, czy już iść, czy czekać.

— Pan widział... ten... krzyżyk? — zapytał wreszcie cicho. Skinąłem głową.

— To ja... — wyszeptał urywając. — Nie mogę sobie darować.

— Ależ... Nic się nie stało strasznego. Przymknął oczy.

— Niech pan idzie i wraca — powiedział po chwili, już niemal spokojnie.

Przed kościołem spotkałem księdza dziekana Alessandriego. Na natrętne nagabywania reporterów odpowiadał grzecznie, lecz stanowczo.

— Nie udzielam żadnych wywiadów. Z wszelkimi pytaniami proszę się zwracać do sędziego Castello.

Gdy mnie zobaczył, zatrzymał się i dając zdecydowanym gestem znak dziennikarzom, aby odeszli, zapytał:

— Czy ksiądz Alberdi jest u siebie w domu?

— Tak, ale czuje się bardzo źle. Czy ksiądz dziekan chce go odwiedzić?

— Owszem — odrzekł krótko i po chwili dodał: — Dziękuję panu, mecenasie, że się pan nim zaopiekował.

— Czy już są wyniki ekspertyzy? — spytałem ścisząc głos, aby nie dosłyszeli reporterzy. Skinął głową.

— Częściowo... — odpowiedział wymijająco i skłoniwszy się z lekka zniknął w drzwiach kościoła.

Przyspieszyłem kroku.

Gdy dochodziłem do miejsca ekshumacji, trumna była już spuszczonej w dół i robotnicy przykrywali mogiłę deskami. Profesor Gomez, już bez kitla, dyktował coś protokolantowi, jego asystent zaś składał narzędzia. Obok niego stało na ziemi, już zamknięte, okrągłe, metalowe pudło. Sędzia Castello wydawał jakieś polecenia sierżantowi policji. Podszedłem do de Limy, który stał, przysłuchując się temu, co dyktuje profesor, a że ten właśnie skończył, ciekawość moja mogła być wreszcie zaspokojona.

— Gdzie się pan podziewał, mecenasie? Czy pan już zna wyniki? — zawołał de Lima na mój widok.

— Niestety, musiałem zająć się księdzem Alberdim. Biedak zasłabł. No i co nasi eksperci?

— Obawy potwierdziły się w pełni! — powiedział de Lima ze źle skrywanym zadowoleniem.

— Więc to nie Braga?

— Braga. Nie ulega wątpliwości, że to on. Chodzi o eksperymenty! Biedny José!... Traktowano go jak królika doświadczalnego.

— Ksiądz dziekan mówił mi, że nie ma jeszcze pełnych wyników.

— W zasadzie wnioski są jednoznaczne. Chodzi tylko o uzupełniające badania. Profesor nie ma tu warunków ani wszystkich niezbędnych narzędzi. Dlatego zabiera czaszkę do siebie, do laboratorium.

— To kwestia paru dni — dorzucił Gomez. Spojrzałem na okrągłe pudło i uczułem nieprzyjemny skurcz w żołądku.

— Czy jednak pan profesor jest pewny, że to były eksperymenty, a nie konieczne zabiegi lecznicze? — zapytałem po chwili.

— Jestem całkowicie pewny. To zresztą widać od razu. Gdyby pan zobaczył, co oni z nim wyprawiali... Potworność... Zresztą mogę panu pokazać — podszedł do pudła i już sięgał do wieka, lecz zdążyłem zaoponować.

— Dziękuję... Nie, nie, nie chcę... Wierzę panu na słowo.

Profesor uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Widzę, że nerwy zawodzą. Ostrzegam jednak, iż jako adwokat i pełnomocnik strony oskarżającej będzie się pan musiał zapoznać przynajmniej ze zdjęciami.

IX

Nad ranem obudził mnie telefon. Zaspany, w półprzytomny — przez całą prawie noc męczyły mnie bowiem koszmarnie majaki — podniosłem słuchawkę. Dzwoniła Katarzyna.

— Przepraszam, że cię zrywam z łóżka, ale później nie będzie możliwości kontaktu, a sprawa jest bardzo pilna. Rano zadzwonisz albo lepiej pójdziesz osobiście do de Limów i oświadczysz im, że rezygnujesz z prowadzenia ich sprawy. Możesz im ewentualnie pomóc w znalezieniu innego adwokata. Załatw to spokojnie, bez awantur... Zresztą ty to potrafisz.

Byłem zupełnie zaskoczony żądaniem.

— To niemożliwe. W południe mam oficjalnie wnieść skargę przeciw Instytutowi Burta.

— Więc jeszcze nie wniosłeś? — ucieszyła się. — To już nie wniesiesz. Zrobi to za ciebie twój następca.

— A jeśli nie będą chcieli się zgodzić? Obowiązany jestem w ciągu dwóch tygodni, od chwili wypowiedzenia, udzielać pomocy prawnej swym klientom.

— Nikt cię nie może zmusić. Chyba masz prawo odmówić wykonywania poleceń z ważkich powodów.

— Musiałbym odwołać się do Izby Adwokackiej...

— No to się odwołasz.

— Ale dlaczego tak nagle? Właśnie teraz. Co ja powiem de Limom? Z jakiego powodu?

— Powód jest prosty i odpowiada prawdzie: Jesteś przeciwny oskarżaniu profesora Bonnarda o dokonywanie niedozwolonych eksperymentów na osobie Joségo Bragi. Nie wierzysz, aby profesor był winien. To jasne!

— Ba! Kiedy właśnie teraz mam co do tego poważne wątpliwości! Autopsja wykazała, że eksperymentowano na Bradze. Profesor Gomez jest niewątpliwie autorytetem.

— To nie ma żadnego znaczenia — głos Katarzyny brzmiał dziwnie obojętnie.

— Jak to „nie ma znaczenia”? Co ty mówisz?!

— Nie denerwuj się. To naprawdę nie ma żadnego znaczenia — wyczułem w jej głosie zniecierpliwienie.

— Gomez zabrał czaszkę Bragi do szczegółowego zbadania...

— Niech sobie bada. Ty się tym nie przejmuj.

— Nic z tego nie rozumiem...

— Dowiesz się wszystkiego jeszcze dziś. W południe wyjedziesz do Punto de Vista...

— Dopiero wróciłem stamtąd wczoraj wieczorem!

— Wiem. Niewykluczone, że tym razem nie wrócisz do domu na noc. Zanocujesz w Instytucie.

— W Instytucie?!

— Mamy wiele spraw do omówienia. Być może profesor Bonnard powierzy ci prowadzenie sprawy Bragi.

— Nie mógłbym przyjąć takiej propozycji. Prawo zabrania udzielania pomocy prawnej, jeśli udzielało się jej stronie przeciwnej. Byłoby to zresztą sprzeczne z etyką...

— Może i racja — westchnęła Katarzyna — Ja się, niestety, nie znam na przepisach. Bonnard słusznie miał wątpliwości. Ale tak czy inaczej, bądź dziś po południu w Punto.

— Coraz mniej mi się to wszystko podoba.

— Słuchaj uważnie! Po przyjeździe do Punto wstąpisz do Alberdiego i tam poczekaś na Maria. Być może zresztą on sam się nie zjawi, lecz przyśle swego kolegę, takiego obdartusa wiejskiego. Ignacio ma na imię. Ksiądz go zresztą dobrze zna. Alberdiemu powiedz, by się o siostrzeńca nie martwił. Gdyby Mario nie przyszedł sam, spotkasz go w Instytucie u Bonnarda. Mario lub Ignacio powiedzą ci, jak masz się tam dostać tak, aby nie zauważyli ludzie da Silvy. I to właściwie wszystko.

Uczułem, że ogarnia mnie coraz większe zdenerwowanie.

— Nie wiem, czy powinienem w ogóle spotykać się z Bonnardem. Nawet jeśli zrezygnuję z prowadzenia sprawy de Limów.

— Profesor nie zachował się zbyt uprzejmie, ale to było nieporozumienie. Wszystko załatwione. Gotów cię nawet przeprosić!

— Nie o to chodzi! Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

— Mogę cię zapewnić, iż ani ja, ani Bonnard nie mamy zamiaru wyciągać od ciebie jakichkolwiek powierzonych ci przez Limów

tajemnic.

— Więc po cóż mam tam przyjeżdżać, i to po kryjomu?

— Przekonasz się na miejscu.

— Mogę narazić się na poważne nieprzyjemności.

— Owszem, narazisz się, jeśli nadal będziesz się dawał wodzić za nos de Limom — odparła chłodno.

— Czyżby sprawdziła się twoja hipoteza?

— Nie, nie — zaprzeczyła pospiesznie. — A panią de Lima zapytaj jeszcze przy okazji, co się stało z maszynopisem powieści *Wieża bez okien*. Ciekawa jestem jej reakcji.

— Nie wiem doprawdy, co robić...

— Przede wszystkim przespać się!

Połączenie zostało przerwane.

Rada była słuszna, ale trudna do urzeczywistnienia. Zbyt wiele wątpliwości zaprzętało umysł, abym potrafił zasnąć. Dopiero po siódmej zmorzył mnie nerwowy, płytki sen, jak to bywa zwykle, gdy oczekuje się z niepokojem wydarzeń, na które nie mamy wpływu. Obudziłem się około dziesiątej. Najchętniej przespałbym jeszcze parę godzin, lecz oczywiście nie wchodziło to w rachubę. Wziąłem więc tylko prysznic i zadzwoniłem do de Limów zapowiadając swą wizytę. Telefon odebrała pani Dolores. Była w świetnym humorze i mówiła coś o piorunującym wrazeniu, o księdzu Alessandrim, o powrocie Maria do domu, ale widocznie mówiła zbyt chaotycznie, bo nie bardzo potrafiłem zrozumieć, o co jej chodzi.

Po wyjściu z domu wstąpiłem na kawę do baru. Obok mnie przy bufecie stał jakiś mężczyzna i czytał gazetę. Spojrzałem mu przez ramię i o mało nie upuściłem szklanki. Na pierwszej stronie dziennika od góry przez całą szerokość kolumny biegł ogromny tytuł. Pod nim niżej mniejszymi czcionkami: ujawniona po sześciu latach przez organa śledcze. Słynny pisarz José Braga poddawany był przez wiele miesięcy niehumanitarnym eksperymentom.

Postawiłem gwałtownie szklanekę, aż niedopita kawa rozlała się po bufecie, i wybiegłem na ulicę. Kiosk znajdował się obok wejścia do baru, wywieszane na zewnątrz poranne wydania krzyczały wielkimi tytułami o „zbrodniczych eksperymentach” dokonywanych w Instytucie im. Burta, o ekshumacji zwłok Joségo Bragi i wynikach ekspertyzy prof. Gomeza, a

nawet o nawróceniu pisarza przed śmiercią.

Usiadłem w samochodzie z plikiem gazet i począłem je w pośpiechu przerzucać. Teraz dopiero zauważyłem, że ton prasy jest niejednolity. Prym w robieniu sensacji i atakach na Instytut Burta wiodła prasa brukowa i to było w pełni zrozumiałe. Wielki dziennik partii chrześcijańsko-demokratycznej Tiempo wykazywał już jednak dużą ostrożność i umiar, nie używając w ogóle słowa „zbrodnia” i ograniczając się do półoficjalnych enuncjacji organów śledczych. O nawróceniu Bragi przez księdza Alberdiego pisano na drugiej stronie, nie eksponując tej sprawy w jakiś szczególny sposób. Jeszcze większą powściągliwość wykazywała prasa rządowa, szczególnie pisma o zabarwieniu lewicowym, zasłaniając się brakiem dostatecznie sprawdzonych informacji.

Informacje były zresztą rzeczywiście skąpe i jeśli pominąć reporterskie domysły i plotki, nawet o wynikach ekspertyzy sądowo-lekarskiej można było dowiedzieć się z prasy tylko tyle, iż w czaszce Bragi znajduje się wiele otworów, których istnienie trudno uzasadnić potrzebami zabiegów leczniczych. W szczególności w miejscu zrośnięcia się kości ciemieniowych stwierdzono istnienie czegoś w rodzaju specjalnie spreparowanych „wrót” umożliwiających łatwy dostęp do wnętrza puszki mózgowej.

Zdjęć było niewiele. Noticias de Ultima Hora zamieściły, oczywiście, dokonane z muru zdjęcie otwartej trumny. Wielka biała strzałka wskazywała widoczny zresztą dość wyraźnie krzyżyk umieszczony w dłoniach nieboszczyka. Jedna z gazet zamieściła również moje zdjęcie z księdzem Alberdi, określając mnie jako pełnomocnika oskarżyciela prywatnego.

Nazwiska de Limów nigdzie nie wymieniono. Podobnie zresztą prawie nigdzie nie spotkałem nazwiska Bonnarda. Atakowany był z reguły Instytut Burta jako osoba prawna. Jedyne wyjątek stanowił krótki artykuł na pierwszej stronie popularnego dziennika Expreso opatrzony zastanawiającym tytułem: „Dlaczego tolerowano zbrodnicze praktyki”? Autor artykułu nie odpowiadał bynajmniej na to pytanie, dodając tylko w zawołanej formie, iż niektóre wysoko postawione osobistości wiedziały o eksperymentach przeprowadzanych w Instytucie Burta oraz że dyrektor Instytutu profesor Bonnard ma wpływowych przyjaciół.

Gdy przekraczałem próg mieszkania państwa de Lima, byłem zdecydowany postawić sprawę otwarcie.

— Co się z panem stało? — pytała gospodyni prowadząc mnie do bawialni. — Czekałam na pana blisko godzinę. A obiecywał pan, że będzie za piętnaście minut.

— Gdzie mąż? — zapytałem nie próbując nawet usprawiedliwić spóźnienia.

— Lada chwila powinien wrócić. Chce koniecznie zobaczyć się z panem, zanim pan złoży oficjalną skargę. Proszę, niech pan siada, mecenasie.

— Mario w domu?

— Ależ, gdzieżby! Przecież mówiłam panu, że ksiądz dziekan Alessandri przywiezie go po południu. Wysłałam depezę do brata.

— Pani syn jest w Instytucie Burta!

Wrażenie było piorunujące. Pani Dolores stała chwilę patrząc rozszerzonymi zdziwieniem i strachem oczyma na mnie, potem osunęła się ciężko na fotel.

— Wiedziałam, że tak się stanie! — wybuchnęła nagle, kierując swój gniew przeciwko mnie. — To pan do tego doprowadził! Nie chciał pan mnie słuchać! Radził pan zostawić Maria u Estebana, A ja, głupia, zaufałam panu!

— Bardzo mi przykro — bąknąłem niepewnie, wytrącony trochę z równowagi gwałtownością ataku.

— I co teraz będzie? Trzeba zawiadomić policję. Natychmiast! — zerwała się z fotela i podeszła do stojącego na stoliku aparatu. — Oni go tam zamordują! Jak Joségo! Niech pan dzwoni! Najlepiej, jak pan zadzwoni na policję!

Podbiegła do mnie i pociągnęła w stronę telefonu.

— Niech się pani uspokoi. Chłopcu nic nie zagraża.

— Chce mnie pan tylko pocieszyć. No, niech pan dzwonił Prędzej!

— Mogę zadzwonić, jeśli pani sobie tego życzy — podjąłem łagodnie. — Myślę jednak, iż lepiej będzie, jeśli poczekamy na męża. Wiem na pewno, że Mario znajduje się w Instytucie z własnej woli i nikt tam nie ma zamiaru go siłą zatrzymać. Mogę zresztą pani przyrzec, iż dziś wieczorem, a najlepiej jutro rano przywiozę chłopca do domu osobiście. Wyjeżdżam po południu do Punto de Vista i zrobię wszystko,

aby go namówić do powrotu.

— Czy pana do niego dopuszczają?

— Na pewno.

— Pojadę z panem! — zdecydowała się nagle.

Sprawa poczyniała przybierać niezbyt fortunny obrót.

— Nie wiem, czy to byłoby najstuszniesze — odparłem ostrożnie.

— Matki nie wpuszczają?! Więc jednak ma pan wątpliwości? Pan mnie tylko pociesza! Ale ja tu nie usiedzę w domu. Ja tam i tak pojadę!

Nie widziałem innego wyjścia z sytuacji, jak wyrazić zgodę.

— Dobrze. Zabiorę panią. Naradzimy się zresztą jeszcze z mężem.

Spojrzała pospiesznie na zegarek.

— Już powinien być. Kiedy pan chce wyjechać?

— Najpóźniej o pierwszej.

— Już wpół do dwunastej. Czy pan zdąży załatwić u sędziego?...

— Właśnie w tej sprawie muszę z panią porozmawiać — wykorzystałem okazję, aby przejść do istoty sprawy. — Nie chciałbym być źle rozumiany — rozpocząłem ostrożnie. — Proszę wierzyć, iż moja życzliwość dla was, w szczególności dla pani i dla Maria, nie uległa zmianie. Ale po namyśle doszedłem do wniosku, iż lepiej będzie, jeśli państwo wezmą sobie innego adwokata.

Była całkowicie zaskoczona.

— Panie mecenasie! Ależ my nie chcemy absolutnie zrezygnować z pana pomocy. Ktoś pewno narobił plotek...

— Pani mnie źle zrozumiała. To ja chcę zrezygnować. Ale bynajmniej nie dlatego, abym miał jakieś pretensje do państwa. Chodzi o zupełnie inne przyczyny. Dostatecznie poważne, aby...

Nie dokończyłem, gdyż usłyszałem za sobą szmer rozsuwanych drzwi. Do salonu wszedł gospodarz wyciągając na powitanie obie ręce.

— Witam pana, drogi mecenasie! — zawołał rozpromieniony. — Dziś nasz wielki dzień! Czytał pan z pewnością poranne gazety.

— Czytałem...

Widać nie dostrzegł chłodnego tonu mojej odpowiedzi, bo ciągnął dalej pełen entuzjazmu:

— Wieczorne wydania będą nie mniej ciekawe! Czy wie pan, co stwierdził Gomez?

— Nie wiem. Nie rozmawiałem jeszcze z profesorem.

— Niech pan sobie wyobrazi, że biedny Braga żył co najmniej przez trzy miesiące bez mózgu. Zupełnie bez mózgu! Odmóżdżono go jak kota!

Uczułem nieprzyjemny ucisk w gardle. Pani Dolores stała blada jak płótno, opierając się z wysiłkiem o poręcz fotela.

— To straszne — wyszeptała.

— Tak! To potworne! — podchwycił de Lima. — Żeby to jeszcze od razu... Ale oni znęcali się nad nim blisko rok, usuwając mózg stopniowo, po kawałku... Profesor Gomez stwierdził to, badając jakieś zmiany we wnętrzu czaszki — narastanie jakiejś tam tkanki czy czegoś w tym rodzaju.

Podszedłem do pani Dolores i pomogłem jej usiąść w fotelu.

— Nie wiem, czy pani będzie mogła w tym stanie pojechać ze mną — powiedziałem serdecznie i zwracając się do de Limy dodałem: — Niech pan nie opowiada takich rzeczy przy żonie. Czy pan nie widzi?...

— Co ci jest, kochanie? — zaniepokoił się gospodarz.

— Nic... nic... — odpowiedziała z wysiłkiem.

— Już mi lepiej. A z panem... pojedę. Muszę jechać. Chyba... żeby policja...

— Co się stało? — przestraszył się de Lima.

— Pańska żona chce jechać ze mną po Maria.

— Przecież ksiądz dziekan przyrzekł...

— Mario jest w Instytucie Burta — wyjaśniłem lakonicznie.

— A może jednak zawiadomić policję — podjęła Dolores.

— Oczywiście — potwierdził de Lima bez przekonania. — Można zawiadomić. Chociaż... Chyba raczej... pan mecenas ma rację. Ale czy uda się panu go przywieźć?

— Tak sądzę. Nie wiem tylko, czy pani będzie w stanie...

— Niech jedzie — skinął głową gospodarz. — Ostatecznie, gdyby się źle czuła, może poczekać u da Silvy. W razie czego zresztą... — urwał i spojrzał na zegarek. — Na nas chyba czas.

— Pan mecenas nie chce prowadzić naszej sprawy — wyręczyła mnie gospodyni. De Lima osłupiał.

— Gotów jestem pomóc państwu w znalezieniu innego adwokata.

— Mecenasiu! Nie wierzę!

— Niestety! Moja decyzja jest nieodwołalna. Jeśli panu zależy na czasie, jeszcze dziś gotów jestem przekazać sędziemu pański wniosek o

pociągnięcie do odpowiedzialności profesora Bonnarda. Ale ja, niestety, tej sprawy prowadzić nie będę. Zaszły pewne okoliczności, które zmieniły sytuację. Muszę zrezygnować.

De Lima spojrział mi w twarz przenikliwie.

— Obawia się pan ich? — zapytał z żalem.

— Kogo?

— Może pan być ze mną szczery. Próbuję z pewnością pana zastraszyć. Ale to tylko bluff. Oni już przegrali sprawę.

— Nikt mnie nie próbował nastraszyć — zaprzeczyłem stanowczo i w tej samej chwili przypomniała mi się poranna rozmowa z Katarzyną. Nie byłem już tak bardzo pewny tego, co powiedziałem. — Po prostu nie chcę się mieszać do polityki!

Gospodarz patrzył na mnie badawczo.

— Jak pan uważa... — powiedział po chwili.

— Możemy ostatecznie oddać sprawę komu innemu. Ale powiem panu, tak prywatnie: robi pan głupstwo! Dobrze poprowadzona sprawa przeciw kierownictwu Instytutu Burta to droga do kariery. Nie bałbym się nawet użyć określenia: do wielkiej kariery!

Umilkł i zamyślił się. Pani Dolores patrzyła na mnie wyczekująco, ale ja również milczałem.

— Zróbmy inaczej — odezwał się po chwili de Lima. — Nie żądam zaraz od pana odpowiedzi. Niech się pan jeszcze zastanowi. Mamy trochę czasu. Pojedziemy teraz do prefektury, po drodze wpadniemy coś przekąsić. A potem ruszycie do Punto.

X

De Lima tak sprawnie potrafił wszystko zorganizować, że wpół do drugiej byliśmy z panią Dolores na szosie za miastem. Okazało się, że wbrew obawom nie jest ona bynajmniej męczącym towarzyszem kierowcy i potrafi umiejętnie podtrzymywać rozmowę. Byłem trochę niespokojny, jak Katarzyna, a zwłaszcza Bonnard, przyjmie nieproszonego gościa.

Pocieszałem się jednak, iż zabierając Dolores unikam zarzutu uczestniczenia w intrydze skierowanej przeciw klientom i Katarzyna zrozumie moją sytuację.

Blisko dwugodzinna podróż do Punto de Vista — już czwarta w ciągu ostatnich dni — przeleciała dość szybko. Pod koniec drogi powiedziałem pani Dolores, że najpierw wstąpię na plebanię. Przyjęła to niechętnie, podejrzewając prawdopodobnie jakiś podstęp, ale ją uspokoilem wyjaśniając, iż spodziewam się tam wiadomości od Maria. Bałem się trochę, iż będzie mnie indagować, kto jest moim informatorem, ale była nad podziw dyskretna, jak sądzę, przypisując tę rolę swemu bratu.

Alberdiego zastaliśmy w ogrodzie przy ruinach dawnej plebanii. Kilku robotników uprzątało gruz z wnętrza spalonego domu odbijając spękany tynk i usuwając resztki zwęglonych ram okiennych i futryn. Obok ruin, na placu przed frontowym wejściem wznosiła się równo ułożona sarta cegieł, a kilka metrów dalej — długich bali. Wczoraj jeszcze ani drzewa, ani cegieł tu nie widziałem.

Ksiądz dostrzegł nas z daleka i postąpił parę kroków naprzód, lecz zaraz się zatrzymał, poznawszy siostrę. Dolores była wyraźnie zmieszana. Podeszła do brata i uniosła nieśmiało ręce, jakby go chciała uścisnąć, ale on tylko patrzył na nią smutnymi, zmęczonymi oczyma.

— Dawno tu nie byłaś — rzekł cicho. Kiwnęła głową i opuściła wzrok z zakłopotaniem.

— Więc jednak postawiłaś na swoim — powiedział Alberdi z goryczą.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparła niepewnie.

— Wiesz dobrze...

— Nie przyjechałam, się kłócić — zmieniła gwałtownie ton.

— Widzę, że rusza odbudowa — wtrąciłem się do rozmowy próbując zapobiec spięciu.

— Tak — potwierdził niechętnie i zwracając się do siostry zapytał gniewnie: — Czego chcesz ode mnie?

— Nietrudno się domyślić. Przyjechałam po Maria.

— Nie ma go u mnie.

— Wiem! Oszukałeś mnie! Jesteś w zмовie z Bonnardem!

Atak był tak gwałtowny, że ksiądz Alberdi aż przybladł. Patrzył rozszerzonymi oczyma na siostrę, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

— Może przejdziemy gdzie indziej — znów się wtrąciłem, wskazując ruchem głowy robotników, którzy przerwali pracę, przyglądając się nam z zainteresowaniem.

Dolores opanowała się natychmiast.

— Mógłbyś nas zaprosić do domu — zwróciła się do brata, jak gdyby nic nie zaszło. Alberdi również zdążył już wrócić do równowagi.

— Proszę! — ruchem ręki wskazał ścieżkę wiodącą do domku w głębi ogrodu. — Nie wiedziałem, czy zechcesz przekroczyć mój próg.

— Czy to będzie szkoła, czy plebania? — zapytałem wskazując ruchem głowy ruiny. Chciałem zapobiec ponownej scysji, lecz okazało się, że poruszyłem nieświadomie drażliwy temat.

— Nie wiem — odparł opryskliwie. — Nie wiem, czy w ogóle tu zostanę...

Nie próbowałem podejmować rozmowy. Doszliśmy w milczeniu do domku i ksiądz wpuścił nas do wnętrza.

Pani Dolores odzyskała już całkowicie pewność siebie. Usiadła swobodnie w fotelu i zapaliła papierosa.

— Czy był tu Alessandri? — zapytała brata.

— Był — odrzekł Alberdi patrząc w podłogę. — A co do Maria — podjął podnosząc głowę — to wiesz, że krzywdzisz mnie oskarżeniami — dokończył już bez gniewu. — Nie spiskuję z Bonnardem. Od paru lat nawet go nie widziałem. A jeśli twój syn ucieka od ciebie, to sama jesteś temu winna.

Dolores spąsowiała. Już miała wybuchnąć, ale nagle jakby ją siły opuściły.

— Wiem... że to moja wina. Ale... muszę go odzyskać — wyszeptała błagalnie. Była znów biedną, nieszczęśliwą matką.

— Przyrzekłem Alessandriemu, że Mario wróci do domu jutro rano. I dotrzymam przyrzeczenia! — wyrzekł Alberdi z powagą.

Choć słowa jego brzmiały nieco patetycznie, wiedziałem, że mówi szczerze. Czyżby wybierał się również do Instytutu? Tego by tylko brakowało!...

— Czy ksiądz czytał dzisiejsze ranne gazety? — zapytałem, kierując rozmowę ku tematowi, który nie dawał mi spokoju.

— Nie czytałem. Ale wiem już...

— Mówił ci Alessandri? — wtrąciła Dolores. Ksiądz potwierdził skinieniem głowy.

— A czy wiedział już o ostatnich wynikach badań? W jaki sposób eksperymentowano na Bradze? — zadałem kolejne pytanie.

— Mówił tylko, że eksperymentowano... I nic więcej.

— Mógł jeszcze nie znać wyników. Czy ksiądz jest pewny, że rozmawiał z Bragą na dwa tygodnie przed jego śmiercią?

W oczach księdza pojawił się lęk.

— Mogę przysiąc, że rozmawiałem!

— Wierzę księdzu. Ale jeśli tak, nie mógł to być Braga.

— Na pewno on! Widziałem jego twarz. I rozmawiałem z nim. Znałem go przecież od dawna...

— Profesor Gomez twierdzi, że Braga żył trzy miesiące bez mózgu!

— To nieprawda! Gomez musiał się pomylić!

— Miejmy nadzieję. Ale jeśli jego orzeczenie ukaze się w prasie... Sytuacja może się skomplikować.

— Boże mój... Co teraz będzie?

Patrzyłem na Alberdiego ze współczuciem.

— Zwróciłem na to uwagę panu de Lima. Z pewnością znajdzie się jakieś wyjście.

Uniósł na mnie wzrok pełen rozpaczony i już otwierał usta, aby coś powiedzieć, gdy ciche stukanie do drzwi przerwało rozmowę. Alberdi wstał z wysiłkiem z tapczanu, chwilę jakby się wahał, wreszcie wyszedł. Po chwili wrócił.

— Jest wiadomość od Maria — powiedział do mnie głosem zmęczonym, bez wyrazu. — Chciałby się z panem zobaczyć.

— Gdzie on?! — zawołała Dolores zrywając się z fotela.
— U Bonnarda. Jadę z panem — oświadczył Alberdi lakonicznie.
— Nie wiem, czy...
— Przyrzekłem Alessandriemu.
— Ja też z wami jadę! — zawołała Dolores.
— Ty tam po co? — zaoponował oschle ksiądz. — Możesz wszystko popsuć. Poczekasz tu albo, jeśli wolisz, u da Silvy.
— Nie! Jadę z wami! Nie opuszczę mego dziecka!
— I nie boisz się Bonnarda? — zaśmiał się sztucznie.
Spojrzała na brata z uwagą.
— Czy masz tu kogo pod ręką, komu by można zaufać?
— Zależy, co masz na myśli, mówiąc o zaufaniu...
— Chcę posłać list do Juana. Masz papier i kopertę?
— Co chcesz w tym liście napisać? — w głosie księdza zabrzmiała ostrzegawcza nuta.
— Prosta sprawa. Masz rację, że trzeba się zabezpieczyć. Jeśli do północy nie przyjadę do „casa grande”, Juan zawiadomi policję.
Alberdi wzruszył ramionami. Podszedł do biurka, wydobył z szuflady papier listowy i kopertę, kładąc je przed siostrą.
— Ignacio, wejź! — zawołał w kierunku drzwi.
W drzwiach stanął wysoki, chudy chłopak. Jego czarne oczy przyglądały się nam z zaciekawieniem i szacunkiem.
— Pójdiesz do „casa grande”!
Chłopiec spojrzał z niepokojem na księdza.
— Zaniesiesz list i oddasz do rąk własnych panu da Silva.
— Tak, ojciec — chłopiec skinął z uszanowaniem głową. — Ale miałem poprowadzić...
— Nie potrzeba. Pojedziemy samochodem główną szosą!
Ignacio znów się zaniepokoił.
— Ale Mario mówił... — zaczął niepewnie i urwał.
Pochylona nad biurkiem pani de Lima odwróciła się gwałtownie.
— Widziałeś mego syna?
— Jasne. Pani jest mamą Maria? — pokręcił ze zdziwieniem głową.
— Tak. Jestem jego matką. Więc Mario jest w Instytucie?
— Tak, proszę pani. I pani też tam chce jechać? Do męża?
— Mój mąż jest w Instytucie?! — zdziwiła się Dolores.

Ignacio spojrział pytająco na księdza.

— No powiedz, co wiesz — ponaglił Alberdi.

— Tak, ojciec wielebny. On tam jest, proszę pani.

— Widziałeś mego męża?

— Nie widziałem, proszę pani. Ale słyszałem, jak rozmawiał.

— Nic z tego nie rozumiem. Skąd się Carlos wziął u Bonnarda?

Wiesz na pewno, że to był mój mąż?

— Mario mówił, że to jego ojciec. że się wreszcie spotkali.

— Coo?!

— Ojciec Maria zmarł sześć lat temu — wtrąciłem przypuszczając, iż zaszło tu jakieś nieporozumienie.

Lecz Ignacio przyjął moje słowa bez zdziwienia. Tylko w oczach jego dostrzegłem jakiś dziwny błysk.

— No tak. Umarł sześć lat temu! — powiedział bez wahania. A potem ścisząc głos dodał z przejęciem. — Ale on tam jest... u Burta. Sam słyszałem, jak mówił z Mariem. On tam jest... W piwnicy...

Pani Dolores była bliska omdlenia.

XI

Zamiast do Instytutu Burta pojechaliśmy do „casa grande”. Pani de Lima szybko wróciła do równowagi po szoku, jaki wywołały dziwne słowa Ignacia, ale oświadczyła kategorycznie, iż najpierw musi opowiedzieć o wszystkim da Silvie i zasięgnąć jego rady. Próbowaliśmy z Alberdim odwieść ją od tego zamiaru. Dolores była jednak — jak już niejednokrotnie mogłem się przekonać — osobą upartą i tak długo, niemal przez całą drogę, nas przekonywała, że w końcu musieliśmy skapitulować.

Da Silvy nie było w domu. Dolores czuła się tam jednak jak u siebie i rozkazawszy lokajowi zaprowadzić nas do salonu, poszła czegoś się dowiedzieć.

Zjawiła się zresztą po kilkunastu minutach oświadczając, że gospodarz pojechał do tartaku, bo ma jakieś kłopoty z robotnikami, ale rozmawiała z da Silvą przez radiotelefon i w ciągu pół godziny powinien wrócić. Kazała też podać coś do picia i zawołać oczekującego w hallu Ignacia.

Chłopiec był coraz bardziej zaniepokojony i raz po raz spoglądał rozpaczliwie na księdza, szukając u niego oparcia i pomocy, a może nawet ochrony przed niebezpieczeństwem. Alberdi hamował zresztą jak mógł zapędy śledcze swej siostry, zdając sobie sprawę, że w ten sposób niewiele uda się od Ignacia wydobyć. Zastraszony chłopiec odpowiadał na pytania Dolores monosylabami i dopiero uspakajające słowa księdza skłoniły go do szerszych wyjaśnień.

— Więc Mario nocował u ciebie w domu, a nie w Instytucie? Opowiedz dokładnie wszystko, jak było. Nikt ani do ciebie, ani do twoich rodziców nie ma o to pretensji. Przeciwnie, bardzo wam dziękuję za opiekę nad Mariem — tłumaczył Alberdi łagodnie. — No, kiedy się on u was zjawił?

— Wieczorem, proszę ojca wielebnego. Mówił, że był u księdza proboszcza, ale was nie było.

— Tak. Wróciłem bardzo późno — skinął głową Alberdi. — A dlaczego nie zaszedł do mnie z rana?

— Ja nie wiem. On już nie mógł czekać. Wyszliśmy z domu skoro świt. Mówił, że musi być rano u Burta.

— I wtedy, w nocy, powiedział ci o tej rozmowie ze swym ojcem?

— Nie wtedy, proszę księdza proboszcza. Dopiero po drodze, jakeśmy szli rano do Burta. Mówił, że musi iść prędko, bo na niego czeka jego stary... to znaczy powiedział, że to jego ojciec. Ja mu wtedy mówię, że to nie może być, bo jego ojciec umarł. Ale on się upierał, że tak jest. Tak jakoś dziwnie mi zaczął mówić, że to jest możebne... Myślałem nawet, że mu się coś w głowie pomieszało...

Umilkł i spojrzał niepewnie na panią de Lima.

— Nie bój się. Mów szczerze — powiedział zachęcająco Alberdi, dając siostrze znak ręką, aby nie zabierała głosu.

— Kiedy już byliśmy niedaleko Burta, w krzakach, przy płocie od tyłu, Mario powiedział, abym poczekał. Potem go długo nie było, więc przyszło mi do głowy, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. I wtedy przeszedłem na drugą stronę...

Ignacio spuścił oczy.

— No, i co było dalej?

— Potem wyszedł Mario i gniewał się trochę, że przelazłem. Ale później powiedział, żebym szedł za nim. Tylko żebym uważał, aby mnie nikt nie zobaczył. I poszliśmy takimi schodami na dół. Ale tam była zamknięta krata. I nie można było iść dalej. Tylko z daleka widać było jakieś szkła... Wielkie jak... — rozejrzał się wokoło — jak ten pokój. I było pełno rur, rurek... A Mario wtedy powiedział, że „on” w tym siedzi... Znaczą się ten jego ojciec.

— I nie bałeś się?

— Wtedy to jeszcze nie. Nie było czego! Ja mu nie bardzo wierzyłem, żeby tam ktoś mógł siedzieć. Myślałem, że chce mnie zbujać. I to mu powiedziałem. A on wtedy bardzo się ze mnie śmiał, a potem kazał mi iść za sobą na górę do takiego małego pokoju. Tam nie było ani okien, ani stołu, tylko taka duża szafa z lampkami i mała szafa, i jeszcze parę mniejszych, i krzeselka... Te lampki to niektóre mrugały, ale niektóre to nie. Potem przyszła taka pani, na białą ubrana. I bardzo się gniewała na Maria, że mnie aż tam przyprowadził. A potem powiedziała, że inna pani pośle przeze mnie wiadomość do księdza proboszcza. I wyszła. Wtedy Mario coś zrobił i zaczął rozmawiać ze swym ojcem. On mówił, aby mu

Mario pomagał... Sam słyszałem. Tak jakby radio nadawało albo jakby on siedział w takiej małej szafce. Mario powiedział, że to „on”!

Umilkł wpatrując się pytająco w twarz księdza.

Spojrzałem na Dolores, lecz ona, choć widać było, że słucha w napięciu opowieści chłopca, nie patrzyła w tej chwili na niego. Pobiegiem wzrokiem za jej spojrzeniem i dopiero wtedy zauważyłem, iż w drzwiach salonu, oparty o framugę, stoi da Silva. Chciałem wstać, ale on również dostrzegł mój niezdecydowany ruch i przymknięciem powiek dał mi dyskretny znak, abym nie zdradzał jego obecności.

Było już jednak za późno. Alberdi, siedzący plecami do drzwi, obejrzał się i zobaczywszy gospodarza pośpiesznie podniósł się z fotela.

— Witam państwa! — powiedział da Silva z taką swobodą, jak gdyby zjawił się dopiero w tej chwili. — Proszę sobie nie przeszkadzać.

— Nie mówiłam ci, co się stało! — zawołała pani Dolores zrywając się z miejsca. — Mario nie nocował dziś u Estebana, lecz podobno gdzieś we wsi. Wczoraj cały dzień przesiedział w Instytucie i dziś rano znów tam poszedł. Ignacio twierdzi, że tam jest również José!

— Chyba jego duch — uśmiechnął się z lekka gospodarz. Nie wydawał się zaskoczony. — Słyszałem, co prawda, tylko część tej niezwykle interesującej relacji naszego młodego gościa, ale domyślam się, o co chodzi.

Podszedł do Ignacia i poklepał go po ramieniu.

— Dzielny z ciebie chłopak. Nie boisz się duchów! Prawda? — powiedział to takim tonem, że trudno było stwierdzić, czy kpi, czy mówi poważnie.

Ignacio aż usta otworzył ze zdziwienia i przestachu.

— No cóż tak na mnie patrzysz? — zapytał da Silva, rozbawiony konfuzją chłopca. — Bałeś się czy nie bałeś?

Chłopiec nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Widząc to Alberdi próbował go uspokoić:

— Nie bój się, Ignacio! Pan pułkownik żartuje.

Ale chłopiec nie wyzbył się tak łatwo i wątpliwości.

— Czy... czy to był... duch? — wyjąkał z trudem. — Ojciec wielebny powie...

— Duchów nie ma...

— Nie wierzę, aby ksiądz to mówił poważnie — zażartował da Silva,

mrugając znacząco do Alberdiego.

— Chciałem powiedzieć, iż nie wierzę, aby to był głos ducha — zmieszał się ksiądz. — To znaczy... duchy istnieją, ale nie w Instytucie Burta.

— I ksiądz to mówi? Ksiądz wątpi, iż Bonnard ma duszę?

— Nie o to chodzi. — Alberdiego drażnił coraz bardziej żartobliwy ton gospodarza. — Dlaczego pan straszy chłopca?

— Ależ wcale go nie straszę. To raczej on nas straszy. Twierdzi przecież, iż w podziemiach Instytutu, w jakiejś strasznej maszynie uwięziona została dusza biednego Bragi. Co więcej, duch ten, cierpiący z pewnością niewypowiedziane męki, prosi o pomoc swego żyjącego syna, niczym duch ojca Hamleta!

— Bzdura!

— Nie wiem, czy mamy prawo wątpić w prawdomówność tego chłopca. Ksiądz go zna lepiej.

— To nie ma nic do rzeczy...

— Ksiądz pozwoli, że się z nim nie zgodzę. Moim zdaniem nie należy wykluczać, iż dusza Bragi została uwięziona przez Bonnarda w podziemiach Instytutu Burta.

— Niech pan nie kpi, pułkowniku!

— Mówię zupełnie poważnie. Istnieje pewne... przypuszczenie. Ale o tym porozmawiamy chyba później. Faktem jest, iż taka możliwość istnieje. No cóż, chłopcze? — da Silva zwrócił się do Ignacia. — Powiedz nam wreszcie, o co prosił Maria duch jego ojca?

Chłopiec wciągnął nerwowo powietrze, jakby przed skokiem w wodę.

— Prosił... On prosił, aby... Mario pomógł...

— W jaki sposób pomógł? — spytał łagodnie da Silva.

— Pomógł... — Ignacio rozpoczął i urwał. — Ja nie wiem...

— Przypomnij sobie, chłopcze.

— Ja... ja... — jąkał się Ignacio. — Ja nie wiem. Mówił coś... Mówił, że nie może... Żeby Mario pomógł. Ale ja nie wiem... nie wiem co... — pot wystąpił chłopcu na czoło.

— Niech go pan nie męczy — wtrącił się Alberdi.

Da Silva spojrział na niego z ukosa, potem skinął głową.

— Chyba ksiądz ma słuszość. Niczego więcej się od niego nie

dowiemy. To zresztą nie takie ważne, o czym mówił duch Joségo Bragi ze swym synem! — zaakcentował ostatnie słowa i znów nie wiadomo było, czy mówi poważnie, czy też żartuje.

Gospodarz podszedł do kominka i widocznie nacisnął jakiś guzik, bo po chwili do salonu wszedł lokaj.

— Pewno jesteś głodny? — zapytał da Silva chłopca i nie czekając odpowiedzi zwrócił się do lokaja. — Zaprowadź go do kuchni i niech zje kolację. Potem dajcie mu butelkę wina dla ojca i niech wraca do domu.

— Dziękuję, panie pułkowniku! — Ignacio skłonił się nisko.

— Nie wypij wina po drodze! — ostrzegł go śmiejąc się da Silva. — To dla ojca. Powiedz mu, że to dlatego, iż wychował tak dzielnego syna! — I zmieniając ton dodał: — A do Burta, na razie, nie chodź. Nigdzie się nie włócz. Możesz być jeszcze potrzebny. Gdy będzie trzeba, przyślę po ciebie.

— Tak, panie pułkowniku.

— Teraz idź!

Lokaj i chłopiec zniknęli za drzwiami.

— No l cóż? Zadowolony ksiądz z materiałów budowlanych? — powiedział da Silva zmieniając temat. — Kazałem dać najlepsze drzewo i cegłę.

— Dziękuję — odrzekł lakonicznie Alberdi, nie patrząc na gospodarza.

I jakby obawiając się dalszych pytań wrócił pośpiesznie do poprzedniego tematu:

— Zamieszał pan, pułkowniku, temu biednemu chłopcu w głowie. On to wszystko, co pan mówił, wziął na serio!

Da Silva uśmiechnął się.

— Muszę wyznać, iż ze szczerym podziwem patrzyłem na niego. Nie przypuszczałem, iż wśród mieszkańców Punto de Vista znajdzie się ktokolwiek, wyjąwszy oczywiście księdza proboszcza — skłonił się z lekka w stronę Alberdiego — kto odważy się przekroczyć próg Instytutu Burta. Znam przecież tych ludzi dobrze...

— Czy oni rzeczywiście wierzą, że w Instytucie straszy? — zapytałem przypominając sobie pierwszą rozmowę z Alberdim.

— Tak! — podjął żywo gospodarz. — Muszę powiedzieć, iż to, co dziś słyszeliśmy z ust tego chłopca, być może, rzuca pewne światło na

źródło tych bajek. Co prawda słyszałem różne wersje: począwszy od widm psów i kotów, a nawet małą straszących w podziemiach tej budowli, poprzez różnego rodzaju pokutujące czy też uwięzione dusze ludzkie, a skończywszy na szatanie we własnej osobie...

— A jednak Ignacio nie bał się tam wejść.

— Przeszedł tylko przez płot, i to w biały dzień. Do budynku wciągnął go dopiero Mario.

Oczywiście, wejście tam, a zwłaszcza zejście do podziemi wymagało nie lada odwagi, ale rodzice tego chłopca stosunkowo niedawno osiedlili się w Punto i być może w mniejszym stopniu ulegają tutejszym nastrojom. Myślę jednak, że przede wszystkim ciekawość i chęć popisania się odwagą zrobiły swoje.

— Czy opowieści o duchach zbiegają się w czasie ze śmiercią Bragi? Gospodarz spojrział na mnie z uwagą.

— I tak, i nie — odrzekł po chwili z pewnym wahaniem. — Pierwsze plotki pojawiły się jakieś osiem czy dziesięć lat temu, a więc na parę lat przed wiadomością o jego zgonie. Przed piętnastu-dwudziestu laty wśród personelu sanatorium było kilkanaście osób ze wsi.

Przeważnie kobiety do pomocy w najprostszych, najprymitywniejszych zajęciach: w kuchni, w ogrodzie. Kilku mężczyzn do najcięższych prac w kotłowni... Potem, gdy dyrekcję objął Burt i zaczął przeprowadzać swoje eksperymenty, a zwłaszcza gdy po jego śmierci przyszedł Bonnard i zlikwidował ostatnie oddziały sanatoryjne, pozostało tam zaledwie kilka osób z Punto. I to takich, które w zasadzie pracowały tylko na zewnątrz. Bonnard nie ufał tutejszym chłopom i wolał ściągnąć ze stolicy swój własny personel. Tych paru ludzi z Punto: ogrodnik z żoną, dwie czy trzy dochodzące ze wsi sprzątaczkę, też zresztą długo miejsca nie zagrzało. Właśnie wtedy, jak już mówiłem, osiem albo dziesięć lat temu, rozeszły się wieści, że u Burta straszy. Być może, że sam Bonnard te plotki fabrykował, aby odebrać chłopom z Punto ochotę do kręcenia się w pobliżu Instytutu. Początkowo były to zresztą bardzo prymitywne bajki: o duchach w postaci kotów, psów, a nawet małą. Opowiadano potworne bzdury, najczęściej ci, którzy nigdy w Instytucie nie byli. Wiecie państwo, jak to jest... Nawet relacje tych, którzy pracowali na terenie Instytutu, pełne były sprzeczności. Interesowałem się trochę tą sprawą i wypytywałem osobiście niektórych... W Instytucie

trzymano wówczas wiele zwierząt doświadczalnych i tu chyba leżało pierwotne źródło tych bredni. W każdym razie do chwili śmierci Bragi zdołano cały dawny personel wypłoszyć.

— Kiedy zaczęto mówić o duchach w postaci ludzkiej? — próbowałem znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

— Wiem, do czego pan zmierza — podchwycił da Silva. — Niestety, nie jestem pewny, czy motyw ten nie pojawił się już przed śmiercią Bragi. W każdym razie dopiero w ostatnich latach opowieści nabrały jakiejś logicznej zwartości. Myślę jednak, iż zbieżność między owymi bajkami i tym, co dziś usłyszeliśmy, nie może być przypadkowa.

— I ja tak sędę — powiedziałem spoglądając pytająco na Alberdiego, ale on milczał.

— Spróbujmy zestawić fakty — ciągnął gospodarz. — Ignacio był świadkiem rozmowy Maria z kimś, kto podaje się za ojca chłopca. A przecież José Braga zmarł sześć lat temu. Zwłoki jego przez sześć lat przeleżały na cmentarzu w Punto. Ekspertyza wykazała ponadto, że przed śmiercią José Braga był poddany, wyrażając się łagodnie, niedozwolonym eksperymentom. Zastanówmy się, proszę państwa, czy istnieje możliwość, iż... — urwał na moment dla zaakcentowania niezwykłości swego przypuszczenia — iż eksperyment jest nadal kontynuowany.

— Nie rozumiem... — wyszeptała pani Dolores patrząc z przerażeniem w twarz da Silvy.

— Czytałem kiedyś o pewnych eksperymentach, przeprowadzanych, co prawda, tylko na zwierzętach, najczęściej kotach lub małpach. Doświadczenia te polegały na wyizolowaniu mózgu z organizmu. Było to wiele lat temu i nie należy chyba wątpić, że do chwili obecnej dokonano dalszych poważnych kroków naprzód w tej dziedzinie badań. Zestawmy to z pewnym faktem stwierdzonym przez profesora Gomeza: Josému Bradze usunięto mózg na parę miesięcy przed śmiercią. Czy należy zdecydowanie wykluczyć możliwość, iż mózg ten, sztucznie odżywiany, żyje aż do tej chwili? Gdy jeszcze byłem młody, czytałem gdzieś, w jakiejś książce czy magazynie, że serce kury oddzielone od ciała utrzymywane było sztucznie przy życiu przez dziesiątki lat. Biło nieustannie, choć kury już dawno nie było...

— Potworne... — jęknęła pani Dolores.

— Tak! Potworne! — podchwycił da Silva. — I właśnie dlatego to, co dzieje się w Instytucie, otoczone jest aż tak ścisłą tajemnicą.

Zaczynałem się zastanawiać, czy gospodarz rzeczywiście wierzy w to, co mówi.

— Czy pan poważnie dopuszcza możliwość takiego eksperymentu? Profesor Gomez jest zdania, iż mózg Bragi usuwany był stopniowo, po kawałku, w drodze wielokrotnych zabiegów w ciągu kilkunastu miesięcy...

Da Silva zasępił się.

— Więc mówi pan, że Gomez twierdzi... — rozpoczął i urwał. — Nie znam, niestety, szczegółowych wyników ekspertyzy... Może jednak Gomez się myli? — w głosie jego zadrgała nuta nadziei.

— Uchodzi za wybitnego specjalistę.

Gospodarz zastanawiał się dłuższą chwilę,

— Właściwie... Niepotrzebnie zawracałem państwu głowę bzdurnymi przypuszczeniami. W najbliższych dniach dowiemy się i tak prawdy. Co najważniejsze, nie da się już ukryć, że w Instytucie Burta dzieją się sprawy nader dziwne... i że opinia publiczna jest wstrząśnięta ujawnionymi faktami. Muszę powiedzieć, że jak dotąd, wszystko dobrze się składa. Nawet ten dzisiejszy przyjazd państwa, te rewelacje Ignacia... Nawet to, że Mario został w Instytucie. A gdyby tak pan, mecenasie, złożył jeszcze teraz wieczorem wizytę Bonnardowi? Nie wolno tracić czasu i... okazji.

— Właśnie tam jedziemy. Wszyscy troje — pośpieszyłem z wyjaśnieniem.

Da Silva spojrział na mnie z uznaniem.

— Widzę, że pan mecenas dobrze orientuje się w sytuacji.

— O tym, że Mario jest w Instytucie, wiedzieliśmy już przed południem — wtrąciła pani Dolores. — Mecenas otrzymał wiadomość... I właśnie przyjechaliśmy zabrać Maria.

Gospodarz z trudem ukrył zaskoczenie.

— Ma pan świetnych informatorów. Moje gratulacje! — zaśmiał się nieszczerze. — Czyżby ksiądz...

Pomyślałem, iż nadarza się Okazja, aby zapobiec dwuznacznej sytuacji, jaką z pewnością spowoduje spotkanie Dolores z Katarzyną.

— Otrzymałem tę wiadomość od doktor Dali. Niewykluczone, iż

spotkamy ją u profesora Bonnarda.

Gospodarz wpatrzył się we mnie przenikliwie.

— Czy pani doktor Dali orientuje się w sytuacji? — zapytał akcentując ostatnie słowa. — Sądzę, że w pełni! — odrzekłem tym samym tonem i spojrzałem odruchowo na Alberdiego.

W kącikach ust księdza błąkał się ironiczny uśmiech.

XII

Było już zupełnie ciemno, gdy opuściliśmy „casa grande”. Da Silva odprowadził nas jak zwykle aż do samochodu. Z pozoru był w świetnym humorze, ale czułem, iż w rzeczywistości denerwuje się nie mniej od nas. Świadczył o tym chociażby fakt, iż tuż przed odjazdem odwołał na stronę panią de Lima i tłumaczył jej coś przez chwilę ściszonego głosem, co z pewnością klóciło się z manierami „dżentelmena w każdym calu”. Co prawda przeprosił nas później za ten incydent, zaczął nawet coś wyjaśniać, ale nie dokończył, bo w tym właśnie momencie Dolores spostrzegła, iż zostawiła w salonie szminkę. Wrócił więc i po kilku minutach wręczył jej ołówek do warg, w błyszczącej plastikowej oprawie, jakich widzi się wiele w każdej perfumerii.

Ruszyliśmy w noc. Księżyc jeszcze nie wszedł i światła reflektorów rozcinały ciemność długimi snopami, załamując się na pniach drzew i przydrożnych zaroślach.

Po ożywionej dyskusji w „casa grande” nikt z nas nie kwapił się do rozmowy. Siedzący obok mnie Alberdi z rzadka tylko rzucał jakieś pojedyncze słowo, wskazując mi kierunek, zresztą zupełnie niepotrzebnie, gdyż zdążyłem się już zorientować w okolicy.

Gmach Instytutu im. Burta nie był oświetlony. Jedynie na parterze w oszklonym hallu paliły się przyćmione, nocne światła. Zatrzymałem wóz na podjeździe i wysiedliśmy.

Teraz dopiero zauważyłem, iż Dolores jest współprzytomna ze zdenerwowania, a może nawet strachu.

Uczepiła się kurczowo mego ramienia i czułem, jak dosłownie trzęsą się jej ręce. Za to Alberdi zachował nie tylko całkowity spokój i równowagę, ale nawet, w porównaniu z bierną postawą w „casa grande”, jakby nabrał życia. Wyprzedzając nas, pierwszy wszedł na schody i nie czekając, aż my podejmiemy do drzwi, zadzwonił.

Czekaliśmy dość długo, zanim zabłysło światło. Były to właściwie dwa silne reflektory ukryte w głębi hallu, które oślepiły mnie do tego stopnia, że dopiero po chwili, przysłaniając dłońmi oczy, spostrzegłem jakąś barczystą postać, stojącą tuż przy schodach. Mężczyzna nie

podchodził do drzwi, tylko przyglądał nam się przez dłuższą chwilę, a potem gdzieś zniknął.

Reflektory zgasły i wydało mi się, że ogarnęła nas nieprzenikniona ciemność. Ale to było złudzenie. W hallu paliło się nadal mdławe zielonkawe światło.

Znów upłynęło parę minut. Pani de Lima drżała coraz bardziej i zaczynałem się już zastanawiać, czy nie wrócić do samochodu i nie odwieźć jej do „casa grande”. Spróbowałem zresztą o tym napomknąć, ale spotkało się to natychmiast z gwałtownym sprzeciwem z jej strony.

Lecz oto wreszcie w hallu zabłyśło normalne światło. Z bocznego korytarza wyszła Katarzyna w towarzystwie młodego, barczystego Indianina, który po chwili odszedł i szklane drzwi stanęły przed nimi otworem.

Weszliśmy do hallu. Katarzyna powitała nas skinieniem głowy, lecz nie odezwała się ani jednym słowem. Alberdi i pani de Lima milczeli również, nie wiedząc, jak się zachować.

— Niezbyt przyjemnie witacie gości tymi reflektorami... — odezwałem się przerywając kłopotliwą ciszę. — Zupełnie jakby w jakiejś twierdzy.

Katarzyna zaśmiała się sztucznie.

— Rzeczywiście. Trafiłeś w sedno. Czujemy się tu jak w obłęzonej twierdzy. Przed godziną wybito szyby w gabinecie profesora Bonnarda.

— Wybito szyby?! — powtórzył ze zgrozą Alberdi.

— Któż to mógł zrobić? — dorzuciła niepewnie Dolores.

— Pani się o to pyta?! — parsknęła ze złością Katarzyna. Nie widziałem jej jeszcze nigdy w takim stanie.

— Czy wezwaliście policję? — zapytałem nie kryjąc niepokoju.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

— Profesor próbował dzwonić na posterunek, lecz telefony nie działają. Jest tu, co prawda, krótkofalówka, ale przecież trudno wszczynać alarm z powodu jednego incydentu.

— A personel? Jaką macie ochronę?

— W Instytucie mieszka kilka osób. Reszta pracowników, niestety, wyjechała. Jutro przecież święto. Miałeś przyjechać sam — zmieniła nagle temat.

— Pani de Lima chce zabrać syna.

— Nietrudno było się domyślić...

Zaczepny ton Katarzyny coraz bardziej mnie drażnił.

— Nie ma sensu, aby chłopiec tu pozostawał. Zwłaszcza w takiej sytuacji... Poza tym trzeba wyjaśnić sprawę do końca.

Katarzyna zmierzyła mnie wzrokiem.

— Nie wiem, do czego zmierzasz. Nie mam też prawa zabierać głosu w imieniu profesora Bonnarda. Jestem tu gościem, jak i ty. Ale — spojrzała z ukosa na Dolores — myślę, iż rzeczywiście sytuacja dojrzała do takiego stanu, że... trzeba będzie zagrać w otwarte karty — powiedziała z nutą groźby.

— Przyjechałam tu po moje dziecko i nie wyjadę stąd, dopóki mi go nie oddadzą. Nie mają prawa go więzić!

— Dlaczego pani rzuca oskarżenia? Czy pani rozmawiała z synem? Mogę panią zapewnić, że nikt go tutaj nie więzi — Katarzyna poczyniała odzyskiwać zwykły swój spokój.

— Mario musi wrócić do domu! I to jeszcze dziś! Dlaczego pan nic nie mówi, mecenasie?

Sytuacja moja stawała się coraz trudniejsza.

— Żądania pani de Lima są w pełni uzasadnione. Mario jest niepełnoletni i w zasadzie wola jego nie ma tu znaczenia. Myślę, że profesor Bonnard na pewno nie ma zamiaru wchodzić w konflikt z prawem i utrudniać matce kontaktu z synem, choćby nawet, jego zdaniem, stan chłopca wymagał, aby tu pozostał.

— To wyście go doprowadzili do tego stanu! — wybuchnęła pani de Lima.

— O co pani mnie oskarża?! — Katarzyna uniosła głos.

Dolores zmieszała się. Spojrzała na mnie niepewnie, potem na Katarzynę.

— Nie panią, źle się wyraziłam. Pani rozumie... syn...

— Zaprowadzę panią do niego — powiedziała Katarzyna nieco cieplejszym tonem. — Albo... jeśli pani woli, powiem mu, aby zszedł tu do pani. Myślę jednak, iż lepiej będzie, jeśli przedtem porozmawiamy spokojnie na jego temat.

— Czy stało się coś złego? — wyszeptała Dolores z lękiem.

— Nie. Nie. Niech się pani nie obawia. Ale... chodzi o to, aby uniknąć pewnych nieporozumień. Może jednak usiądziemy — Katarzyna

wskazała fotele w głębi hallu.

— Nie wiem, jakie mogą być tu nieporozumienia — westchnęła pani de Lima siadając.

— Zacznę od sprawy moim zdaniem zasadniczej — podjęła Katarzyna. — Rozmawiałam kilkakrotnie z pani synem, jak również z profesorem Bonnardem i doktorem Monteżą, który jest wybitnym psychiatrą. Otóż mogę panią zapewnić, iż Mario nie cierpi na żadną chorobę psychiczną ani nawet psychonerwicę. Jest zupełnie normalnym, zdrowym chłopcem.

— To niemożliwe — wyszeptała pani de Lima, przyjmując oświadczenie Katarzyny z mieszanymi uczuciami. — Doktor Steinberg, dyrektor sanatorium w Playa de Oro, stwierdził.. Zresztą, gdyby pani widziała, jak się zachowywał w domu...

— Konflikt między Mariem a panią i jej mężem ma bardzo konkretne podłoże... I wydaje mi się, że, niezależnie od pewnych obiektywnych przyczyn, niemąłą winę ponosi pani sama...

— Cóż pani może wiedzieć — westchnęła Dolores. — Mario jest trudnym dzieckiem.

— Nie sądzę. Chciałabym panią ostrzec. Niech mi pani wierzy, mówię to tylko w trosce o przyszłość Maria. Gra, w której bierze pani udział, może stworzyć między panią a synem przepaść nie do pokonania!

— Nic nie rozumiem. O czym pani mówi?

Zdziwienie Dolores wydało mi się szczere.

— Czy pani nie zdaje sobie sprawy, że oskarżenie Instytutu o zamordowanie Joségo to tylko pretekst do rozgrywki politycznej? Czy pani chce utracić syna, torując drogę do kariery swemu mężowi? Zresztą ludzie, którzy wplątali was w tę intrygę, nie orientują się zupełnie w sytuacji. Oni nie są w stanie zrealizować swych planów, mogą tylko wyrządzić niepowetowane szkody...

Pani de Lima patrzyła przerażona na Katarzynę.

— Chcę tylko odzyskać swoje dziecko — wyszeptała błagalnie.

— To zależy wyłącznie od pani. Ostrzegam jednak: jutro może być za późno.

— Co mam robić?

Katarzyna patrzyła w milczeniu na Dolores i sądziłem, że zastanawia się, co odrzec. Myliłem się jednak.

— Czy może mi pani odpowiedzieć szczerze, co się stało z pamiętnikiem Joségo Bragi i maszynopisem *Wieży bez okien*?

Dolores poruszyła się niespokojnie.

— Skąd pani wie o pamiętniku? — spytała ledwo dosłyszalnie.

Zanim jednak Katarzyna zdążyła odpowiedzieć, usłyszeliśmy ciche odgłosy kroków i z bocznego korytarza wyłoniła się znów wysoka postać młodego Indianina.

— Profesor prosi panów do gabinetu! — powiedział wskazując gestem schody prowadzące na górę. Alberdi zerwał się z fotela. Teraz dopiero zauważyłem, jak bardzo jest zdenerwowany.

— Panie wybaczą — skłoniłem się Katarzynie i Dolores, która przesłała mi pełne niepokoju spojrzenie. Młody człowiek doprowadził nas aż do drzwi gabinetu Bonnarda i zawrócił. Profesor stał w progu, ubrany w biały laboratoryjny kitel. Przywitał nas skinieniem głowy. Oświetlony jasno gabinet wydał mi się teraz znacznie większy niż w czasie poprzedniej wizyty. W oknie, zasłoniętym szczelnie roletą, sterczały resztki rozbitej szyby.

Bonnard zauważył moje spojrzenie i uśmiechnął się ironicznie.

— Zabawiają się pańscy klienci... A oto list z pozdrowieniami.

Sięgnął do otwartej szuflady i podał mi zmiętą kartkę. „Mordercy pod sąd” — przeczytałem nabazgrane niewprawną ręką słowa.

— Siadajcie! — powiedział Bonnard. Sam jednak nie usiadł, tylko równym, rytmicznym krokiem począł przemierzać gabinet.

— Dawno tu nie był, Est... — zwrócił się do Alberdiego.

— Dawno — powiedział ksiądz, biorąc ode mnie kartkę. — To wrzucono przez okno? — zapytał po chwili.

— Przyniesiono na tacy! — zaśmiał się Bonnard sarkastycznie. — A pan chyba nie ma do mnie żalu — zatrzymał się przede mną. — Sam pan zresztą sobie winien. Myślałem, że mam przed sobą jeszcze jednego z tych wieprzy, co to ryją...

Rozmowa zapowiadała się niezbyt przyjemnie.

— Myślisz, że to da Silva? — zapytał Alberdi kładąc kartkę na biurku.

— Domyślny jesteś... Ale to wszystko nieważne. Powiedziano mi, że jest pan człowiekiem uczciwym — zwrócił się do mnie. — Najbliższe dni pokażą, czy moi informatorzy mieli rację. Nie mogę jednak ryzykować.

Dopiero jutro o godzinie jedenastej może pan opuścić ten budynek. I ty, Est, również. Jeśli wam to nie odpowiada, musicie zaraz stąd wyjechać. Ale bez chłopca.

— Po co więc mnie pan wzywał?

— Sytuacja jest tego rodzaju, iż potrzebuję kogoś, kto będąc w obozie przeciwnika nie dopuści do groźnych skutków ludzkiej głupoty i zaślepienia.

Wstałem.

— Niestety, nie podejmuję się roli konfidenta.

Bonnard skrzywił się, jak gdyby go nagle zabolęły zęby.

— Coś pan taki... w gorącej wodzie kąpany! — parsknął gniewnie. — Nikt od pana nie wymaga żadnych informacji. Przeciwnie. To ja chcę dać panu pełną informację. I to primo — po to, abyś pan dobrze się orientował, jak sprawy stoją, i działał, jak nakazuje rozum i uczciwość, a secundo — po to, abyś informując, kogo trzeba, o tym, coś usłyszał i zobaczył, hamował durniów w ich zapędach.

— Chodzi panu, profesorze, o to, iż w razie procesu...

— Nie, mój panie! O to niech pana głowa nie boli. Do procesu nie dojdzie. A gdyby nawet doszło, mamy świadka, którego głos będzie rozstrzygający... — zaakcentował z błyskiem w oczach.

— Mam pośredniczyć w nawiązaniu jakichś pertraktacji?

— Trudno tu mówić o pertraktacjach. Pańska rola ma być, w zasadzie, tylko stymulująca przebieg pewnych procesów. Zresztą po co mam panu tłumaczyć. Sam pan się zorientuje.

— Nie bardzo rozumiem, jak pogodzić zobowiązanie do dyskrecji z informowaniem... Kogo właściwie i w jakim zakresie wolno mi informować? Panią de Lima? Jej męża? A może sędziego Castello?

Bonnard spojrział na mnie niemal z pogardą.

— Widzę, że wie pan mniej, niż myślałem. Przeceniono pana! Ale to już teraz nie ma znaczenia. A więc krótko: dyskrecja obowiązuje tylko do jutra do godziny jedenastej. Żadnych telefonów, żadnych kontaktów z zewnątrz. Po tym terminie zostawiam panu pełną swobodą ruchu i dysponowania posiadanymi informacjami. Rozumiem pańską sytuację i nie chcę jej komplikować.

— Co zrobimy z panią de Lima?

— Pozostanie tu na noc albo odwiezie ją pan na plebanię, do „casa

grande” czy choćby do samego diabła... Ale Mario z nią nie pojedzie.

— Pan wie... Chłopiec jest niepełnoletni!

— Wiem. Ale primo — przy najlepszej woli zaspokojenie żądań pani de Lima może być niewykonalne — uśmiechnął się nieznacznie. — Mario jest tu dobrowolnie, może w każdej chwili opuścić Instytut... w niewiadomym kierunku. Secundo — jeśli pani de Lima tu pozostanie na noc — najlepiej będzie, jeśli zrobi to dobrowolnie, nie wiedząc nawet o warunkach, jakie panu postawiłem. W tym zresztą pańska głowa. To, iż przyjechaliście jednym wozem, ułatwia sytuację. Tertio — wszystko to są sprawy mało ważne w porównaniu z tym, mój panie, o co idzie gra.

— Postaram się przekonać panią de Lima, aby pozostała. Jej chodzi w tej chwili tylko o syna. Jeśli zobaczy się z nim, będzie uspokojona.

— Rano zabiorę ich ze sobą do stolicy. Wyjeżdżam o siódmej! Po drodze mam kilka spraw, ale do południa znajdą się oboje w domu. Pan jednak musi tu pozostać do jedenastej. Ty, Est, przyjmujesz, rzecz jasna, moje warunki?

— O siódmej piętnaście muszę odprawić mszę.

— A więc wracasz na plebanię.

— Chcę wiedzieć, co się stało z Josém!

Bonnard rozłożył bezradnie ręce.

— Wybacz, Est...

— Dobrze! — powiedział z wysiłkiem Alberdi. — Przyjmuję twoje warunki. Muszę jednak zawiadomić zakrystiana, że odprawię tylko sumę. Ale powiesz mi, co z Josém?

Surowa twarz uczonego rozjaśniła się na moment.

— Za chwilę będziesz mógł sam z nim rozmawiać — rzekł wolno, uroczystym tonem, zupełnie nie pasującym do jego dotychczasowej oschłej rzeczowości.

— Jak to możliwe? — wyjąkał Alberdi, a mnie przed oczyma stanął w tej chwili wstrząsający obraz otwartej trumny.

— Straciliście monopol na nieśmiertelność! — zaśmiał się gardłowo Bonnard. — Musisz się z tym pogodzić, Est.

— Nie rozumiem...

— I nie wiem, czy będziesz chciał zrozumieć... do końca.

— Mów! — ksiądz wpatrywał się z uporem w twarz uczonego, jakby chciał wyczytać z niej w jednej chwili całą prawdę.

Lecz Bonnard zwlekał z wyjaśnieniami. Podeszedł do biurka i wyjął z szuflady arkusz papieru.

— Napisz list do zakrystiana. Wyjadę jutro pół godziny wcześniej i Mario odda mu go po drodze.

— Nie ufasz mi — powiedział z goryczą Alberdi.

— Ależ... — parsknął uczoney. — To nie o ciebie chodzi. Po co da Silva ma wiedzieć przed czasem...

— Rób, jak uważasz za słuszne.

Alberdi usiadł za biurkiem i zabrał się do pisania.

— Z tego, co pan powiedział, profesorze, zdaje się wynikać, że José Braga żyje — przerwałem chwilowe milczenie.

— W pewnym sensie...

— I można z nim rozmawiać?

— Choćby przez ten intercom — Bonnard podeszedł do biurka i położył dłoń na plastikowej skrzynce.

Alberdi uniósł głowę znad niedokończonego listu.

— Więc José nie umarł? — zapytał cicho. — A te zwłoki?... Czyżby Gomez się mylił?

— Gomez to dobry fachowiec i nie pomylił się. To są zwłoki Joségo Bragi. I jeśli umówimy się nazywać śmiercią ustanie funkcji fizjologicznych ciała, to José umarł rzeczywiście sześć lat temu. Ale ty, Est, jesteś przecie specem od spraw duszy i uparcie dowodzisz, iż może ona żyć bez ciała. Więc czemu się dziwisz?

— Więc to... jest... dusza Joségo? — wyjąkał Alberdi, a ja poczułem, jak ciarki przebiegły mi przez plecy.

— W pewnym sensie tak. To jest dusza Joségo Bragi, i to, teoretycznie biorąc, dusza nieśmiertelna. Pamiętasz, Est, jakieśmy we czwórkę z Josém i Tomem Millerem rozprawiali kiedyś, przed laty, o nieśmiertelności? Oto masz swoją nieśmiertelność: dusza Joségo oddzielona została od jej doczesnej powłoki cielesnej... Ciało rozsypuje się już w proch, a dusza istnieje nadal i może tak istnieć w nieskończoność.

Alberdi stał przed Bonnardem mieniąc się na twarzy. Widać było, że w jego wzburzonym umyśle nieufność walczy z pragnieniem, by to, co usłyszał, okazało się rzeczywistością, a zachwyt z lękiem przed nieobliczalnymi konsekwencjami ludzkiej odwagi.

— Coś ty zrobił? — zapytał wreszcie z wysiłkiem.

— To, co mówię. Wyzwoliłem z ciała duszę Joségo. Ale żarty na stronę. Z tej mąki chleba dla ciebie nie będzie. Eksperyment ma charakter czysto naukowy. Przenieśliśmy zapis osobowości Joségo Bragi z naturalnej sieci nerwowej na sztuczną. Jeśli postawimy znak równości między pojęciami „dusza” i „osobowość” — dusza Joségo została przeniesiona z jednego układu do innego. Zdaję sobie sprawę, że pojęcie „osobowości” jest nie dość precyzyjne, ale chyba rozumiemy wszyscy, o co chodzi. Dusza jest jeszcze bardziej mglistym pojęciem, a mimo to od paru tysięcy teologowie dają sobie z nią radę...

Zapanowało milczenie. Zastanawiałem się intensywnie nad tym, co powiedział profesor, lecz jakoś nie bardzo chwytałem sens jego słów.

— Więc umieścił pan mózg Bragi w jakimś urządzeniu — podjąłem przypominając sobie to, o czym napomknął da Silva.

— Nie! — zaprzeczył profesor. — Przenieśliśmy nie mózg, lecz zapis osobowości zawarty w jego strukturze fizycznej i chemicznej. Nie wiem, czy pan rozumie, o czym mówię.

— Mniej więcej...

— Sądzę, że raczej mniej niż więcej. Niech się zresztą pan tym nie martwi. Wiele kwestii w tej materii pozostaje jeszcze i dla fizjologów zagadką. Jesteśmy jak gdyby w położeniu owego lekarza-praktyka sprzed stu czy więcej lat, który potrafił leczyć, i to nieraz nieźle, chociaż nie wiedział właściwie, co leczy...

Stanął przy oknie i zamyślił się.

— Odbiegłem od tematu — powiedział po chwili. — Otóż jakie są funkcje mózgowia? Chodzi mi, rzecz jasna, nie o wszystkie funkcje, a jest ich bardzo wiele, lecz o te funkcje, które stanowią, że się tak wyrażę, materialne podłoże życia psychicznego. Otóż z tego punktu widzenia najważniejszą właściwością mózgu jest zdolność uczenia się, zapamiętywania, kojarzenia bodźców czy — jak się to mówi — wytwarzania odruchów warunkowych. Nie wnikając w szczegóły mechanizmu pamięci, powiem tylko tyle, iż polega on na takich zmianach w strukturze mózgu, które utrwalają powiązania między różnymi powtarzającymi się bodźcami zewnętrznymi. Nie będę wam tu robił wykładu z zakresu fizjologii wyższych czynności układu nerwowego. Rzecz idzie o istotę zjawiska. A właśnie istotą jego jest stopniowe

gromadzenie i utrwalanie w strukturze mózgu doświadczeń będących niczym innym, tylko zapisem informacji o świecie zewnętrznym. Ten zapis to zespół względnie stałych reakcji na określone bodźce: sposobów kojarzenia, skłonności do poszukiwania określonych bodźców i unikania innych. A zespół cech psychicznych to przecież nic innego jak osobowość.

— Wulgaryzujesz! — wtrącił Alberdi z niezadowoleniem.

— Czekaj! Niech ci będzie, że wulgaryzuję. Istotna jest zasada, a ona jest właśnie taka! Zmierzam do tego, byście zrozumieli, iż osobowość to pewnego rodzaju zapis. Zapis świata w strukturze mózgowia. Gdy zapisu tego nie ma, nie ma osobowości. Nie ma duszy! Nie patrz tak na mnie ze zgrozą, Est. Zarówno noworodek, jak i człowiek, którego powiązania informacyjne w mózgu uległy zniszczeniu, nie mają tego, co nazywamy duszą. Dusza nie rodzi się w chwili poczęcia ani też nie czeka gdzieś w zaświatach na prawo zejścia na ziemię, lecz tworzona jest przez świat zewnętrzny. Otóż ten zapis, owa osobowość tylko z pozoru jest niematerialna. Informacje bowiem zapisane zostały w pewnej określonej materialnej strukturze i bez takiego podłoża istnieć nie mogą.

— Jeśli mózg Bragi został zniszczony, w jaki więc sposób...

— Czekaj pan! To dopiero początek! Powiedziałem, że zapis został dokonany w strukturze neuronowej mózgu, ale nie znaczy to, iż nie można go przenieść na inny układ zdolny do utworzenia podobnej funkcjonalnie struktury. O tym, że to teoretycznie możliwe, zdawali sobie sprawę niektórzy filozofowie chyba już od czasów Condiliaca i La Mettriego. Wydawało się jednak, do niedawna, iż zadanie jest praktycznie nierozwiązalne. Primo: jak rozszyfrować zapis? Już z lokalizacją śladów pamięciowych były kłopoty. Secundo: niewyobrażalnie wielka złożoność zapisu i dynamiczność struktury wykluczały możliwość sporządzenia kopii, że tak powiem, ślad po śladzie. Okazało się jednak, iż właśnie w tych dwóch trudnościach tkwiła możliwość rozwiązania problemu. Otóż nie wiem, czy wiecie, iż od początku XIX wieku toczył się wśród psychofizjologów spór o sprawę lokalizacji korowych.

Pewne fakty wskazywały, iż niektóre określone czynności psychiczne można przyporządkować określonym częściom kory mózgowej. Na przykład wrażenia wzrokowe mają swoje pole projekcyjne w części płata potylicznego, słuchowe zaś — skroniowego. Co więcej, w

połowie naszego stulecia stwierdzono, że drażnienie pewnych ośrodków międzymózgowia powoduje określone reakcje emocjonalne, jak strach, przyjemność itp. Z drugiej jednak strony inne eksperymenty wskazywały, iż szeregu czynności psychicznych nie można zlokalizować, że podłożem tych zjawisk jest kora mózgowa działająca jako całość.

Spór na ten temat trwał dość długo i zakończył się, można rzec, przyznaniem racji jednej i drugiej stronie. Okazało się bowiem, iż istnieje lokalizacja, ale w zasadzie dla elementarnych wrażeń, w przypadku zaś wyższych funkcji psychicznych dominują cechy integracji, całościowe. Zapis osobowości należy właśnie do tej drugiej kategorii. Co więcej, mózg posiada jeszcze jedną, niezmiernie doniosłą właściwość. Już od kilkudziesięciu lat wiadomo, że w pewnych przypadkach nawet usunięcie większych fragmentów kory mózgowej nie niszczy całkowicie zapisu. Mózg jest organem niezmiernie plastycznym, zbudowanym niejako na wyrost, i w razie zniszczenia pewnych jego fragmentów ich funkcje może przejąć pozostała struktura nerwowa. Z tą cechą poczęto ostatnio wiązać nadzieję na transplantację tkanki nerwowej mózgu i zastępowanie zniszczonych fragmentów mózgowia odpowiednimi fragmentami pobranymi z innego mózgu.

— Tak jak przeszczepy serca czy kończyn?

— Właśnie! Niestety wyłoniły się przeszkody w zasadzie nie do pokonania. Primo: jeśli nawet przeszczep poczyna się przyjmować i powstają połączenia, powoduje to tak poważne zachwianie równowagi fizjologicznej, iż organizm ginie w krótkim czasie. Secundo: w przypadku korzystania z mózgu dojrzałych osobników, pobrany fragment stanowi już, siłą rzeczy, pewnego rodzaju ukształtowaną strukturę, a więc w konsekwencji następuje połączenie dwóch osobowości, co nieuniknienie prowadzi do niebezpiecznych zaburzeń. Do transplantacji nadają się więc wyłącznie fragmenty mózgow „niezapisanych”, lecz odpowiednio rozwiniętych, a przecież jedno wyklucza drugie. Wydawało się, iż problem pozostanie nierozwiązany. Ale, jak to już nieraz w historii nauki bywało, z pomocą przyszło odkrycie z pozoru nie związane z badaniami neurofizjologicznymi. Wytworzono mianowicie laboratoryjnie pewną substancję o zadziwiających właściwościach...

— Neurodyna?!

Bonnard skinął głową.

— Tak. Burt sam nie zdawał sobie początkowo sprawy z możliwości, jakie ona otwiera. Powiem więcej. Jeszcze dziś nie jesteśmy w stanie zrozumieć w pełni istotnego podłoża jej właściwości. Neurodyna jest ogromnie złożoną strukturą krzemoorganiczną, wykazującą pewne cechy podobieństwa pod względem budowy cząsteczkowej do kwasów nukleinowych, lecz, oczywiście, utworzoną z innych składników chemicznych. Niezwykłość jej właściwości polega na tym, iż jest to w pewnym sensie substancja żywa. I to obdarzona nie tylko specyficznym metabolizmem, ale zdolnością do samoorganizacji, i to w nie spotykanym dotąd stopniu, wyższym nawet od zdolności samoorganizacyjnych mózgu ludzkiego. Natychmiast po jej wytworzeniu, jeśli tylko zapewni się tej substancji podtrzymanie procesów metabolicznych, rozpoczyna się, pod wpływem oddziaływania środowiska, proces samoorganizacji i samodoskonalenia struktury. Co więcej, jej zdolności przystosowawcze, zależnie od potrzeb, powodują wytworzenie pewnego rodzaju organów czucia i działania.

— Homunculus... — wyszeptał z lękiem Alberdi.

— Nie! Nie ma obawy — zaprzeczył Bonnard. — Przynajmniej na razie — dodał z odcieniem melancholii. — Być może, gdyby podjąć próby jakiejś odpowiednio ukierunkowanej ewolucji, można by wytworzyć z niej pewnego rodzaju imitację psychiki. Ale, jak dotąd, zbyt mało jeszcze wiemy. Nie mówiąc już o tym, iż jej samodzielność w zakresie utrzymania się przy życiu jest właściwie równa zeru. Nie może więc sama przez się stanowić groźby dla człowieka. Za to odznacza się cechą o niezwyklej użyteczności praktycznej. Jest nią zdolność do pewnego rodzaju symbiozy, a ściślej współdziałania z komórkami nerwowymi organizmu żywego. To współdziałanie polega wyłącznie na odbiorze i przekazywaniu sygnałów elektrycznych i elektromagnetycznych. Taka łączność dwustronna jest, rzecz jasna, również pewnego rodzaju drogą kontaktu ze środowiskiem i w wyniku procesów przystosowawczych prowadzi do odpowiedniego ukształtowania wewnętrznej struktury neurodyny.

Mówiąc krótko, neurodyna jest w stanie stosunkowo szybko i nie uszkadzając zupełnie struktury fizycznej i chemicznej komórek żywych, zespolić się z mózgiem żywej istoty. Początkowo jest to jakby nowy, całkowicie pozbawiony zapisu fragment mózgu. Stopniowo włącza się on

jednak coraz pełniej do udziału w dynamicznych procesach zachodzących w jego strukturze. Po dłuższym okresie takiego współdziałania, jeśli z kolei usuwać się będzie powoli, fragmentami rzeczywisty mózg, struktura neurodynowa w coraz większym stopniu będzie przejmowała zapis osobowości. W końcu role się zmieniają. Jeśli nawet mózg ulegnie całkowitej zagładzie, zapis pozostanie, przejęty przez neurodynę.

— A więc coś w rodzaju protezy mózgu?

— I tak, i nie... Z psychologicznego punktu widzenia: tak! Osobowość przeniesiona została na strukturę neurodynową. Co prawda muszę zastrzec, iż zabieg ten jest bardzo skomplikowany i towarzyszą mu poważne zaburzenia psychiczne, zwłaszcza zaraz po podłączeniu wypustek neurodynowych oraz w ostatniej fazie, po przerwaniu łączności z pniem mózgu. Przemieszczona osobowość nie jest zresztą wierną kopią dawnej. Istnieją znaczne luki w pamięci, pojawiają się nowe cechy... Ale świadomość własnego istnienia i ciągłość życia psychicznego pozostaje. A to najważniejsze.

— Więc to jednak jest proteza! Może już niedługo będzie można wymieniać całe części mózgu?...

— Niestety, nie — odparł z westchnieniem profesor. — Primo: jak już powiedziałem, metabolizm neurodyny jest zupełnie różny od białkowego. Podtrzymanie jego wymaga skomplikowanej aparatury. Secundo: przeszkodą całkowicie wykluczającą możliwość protezowania jest fakt, iż neurodyna może przejąć w szerszym zakresie funkcje mózgowia tylko wówczas, jeśli jej złożoność, a więc i masa, będzie dostatecznie duża. Dla protezowania mózgu ludzkiego najmniejszą, można rzec, progową złożoność osiągamy wówczas, gdy ilość substancji wzięta do eksperymentu ma objętość około półtora metra sześciennego, to znaczy jest czternaście razy większa od objętości ciała ludzkiego. Neurodynowego mózgu, Niestety, nie możemy nosić we własnej czaszce...

— Wszystko to jest tak zadziwiające, trudno w ogóle oswoić się z myślą, że...

— Tak, mój oskarżycielu prywatny! — przerwał mi zgryźliwie. — Chcielibyście mi wytoczyć proces o zamordowanie Joségo Bragi... José był beznadziejnie chory, skazany na śmierć. Rozumie pan? Ja uratowałem jego osobowość. Jego duszę, jeśli użyję twych sformułowań, Est. Co

więcej, dałem mu szansę nieśmiertelności. To, czego nie potrafił dotąd dać w rzeczywistości nikt, ani na ziemi, ani w niebie...

Bonnard umilkł. Stał teraz przed nami wyprostowany, jakby jeszcze wyższy, z wyrazem tryumfu na wąskich wargach. Ksiądz poruszył się niespokojnie i spojrzał ukradkiem na intercom. Profesor dostrzegł to spojrzenie i w oczach jego pojawił się błysk, który już raz w czasie tej rozmowy zauważyłem. Podszedł do biurka i przerzucił jeden z przełączników umieszczonych na ścianie skrzynki.

— José! Mamy gości! — rzucił w kierunku skrzynki trzy słowa w taki sposób, jak gdyby gdzieś na końcu linii czekał ktoś na wezwanie.

— Kto? — padło z głośnika powoli wypowiedziane słowo.

— Jest tu Est Alberdi i adwokat, o którym ci mówiła Dali. Twoja była żona czeka w hallu.

Chwilę panowała cisza.

— Chcesz, abym z nią rozmawiał?

Głos był niski, przyjemny w brzmieniu, tyle że jakby nadmiernie wyraźny i poprawny w wymowie poszczególnych słów.

— To od ciebie zależy... — powiedział Bonnard do intercomu.

Zapanowało milczenie. Pomyślałem w tym momencie, że wszystko to może być jednym potwornym bluffem, obliczonym na wprowadzenie w błąd mnie, a za moim pośrednictwem przeciwników Bonnarda.

— Dobrze! — rozległ się głos z intercomu. — Porozmawiam z nią. Później. Teraz zostawcie mnie samego z Estebanem.

Ksiądz wpatrywał się w skrzynkę jak zahipnotyzowany.

— Niech pan idzie — zwrócił się do mnie szeptem profesor. — Pokażę panu coś niecoś...

XIII

Po jasno oświetlonym gabinecie korytarz wydawał się pograżony w ciemnościach.

Bonnard zamknął drzwi i nie spiesząc się sięgnął do kieszeni kitla. Wyjął długą płaską papierośnicę.

— Zapali pan?

— Chętnie — powiedziałem biorąc papierosa.

— Przyzwyczailem się do palenia na korytarzu — podjął podając mi ogień. — Neurodyna nie znosi dymu. Przejdźmy zresztą do archiwum. Zobacz pan interesujące dokumenty: pierwsze rękopisy, a raczej „mózgopisy” Bragi.

— Muszę przyznać, iż jestem zupełnie oszołomiony... Dlaczego jednak te rewelacje trzyma się w tajemnicy?

— Czy pan zdaje sobie sprawę, co oznacza perspektywa przekroczenia przez człowieka progu nieśmiertelności? Ile złudnych nadziei poczęto by wiązać z naszymi doświadczeniami? Wyobraź pan sobie, co się stanie, gdy wiadomość o tym, wyolbrzymiona i zniekształcona jeszcze przez nieodpowiedzialną prasę i radio, przebiegnie przez świat. Obawiam się, że ludzkość nie jest jeszcze przygotowana do przyjęcia tego daru nauki. Nie chodzi tylko o to, iż trudno przewidzieć społeczne skutki wstrząsu, jaki wywołać może świadomość, że człowiek nie musi umierać... My do tej chwili nie wiemy, czy dar nieśmiertelności jest dobrodziejstwem, czy... przekleństwem. Czytał pan *Próg nieśmiertelności*?

— Czytałem.

— Czy myśli pan, że to pisał człowiek szczęśliwy? Zdobycie prawa do nieśmiertelności nie oznacza bynajmniej zdobycia prawa do szczęśliwości wiecznej. Im dłużej trwa eksperyment, tym większa ogarnia mnie obawa, iż to, co robię, jest pogonią za... własnym cieniem. Robimy wszystko, aby dać Bradze nie więcej jak... złudzenie szczęścia.

Szliśmy wolno długim, szerokim korytarzem, a ja słuchałem słów Bonnarda, uświadamiając sobie, że chyba dopiero teraz pod maską oschłości i ironii ujrzałem po raz pierwszy prawdziwe oblicze tego

człowieka. Kim on był naprawdę? Jeszcze przed chwilą wydawał się bezzwzględny, pozbawionym wszelkich uczuć strategiem w grze z Naturą i ludźmi, uosobieniem pychy i zadufania we wszechmoc nauki, której służył. A teraz...

— José Braga jest, jak każdy z nas, tworem świata, w którym żył i w którym dziś wegetuje — podjął po chwili milczenia. — Mimo wszystko to tylko człowiek, pełen tęsknot, pragnień i obaw. Dziwi pana może, dlaczego dążąc do zachowania eksperymentu w tajemnicy podjęliśmy ryzyko publikacji dzieł Bragi pod jego nazwiskiem? Bynajmniej nie dlatego, aby zadziwić świat. Po prostu Braga, przez lata całe nie rozumiany przez otoczenie, nie doceniany przez krytyków, z trudem walczący o prawo przemawiania swymi dziełami do ludzi, tęsknił za sławą, za uznaniem. To bardzo ludzkie. Trzeba go zrozumieć. Czyż więc mogliśmy go pozbawić prawa do zasłużonego tryumfu? Stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami w końcu korytarza. Bonnard sięgnął do kieszeni i wydobyl pęk kluczy. Po chwili wpuścił mnie do długiego wąskiego pomieszczenia bez okien, którego ściany tworzyły półki pełne pudełek oznaczonych numeracją dziesiętną. Wyciągnął jedno z nich, otworzył, wyjął rulon szerokiej taśmy dalekopisowej. Rozwijając powoli papier zdawał się czegoś szukać.

— Niech pan czyta! — powiedział podając mi rulon.

Obejrzałem z zainteresowaniem taśmę. Wypisane na niej były jednak tylko długie szeregi słów nie łączących się zupełnie w jakąś sensowną całość. Miejscami były to nawet fragmenty wyrazów, pełne błędów i zniekształceń.

— To pierwsze próby kontaktu po zerwaniu łączności z ciałem — wyjaśnił profesor. — Nie istniało jeszcze wyjście na układ syntezy dźwięków i po prostu sygnały elektryczne, przekazywane przez efekторы neurodyny, przekodowywane były na rozkazy wykonawcze układu piszącego. Jak pan widzi, to jeszcze zupełny bełkot.

Bonnard schował rulon i przyniósł inny. Tym razem były to już zdania, chropowate i nieskładne, sens można było jednak wychwycić.

— To po roku... Proces rehabilitacji bardzo zaawansowany — tłumaczył uczony.

— Czy wówczas, gdy Braga po raz ostatni rozmawiał z księdzem Alberdi, był już pozbawiony całkowicie własnego mózgu?

— Niezupełnie. Kora mózgowa była już, co prawda, usunięta, a jej funkcje przejęła neurodyna, łącząc się milionami wypustek z pniem mózgu oraz organami słuchu i mowy.

— A wzrok?

— Już wówczas Braga nie widział. Nawiasem mówiąc, problem wzroku nie został przez nas w pełni do tej pory rozwiązany. Czytać, co prawda, może. To znaczy rozszyfrowuje pojedyncze litery i prostsze figury geometryczne, ale liczba elementów recepcyjnych jest, niestety, bardzo mała w porównaniu ze złożonością siatkówki ludzkiego oka, a tym samym ostrość widzenia — jak przez mgłę.

— W *Progu nieśmiertelności* korzystał jednak ze zdjęć... — przypomniało mi się odkrycie de Limy.

— Tak. Z uporem chce się trzymać realiów. W takich przypadkach konieczny jest lektor, który po prostu opowiada, co widzi.

Znów schował taśmę i przyniósł następną.

— Tu ma pan właśnie *Próg* — powiedział rozwijając i podając mi rulon. Tym razem tekst był już nie tylko doskonały w formie i treści, ale liczne maszynowe zmiany wprowadzone między wierszami ukazywały sam proces twórczy.

— Czy Braga dużo czyta?

— Bardzo dużo. Mimo iż czyta litera po literze, co wydaje się zajęciem bardzo żmudnym, opanował tę umiejętność w wysokim stopniu. Neurodyna może znacznie szybciej odbierać i kojarzyć informacje niż mózg naturalny.

— Czyżby więc otwierała się perspektywa stworzenia sztucznego mózgu doskonalszego od ludzkiego?

Bonnard popatrzył na mnie przenikliwie. Potem sięgnął po rulon i począł go zwijać powoli, systematycznie.

— Otóż to — zaczął nagle, jakby podejmując jakąś trudną decyzję. — Psychologiczne i społeczne konsekwencje eksperymentu są znacznie poważniejsze, niż pan sądzi. To, o czym mówiłem dotąd, to tylko jedna strona medalu. Postulat zachowania jak najdłużej w tajemnicy co najmniej niektórych faktów wynika z jeszcze jednego ważkiego powodu. Jak pan chyba się orientuje — Braga pisze coraz lepiej. Wyłania się pytanie: czy wyżyny, które poczyna osiągać, są przejawem naturalnego dojrzewania jego talentu, czy też może wypływają z właściwości

samoorganizacyjnych neurodyny. Otóż wszystko wskazuje, że chodzi o to drugie... Niech pan zważy, iż przeniesienie osobowości spowodowało bardzo poważne zaburzenia, wręcz chorobę psychiczną, nie mówiąc już o znacznych ubytkach i zniekształceniach w zapisie pamięciowym. Nie ulega wątpliwości, iż wszystko to powinno pociągnąć za sobą regres, a nie rozwój talentu. Początkowo zresztą tak było rzeczywiście. Od kilku lat jednak dostrzegamy wyraźny i szybki postęp, mimo trudności natury emocjonalnej, przeżywanych przez Bragę. Niezależnie od ceny, jaką trzeba za to zapłacić, neurodyna otwiera rzeczywiście perspektywy osiągnięcia sztuczną drogą tego, co nazywamy genialnością. A to już obciąża nas odpowiedzialnością nieporównanie większą niż nawet odpowiedzialność za otwarcie perspektyw nieśmiertelności. Rzecz jasna, nie chodzi tu przecież tylko o genialność pisarza i artysty, ale przede wszystkim uczonych, administratorów, polityków... Co to oznacza, nie potrzebuję chyba panu tłumaczyć!

— Może wreszcie potrafimy rozwiązać wszystkie problemy naszego świata...

Bonnard zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Naiwny optymista z pana. Każde nowe odkrycie rodzi nowe problemy, nowe komplikacje. Oczywiście tempo rozwoju nauki i umiejętności technicznych człowieka uległoby gwałtownemu przyspieszeniu i wiele obecnych kłopotów przestałoby nas nękać. Ale czy współczesny świat potrafi właściwie wykorzystać te możliwości? Obawiam się, że nie! Podwyższenie poziomu zdolności intelektualnych nie przesądza jeszcze, jakim celom będą one służyły. Nie ma chyba odkrycia i wynalazku, którego nie można by wykorzystać przeciw człowiekowi...

Czułem, jak udziela mi się niepokój, który chyba od lat musiał dręczyć tego człowieka.

— Rozumiem. Obawiam się jednak, iż tak rewelacyjnego odkrycia nie da się ukryć. O ile mi wiadomo, nad neurodyną pracują już zresztą uczeni kilku krajów, i to nie tylko naszej, ale i wschodniej półkuli... Czy istnieje gwarancja, że gdzie indziej... — urwałem czekając, co powie.

— Gwarancji nie ma. Ale... — zawahał się. — Widzi pan... staramy się zawczasu przeciwdziałać rozwojowi badań w niebezpiecznym kierunku. Rzecz w tym, iż najgrubsze mury i najgęstsze kordony straży nie

zapobiegną groźbie. Przeciwnie, budzą tylko nieufność i niebezpieczne współzawodnictwo. Gwarancją, jeśli w ogóle można tu mówić o jakiegokolwiek formie gwarancji, jest pełna wymiana informacji i zakaz podejmowania poważniejszych eksperymentów tam, gdzie nie ma pewności, iż wyniki badań będą wykorzystywane zgodnie z interesem ogółu. Nietrudno sobie wyobrazić, czym stałaby się neurodyna w rękach Hitlera i koncernu IG Farben... Myśli pan, że przypadkowo pierwszym człowiekiem, którego osobowość przeniesiona została na neurodynę, był pisarz, a nie, powiedzmy, fizyk? Mogę pana zapewnić, że nigdzie na całym naszym globie w tej chwili nie podejmuje się prób stworzenia genialnego polityka czy uczonego.

— Myśli pan, że uda się powstrzymać postęp?

Spojrzał na mnie gniewnie.

— Zbyt mocne słowo, mój panie — powiedział z niesmakiem. — Tu nie chodzi o zahamowanie postępu, lecz świadome, rozsądne wykorzystanie odkrycia w interesie ludzkości. Powie pan, że to też zbyt mocne słowo. Ale w istocie tak jest. Musimy najpierw gruntownie zbadać możliwości neurodyny, abyśmy byli w stanie przeciwdziałać, zapobiec niebezpieczeństwu. Pewności, oczywiście, nie ma, iż się nam powiedzie, ale cóż innego pozostaje, jak wierzyć w rozsądek...

— Czy pańscy przeciwnicy wiedzą to wszystko?

— Nie moi, mój panie, nie moi osobiście — oburzył się uczoney. — Usunąć mnie to sprawa w zasadzie prosta. Wystarczy użyć nie kamienia, lecz kuli... Ale to nic im nie da. Znajdzie się wielu innych...

Bonnard wsunął pudełko na półkę i podszedł do drzwi.

— Chodźmy już.

Zatrzymałem się w progu.

— Czego więc chcą? — zapytałem z przejęciem.

— Władzy! Władzy na Instytucie, nad neurodyną — odrzekł zmęczonym głosem. — Pyta pan, czy ludzie, którzy ryją pod nami, wiedzą, co się tu naprawdę robi. Myślę, że coś niecoś wiedzą, a przynajmniej wiedzą ci, którzy nimi kierują... z daleka. Oni dobrze orientują się, o co toczy się gra. Zresztą... tacy faceci, jak da Silva, mają tu własne, zupełnie inne interesy na oku. Da Silva reprezentuje ugrupowania, które w istocie niewiele obchodzi, co my tu robimy. Chcą tylko zdobyć władzę w naszym kraju i w samej rzeczy do tego

ograniczają się ich ambicje. Ci, którzy ich popierają z zewnątrz, wyobrażają sobie, iż tą drogą osiągną kontrolę nad Instytutem, że dokonają zasadniczego wyłomu. Ale się mylą. Gdyby do tego doszło, że ludzie pokroju da Silvy przechwyciliby ster rządów, Instytut Burta przestałby istnieć — dokończył cicho.

— A Braga? — zapytałem z niepokojem. Bonnard nie odpowiedział na moje pytanie.

— Niech pan wraca na dół — powiedział zamykając drzwi archiwum. — Wie pan już dostatecznie dużo, aby wyciągnąć właściwe wnioski. Mam nadzieję, że pan to potrafi — ton jego głosu stał się znów oschły, niemal przykry. — Do rana jest czasu dość. Teraz niech pan porozmawia z panią de Lima. Jeśli zgodzi się tu pozostać i wrócić do domu jutro rano, może jej pan powiedzieć, jak stoją sprawy z Bragą. Poprosi pan przy okazji doktor Dali, aby przyszła do mnie do gabinetu.

Profesor doprowadził mnie do schodów i zawrócił. Schodząc w dół zastanawiałem się, co powiem Dolores. Wrażenie, jakie wywarły na mnie rewelacje Bonnarda, było zbyt silne, a problemów zbyt wiele, abym mógł pokusić się o jakieś konkretniejsze wnioski. Byłem oszołomiony i wstrząśnięty, a jednocześnie nie mogłem oprzeć się uczuciu nierealności tego, co słyszałem i widziałem. A jeśli to wszystko jest fikcją?

Nie mogłem nikomu ufać. Wplątywanie się w jakąś grubszego kalibru intrygę polityczną, i to, jak wynikało ze słów Bonnarda, o zasięgu międzynarodowym, byłoby niewybaczalną głupotą. Lecz czy w tej sytuacji mogłem nadal zachować niezależną postawę? Nie ulegało wątpliwości, że muszę jak najszybciej porozmawiać z Katarzyną.

Zszedłem już na poziom hallu. Dolores i Katarzyna siedziały nadal przy stoliku. Odwrócone do mnie plecami i zajęte rozmową nie zauważyły mojej obecności.

W tej chwili przypomniało mi się to, co mówił przed paru godzinami Ignacio. Schody biegły dalej w dół — do podziemi. Może tędy właśnie prowadziła droga do tajemniczych urządzeń, w których ponoć wegetowała osobowość Bragi. Bonnard widocznie nie miał zamiaru pokazywać mi tych aparatów. Nawet nie wspominał o takiej możliwości. Czyżby się mnie obawiał?

Pomyślałem, że w tej chwili mam może jedyną okazję sprawdzenia tego, co usłyszeliśmy od wiejskiego chłopca. Począłem schodzić wolno w

dół, starając się stąpać jak najciszej.

Światła w podziemiu były przyćmione, ale mimo półmroku mogłem dostrzec wiele szczegółów otoczenia. Kondygnację poniżej poziomu hallu, przeznaczoną kiedyś na oddział zabiegowy sanatorium, o czym świadczyły ślady napisów na ścianach, adaptowano na laboratorium Instytutu. Od schodów biegł dość długi korytarz, a raczej hall, z szeregiem drzwi po obu stronach. W głębi majaczyła metalowa krata, odcinająca od korytarza obszerną czworokątną salę. Podszedłem bliżej i ujrzałem w mroku jakiś obły kształt przypominający ogromną szklaną gruszkę połączoną rurami czy też może kablami z szeregiem walców i kul. Powierzchnia „gruszki” była częściowo pokryta jakimś błyszczącym, srebrzystym tworzywem, być może w celu izolacji termicznej. Machina nie wydawała żadnego dźwięku, żaden też ruch czy choćby tylko migotanie lampek kontrolnych nie sygnalizowało jej działania. Może to nie był ów układ neurodynamowy, lecz jakaś inna aparatura, nieczynna od dawna. A jednak Ignacio wspominał o podobnym urządzeniu. Może właśnie w tym gruszkowatym tworze zamknięta została dusza Joségo Bragi?...

Nagle wstrząsnął mną dreszcz. Czyjaś ręka dotknęła mego ramienia. Odwróciłem się gwałtownie. Za mną stał Mario. Musiał wejść tu przed chwilą bardzo cicho, bo przecież żaden szmer nie zwrócił mojej uwagi.

— Niech się pan nie boi — powiedział przyciszonym głosem.

— Zaskoczyłeś mnie tak nagle... — próbowałem się tłumaczyć. — Czy to właśnie to? — wskazałem na urządzenie.

Chłopiec skinął głową twierdząco.

— Pan przyjechał z mamą i wujem po mnie?...

— Niezupełnie. Przyjechałem przede wszystkim po to, aby porozmawiać z profesorem Bonnardem.

— Niech pan coś zrobi, aby mnie mama stąd nie zabierała — powiedział błagalnie.

— To nie takie proste. Ma prawo żądać, abyś wrócił do domu.

— Muszę tu zostać! On mnie potrzebuje. Niech pan coś zrobi...

Czułem, iż nie mogę odmówić spełnienia jego prośby. Przeszedł mi zresztą do głowy nowy pomysł taktyczny.

— Zrobię, co tylko będę mógł — zapewniłem szczerze. — Ostrzegam jednak, że musisz się liczyć z możliwością, iż na jeden lub dwa

dni wrócisz do domu. Przede wszystkim trzeba mamę przekonać, aby pozostała tu w Instytucie do rana.

— Wiem.

— W tym moja głowa, ale możesz mi dużo dopomóc.

— Jak?

— Na razie zgódź się na wszystko i daj mi mówić. Pójdziemy teraz na górę obaj.

— Obaj?... — Mario spojrział na mnie z lękiem.

— Gdy mama cię zobaczy, będzie uradowana i łatwiej przeprowadzimy to, czego chcemy. No co, zgoda?

Mario miał jednak nadal wątpliwości.

— A jeśli będzie chciała, abym zaraz z nią jechał?

— Ja zostaję, a panna Dali również chyba nie zechce was odwieźć.

— I opony poprzecinane...

— Jakie opony?

— To pan nie wie? Zostawiła wóz na podjeździe i ktoś poprzecinał opony.

— To i mnie gotowi poprzecinać.

— Panu nic nie zrobią. Oni myślą, że pan pracuje dla da Silvy... Więc sądzi pan, że mama zostanie?

— Musielibyście iść piechotą do „casa grande” albo na plebanię. Telefony nie działają, więc wozu od da Silvy ściągnąć się nie da. Wątpię, aby mama ryzykowała wędrówkę w nocy, na piechotę... Będzie się bała, abyś jej po drodze znów nie zniknął.

— I zniknę!

— Nie opowiadaj głupstw. Przede wszystkim trzeba działać spokojnie, rozsądnie. Więc mówisz, że ojciec ciebie potrzebuje? — wróciłem do sprawy, która nie dawała mi spokoju.

Mario spojrział na mnie niepewnie.

— Muszę tu być. Jestem mu potrzebny — wyszeptał z nerwowym drżeniem warg. — On nie może sam zostać... Dla niego to.. — urwał nagle jakby z obawą. — Niech pan nie myśli, że mi się zdaje — podjął po chwili. — Profesor mówi to samo. On teraz czuje się zupełnie inaczej... Nie myśli już o śmierci — dokończył zdławionym głosem.

Wiadomość była zaskakująca. Co prawda ze słów Bonnarda wynikało, iż Braga nie jest szczęśliwy. Czyżby jednak sprawy zaszły aż

tak daleko?

— Rozumie pan teraz?... — wyszeptał Mario ledwo dosłyszalnie.

Patrzyłem na chłopca w milczeniu dłuższą chwilę.

— Chodźmy! — zdecydowałem wreszcie, wskazując drogę na górę.

Ale wypadki potoczyły się inaczej, niż planowałem. Już na schodach usłyszeliśmy podniesiony głos matki Maria.

— ...i ciebie też potrafił otumanić! — wołała pani de Lima z oburzeniem. — Byłeś zawsze głupi, Est! Głupi i naiwny! Ale ja nie dam się wyprowadzić w pole! — Mnie nikt nie oszuka!

— Ależ Dolores! Przestań histeryzować! — dobiegł nas zdenerwowany głos Alberdiego. — Nie rozumiem, o czym mówisz?

— Kłamiesz! José nie żyje! A jeśli z kimś rozmawiałeś, to nie z Josém. Czyś ty też już postradał rozum? Co tu się w ogóle dzieje?! Co zrobiono z moim bratem? A gdzie Mario?!

Pani mówiła, że on zdrowy, normalny... A przecież wiem, że on także bredzi o Josém.

— Niech się pani nie denerwuje — Katarzyna była nad podziw spokojna. — Pani brat nie kłamie. Rozumiem, że to co pani usłyszała, wydaje się absurdem. I ja też kiedyś myślałam... Profesor Bonnard wszystko pani wytłumaczy...

— Chcę tylko odzyskać syna! Mnie nie oszukacie!

— Szybciej! — rzuciłem szeptem do Maria pociągając go za sobą.

Przy zbiegu górnych i dolnych schodów omal nie zderzyliśmy się z Bonnardem.

— Gdzie się pan podziewał? — syknął gniewnie, obrzucając mnie i Maria badawczym spojrzeniem. Wziął chłopca za ramię i pchnął w kierunku pani Dolores.

— Idź!

— Mario! — zawołała pani de Lima. Podbiegła do syna i przyciskając gwałtownie do piersi, obsypywała chłopca pocałunkami.

Zerknąłem ukradkiem na profesora. Wydało mi się, że dostrzegam w jego twarzy coś na kształt zwykłej ludzkiej zadumy, ale natychmiast, gdy tylko nasze oczy się spotkały, usta jego wykrzywił ów dobrze mi już znany, nieprzyjemny, z lekka ironiczny uśmiech.

— No, teraz wiele zależy od pańskich umiejętności adwokackich — rzucił do mnie na wpół drwiąco.

— Mario! Mario! Ileś ty mi narobił kłopotów... — łkała pani Dolores, nie wypuszczając syna z objęć. — Prawda, że wrócisz do domu? Nie będziesz już uciekał? No, powiedz, Mario!

— Tak, mamó — potwierdził chłopiec głosem zmienionym i drżącym.

— Przebacz mi, dziecko. Ja wiem, byłam dla ciebie niedobra...

— Nie, mamó, tylko...

— Już teraz będzie inaczej... Zupełnie inaczej. Zobacysz!

— Tak, mamó... Mecenás mówił...

Dolores wypuściła syna z ramion i podeszła do mnie.

— Panie mecenásie! — chwyciła mnie za rękę. — Wiedziałam, że pan go znajdzie! Wiedziałam! Nigdy panu tego nie zapomnę!

Postanowiłem natychmiast wykorzystać sytuację.

— Mam do pani prośbę. Proszę mi zaufać i zastosować się ściśle do moich wskazówek — powiedziałem znaczącym tonem.

— Oczywiście, panie mecenásie. Chcę tylko, aby Mario wrócił do domu.

— Wróci! Jutro, najdalej do południa, będziecie w domu. Teraz jednak niech pani wysłucha spokojnie i uważnie, co powiem. Będziemy musieli wycofać skargę przeciw Instytutowi Burta, jak również zrezygnować z wszelkiego rodzaju kroków roszczeniowych wobec dorobku pisarskiego byłego męża pani, Joségo Bragi.

— Rozumiem — skinęła głową, patrząc mi w oczy porozumiewawczo.

Uświadomiłem sobie, że potraktowała moje słowa jako manewr w grze na zwłokę lub też konieczną ze względu na bezpieczeństwo Maria kapitulację przed Bonnardem.

— Nie mam pewności, czy pani rzeczywiście rozumie sytuację — spróbowałem dać jej do zrozumienia, że się myli. — Nie należę bynajmniej do ludzi łatwowiernych, ale muszę pani powiedzieć, iż niesłusznie zarzuca pani swemu bratu kłamstwo lub naiwność. José Braga rzeczywiście żyje, choć nie w ten sposób, jak to sobie zwykliśmy wyobrażać. Żyje nie on cały, nie jego ciało, lecz jakby jego myśli, jego osobowość, jego „ja”, słowem to, co zwykliśmy nazywać duszą. Zresztą najlepiej wytłumaczy to pani profesor Bonnard...

— Ja to rozumiem. Wszystko w pełni rozumiem.

— Ależ mamó! Ty nie wierzysz?!... — Mario patrzył na matkę z wyrzutem.

— Wierzę, synku. Wierzę! Może masz rację. Ja jeszcze nie w pełni rozumiem, ale... Jeśli pan mecenas mówi i ty także... i pani doktor Dali... Pan profesor pozwolił ci wrócić do domu, prawda? — zmieniła nagle temat.

— Ależ... zawsze mogłem wrócić. To z innego powodu... Chłopiec przesłał mi pytające spojrzenie.

— Z jakiego powodu? Powiedz, synku — w głosie Dolores wyczułem niepokój.

— Niesłusznie podejrzewa pani nadal profesora Bonnarda o złe zamiary — wtrąciłem się do rozmowy. — To José Braga potrzebuje obecności swego syna.

— Ach, to José... — Dolores patrzyła na mnie rozpaczliwie.

Zdecydowałem się wyjaśnić sprawę do końca.

— Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że dłuższa nieobecność Maria może się odbić ujemnie na stanie psychicznym Joségo. Prawda, profesorze?

— Widzę, że jest pan świetnie poinformowany albo też niezwykle domyślny — odrzekł uczony tonem, który, niestety nie mógł rozproszyć wątpliwości pani de Lima.

— Dlatego chciałbym też panią uprzedzić — ciągnąłem dalej — że Mario powinien co pewien czas, być może co kilka dni, odwiedzać swego ojca.

— Tak, mamó — podchwycił z przejęciem chłopiec. — Ja muszę tu przyjeżdżać! On mnie potrzebuje!

— Oczywiście! Będziesz go odwiedzał, kiedy zechcesz — pośpieszyła z odpowiedzią, choć czułem, iż nie traktuje poważnie ani jednego z wypowiedzianych słów. — Sama będę cię tu przywoziła. Ale my z pewnością przeszkadzamy panu profesorowi — zmieniła znów temat. — Może byśmy już... — rozpoczęła i urwała patrząc na mnie niepewnie.

Czekała mnie teraz najtrudniejsza część rozmowy.

— Myślę, że nie mamy na razie po co się spieszyć — rozpocząłem przygotowywanie gruntu. — Jest już dość późno, a jazda nocą nie należy do przyjemnych. Panie profesorze, znajdzie się tu dla nas jakiś pokój

gościnnie?

Dolores patrzyła na mnie z przerażeniem.

— Może jednak nie będziemy sprawiać panu profesorowi kłopotu.

— Żaden kłopot... — burknął Bonnard, co miało oznaczać zaproszenie.

W tym momencie w hallu znów pojawił się młody Indianin. Podeszedł do Bonnarda i powiedział mu coś, czego nie dosłyszałem. Profesor skinął na Katarzynę i wszyscy troje, nim zdążyłem zapytać, co się stało, opuścili pospiesznie hali. Nie ulegało wątpliwości, że musiało się wydarzyć coś bardzo poważnego. Nie miałem jednak czasu na zastanowienie się, bowiem pani de Lima, korzystając z nieobecności Bonnarda i Katarzyny, poczęła mnie indagować.

— Dlaczego chce pan tu zostać na noc? Przecież to nie ma sensu! Ja się naprawdę boję... Możemy przecież przenocować w „casa grande”, jeśli pan nie chce wracać nocą.

— Musimy tu zostać, aby sprawę wyjaśnić do końca. To jedno! A jeśli chodzi o „casa grande”, to nie wiem, czy Mario... — urwałem patrząc wymownie na chłopca.

— Ja tam nie pojedę! — pośpieszył z pomocą Mario.

— No to możemy zanocować na plebani! — nie ustępowała.

— Ja tu zostaję — odparł pośpiesznie ksiądz. — A zresztą... mówiłem ci... Przede wszystkim musisz sama porozmawiać z Josém.

— Ja?! — spojrzała z gniewem na brata. — Chyba żartujesz.

— Nie. José sobie tego życzy. Jemu nie można odmawiać...

— Znów zaczynasz? Niech mu pan wytłumaczy, mecenasie...

Nie dokończyła, bo w hallu pojawił się znów Bonnard z Katarzyną.

— Gdzie pan zniknął, profesorze?

Uczony nie odpowiadał na moje pytanie. Wyciągnął tylko ku mnie dłoń z niedużym pudełeczkiem. Myślałem, że to papierośnica, i już sięgnąłem w stronę pudełka, ale profesor ku mojemu zdziwieniu cofnął pośpiesznie rękę i szybkim krokiem podeszedł do pani de Lima.

W tej chwili usłyszeliśmy nieprzyjemny, świrdrujący w uszach gwizd. Wydobył się on właśnie z owego niewielkiego pudełeczka, zwróconego teraz w kierunku Dolores.

— Proszę oddać! — rozkazał Bonnard wyłączając aparat.

— Co? Ja... nic nie mam! — wyjąkała Dolores blednąc.

— Pani wie, o czym mówię! Proszę oddać dobrowolnie! Inaczej każę panią zrewidować.

W oczach Dolores pojawił się strach.

— No szybciej! Szkoda czasu!

Spojrzała rozpaczliwie na mnie, potem na swoją torebkę. Wreszcie otworzyła ją drżącymi rękami i wyjęła szminkę w plastikowej oprawie, tę samą, którą tuż przed naszym wyjazdem z „casa grande” wręczył jej da Silva.

Profesor Bonnard wyciągnął z kieszeni chusteczkę.

— Niech pani położy na stoliku!

Dolores, dygocąc całą, wykonała polecenie. Bonnard ujął nieszczęsny przedmiot przez chusteczkę i zbliżył do aparatu. Przesunął jakiś przełącznik i oto znów rozległ się gwizd, wzmagający się w momencie zbliżania obu przedmiotów i słabnący przy oddalaniu. Wreszcie znów przesunął jakiś przełącznik i głośniczek zamilkł raptownie.

— Zwracam panu uwagę jako adwokatowi i pełnomocnikowi pani de Lima — zwrócił się Bonnard do mnie urzędowym tonem — że pańska klientka popełniła poważne przestępstwo i może być pociągnięta do odpowiedzialności karnej. Podstęp jest, na szczęście, w naszym kraju ustawowo zakazany.

— Jak mogłaś, mamó!

Okrzyk Maria był tak rozpaczliwy, że dopiero w tej chwili zrozumiałem w pełni tragizm sytuacji.

— Ja nie chciałam... To nie ja... — wyszeptała Dolores.

— Ten mikronadajnik otrzymała twoja mama od da Silvy — pospieszyłem z pomocą nieszczęsnej matce. — Wręczył jej ten przedmiot jako zostawioną przez zapomnienie szminkę. Było to przed domem, po ciemku, matka twoja mogła nie wiedzieć o zamianie. Czy wiedziała pani o tym?

— Nie! Nie! Ja nie wiedziałam... — podchwyciła rozpaczliwie.

— Ona kłamie! — zawołała z oburzeniem Katarzyna.

— Nie. Ja nie kłamię. Nie kłamię... — łkała Dolores.

Bonnard patrzył na mnie poprzez zmrużone powieki. Potem przeniósł wzrok na Maria, wreszcie na jego matkę.

— Więc twierdzi pani, że mikronadajnik wręczył pani pułkownik da

Silva? — zapytał oschle.

— Tak. To da Silva. Ja nic nie wiedziałam...

— Słyszeliście państwo oświadczenie pani de Lima — powiedział Bonnard urzędowym tonem. — Niech się pan z tym liczy, że jeśli zajdzie potrzeba, zwrócę się o powołanie pańskiej klientki na świadka. I oczywiście, państwa również.

Profesor znów przełączył przyniesiony przez siebie aparat, potem sięgnął po mikronadajnik odebrany Dolores.

— Panie da Silva — zawołał. — Ostrzegam pana, że jeśli spróbuje pan wykorzystać zdobyte przestępczą drogą informacje na szkodę Instytutu Burta, zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności. To wszystko!

Bonnard począł znów manipulować przełącznikami, po czym schował oba aparaty do kieszeni.

— Czy on nas teraz słyszy? — zapytałem ściszym głosem.

— Nie. Niech się pan nie obawia! — zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Jak pan się zorientował, że nas podsłuchuje?

— To José. Neurodyna odznacza się dużą czułością na promieniowanie elektromagnetyczne, zwłaszcza o długościach rzędu metra i więcej. José ma więc coś w rodzaju zmysłu radiowego. Otóż stwierdził on pojawienie się w naszym gmachu nowego, nieznanego mu źródła promieniowania...

— José?... — powtórzyła Dolores patrząc z lękiem na Bonnarda.

— Najwyższy czas, aby pani porozmawiała osobiście ze swym byłym mężem.

— Ja?! Ja... nie chcę!

Oczy Dolores pełne były przerażenia.

— Pójdę z tobą, mamó — Mario ujął matkę delikatnie za rękę.

Chwyciła się kurczowo jego dłoni.

— Mario!

— Myślę, że lepiej będzie, jak porozmawiacie bez świadków — rzekł Bonnard twardo.

— Ja tam sama nie pójdę! — krzyknęła Dolores rozpaczliwie. Była blada jak płótno.

— Nie możesz mu odmówić — powiedział Alberdi łagodnie.

— Ja... Ja się boję!

Bonnard wahał się chwilę.

— Est! Ty z nią pójdziesz. Tak będzie lepiej — zdecydował w końcu.

Książdz wziął siostrę pod ramię. Nie stawiała już oporu. Poprowadził ją ku schodom. Bonnard postępował za nimi w milczeniu.

Mario patrzył, jak wchodzili na schody, i nagle, gdy już zniknęli z pola widzenia, pognał za nimi na górę.

Zostaliśmy sami z Katarzyną;

— No i cóż ty na to wszystko? — zapytała siadając na fotelu.

— Dziwne... — westchnąłem sadowiąc się obok niej. — Aż trudno uwierzyć. Powiedz mi szczerze — chwyciłem ją za rękę. — Czy rzeczywiście Bonnardowi można w pełni ufać?

— Całkowicie.

— Jego poglądy są co najmniej dziwne. Słyszałem od de Limy, że Braga był sympatykiem komunizmu. Może więc również Bonnard...

— Pleciesz bzdury. Każdy, kto ma radykalniejsze poglądy, dla ludzi pokroju da Silvy jest agentem komunistycznym.

— Mniejsza o to. Nie znam się na tej waszej polityce i znać nie chcę. Powiedz mi lepiej, co to za historia z pamiętnikiem Bragi?

— Bardzo przykra, nieprzyjemna sprawa. José pozostawił u swej żony pierwszą napisaną przez niego powieść, kilka opowiadań oraz pamiętnik, a ściślej coś w rodzaju diariusza pisanego na gorąco w pewnym okresie życia. Ten pamiętnik był zresztą gdzieś ukryty, lecz Dolores go znalazła i po przeczytaniu spaliła. Twierdzi, że to był paszkwil na nią, lecz z tego, co mówi José, wynika, iż tylko pewne niewielkie fragmenty dotyczyły jego żony. Zniszczyła również te jego pierwsze utwory, z zemsty albo po prostu dlatego, że nie wierzyła, aby miały one kiedykolwiek jakąś wartość. Później okazało się, iż pamiętniki spaliła dopiero po śmierci Joségo, przechowując je przez kilka lat, być może dla jakichś ukrytych celów.

— I Mario o tym się dowiedział?

— Tak. Ale dopiero trzy miesiące temu. Sprawa pamiętnika ciągnie się już od kilku lat. Chyba zaczęła się gdzieś w rok po oficjalnej śmierci Bragi. Nie wiem, czy ci Bonnard mówił, ale w wyniku przeszczepiania osobowości powstały w pamięci Joségo znaczne luki. To bardzo go męczyło, zwłaszcza później, gdy w pełni odzyskał sprawność umysłową.

I wówczas przypomniał sobie o pamiętniku... Tego rodzaju materiał mógłby mu bardzo pomóc. Bonnard rozpoczął więc starania o wydostanie od byłej żony Braga tych pamiętników. Ale ona kręciła. Twierdziła, że José nic jej nie pozostawił. Profesor nie był pewny, czy Braga nie cierpi na paramnezję, i właściwie postawił krzyżyk na całej sprawie. Dopiero parę miesięcy temu w rozmowie z Josém Mario przypomniał sobie, iż przed pięciu czy sześciu laty widział u matki grube bruliony w charakterystycznych okładkach. Za namową Joségo począł szukać brulionów po domu i nie wiem, jak tam było, ale w końcu się wydało, że wszystko zostało przez matkę zniszczone. Chłopiec nie wiedział zresztą początkowo, iż chodziło tu o pamiętniki. Szukał dzieł literackich.

— To dlatego José telefonował do Maria?

— Ależ nie! José po prostu tęsknił za synem. Bonnard zdecydował się na fen dość ryzykowny krok ze względu na stan psychiczny Joségo. Sprawa pamiętnika wypłynęła dopiero w trzeciej czy czwartej rozmowie. I to zupełnie przypadkowo.

— Naprawdę?

— Ależ — zachnęła się gwałtownie. — Ty nie znasz Joségo! Nie znałeś go przed śmiercią... i teraz... Widzisz go tylko oczami tej wiedźmy. Wyobrażam sobie, co ona ci o nim naopowiadała... A czy wiesz, że zmusiła swego syna, aby przysiągł, iż nie powie nikomu o zniszczeniu rękopisów? I teraz się od niego o tym nie dowiesz. Powiedział tylko ojcu, gdyż uważa, że jego nie dotyczy przyrzeczenie.

— Ciekawe, dlaczego ją tak nienawidzisz? Moim zdaniem, mimo wad, to biedna, nieszczęśliwa kobieta.

— Co ty opowiadasz?! — oburzyła się Katarzyna. — To chciwa, podstępna, samolubna, pozbawiona skrupułów baba. Żebyś ty wiedział, co José przez nią przecierpiał!...

Patrzyłem na Katarzynę i zastanawiałem się, dlaczego właśnie ona, tak często imponująca mi obiektywizmem i rozsądkiem, nie znajduje w sobie ani cienia wyrozumiałości dla matki Maria. Czy nie widziała tego, co działo się tu przed chwilą?

— Słuchaj, moja droga. Czyś ty czasem nie kochała się w Josém?

Spuściła gwałtownie głowę.

— A więc tak? — powiedziałem cicho, ze współczuciem. — Może

zresztą jeszcze dziś...

Patrzyła na mnie w milczeniu szeroko rozwartymi oczyma, ale wiedziałem, że jest myślą gdzieś bardzo daleko.

— Myślisz, że... bez sensu jest kochać cień — wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

XIV

Dzień wstał znów słoneczny. Niebo było czyste, bez jednej chmurki nad horyzontem, gdy z Katarzyną i księdzem Alberdi ruszaliśmy sprzed Instytutu.

Pani de Lima i Mario wyjechali z profesorem Bonnardem cztery i pół godziny wcześniej, tak jak zaplanował uczony poprzedniego dnia. Widziałem się z nimi rano. Dolores była blada i zmęczona. Długo w noc przesiedziała u Bonnarda w gabinecie. Widocznie jednak doszli do porozumienia bez mojej pomocy, bo zauważyłem, że odnosi się do niego ze szczerym szacunkiem. Przed odjazdem powiedziała mi, że powinienem rzeczywiście jak najszybciej wycofać skargę, a ona postara się przekonać swego męża o słuszności tej decyzji. Zapewniłem ją, iż wstępne kroki podejmę dziś jeszcze. Nic mnie przecież już nie zatrzymywało w Punto de Vista i postanowiliśmy z Katarzyną, że gdy tylko odwiozę Alberdiego na plebanię, ruszymy zaraz w drogę powrotną do stolicy.

Szosa była opustoszała i wyraziłem nawet przypuszczenie, iż da Silva po wczorajszym ostrzeżeniu Bonnarda zwinął swoje „czujki”. Katarzyna nie podzielała jednak mego optymizmu, twierdząc, iż pułkownik nie należy do ludzi, którzy łatwo kapitulują.

Alberdi nie brał udziału w rozmowie. Ponury i milczący, siedział poza naszymi plecami i choć wyjął brewiarz, nie czytał go, patrząc w zamyśleniu przed siebie zmęczonymi oczyma.

W odległości dwóch kilometrów od Instytutu droga skręcała w lewo i wspinała się powoli w górę, ku wzgórzom, na którego stokach rozłożyła się osada. Słońce świeciło tu wprost przed nami i jego blask, odbity od nagrzanego nawierzchni szosy, raził wzrok. Sięgnąłem właśnie po okulary przeciwsłoneczne, gdy siedząca obok mnie Katarzyna wydała nagle okrzyk:

— Patrz!!!

Daleko, na drodze, w tumanie kurzu, poruszała się gromada ludzi. Szli naprzeciw nas zwartą masą, przez całą szerokość szosy, a nad ich głowami kołysały się jakieś barwne przedmioty czy transparenty.

Wkrótce już mogliśmy rozróżnić szczegóły zbliżającego się pochodu i okazało się, że były to chorągwie kościelne, z kolorowymi wizerunkami Matki Boskiej i świętych.

Zmniejszyłem nieco szybkość jazdy, obserwując z uwagą zbliżający się tłum. Nie była to jednak procesja, chociaż w pierwszej grupie ludzi jakiś barczysty mężczyzna niósł krzyż na długiej żerdzi. Większość mężczyzn była uzbrojona w kije i drągi. Gdzieś tam błyskały w słońcu długie noże do ścinania trzciny cukrowej, a nawet strzelby. Kobiety szły przeważnie skrajem szosy, jakby towarzysząc mężczyznom. Dzieci prawie nie było, jeśli nie liczyć kilku wyrostków poprzedzających pochód.

— Nie przejeździemy — zaniepokoiła się Katarzyna.

Zatrzymałem wóz na środku drogi. Tłum już nas dostrzegł i z wrogimi okrzykami począł biec ku nam.

— Boże, Boże! — usłyszałem rozpaczliwy głos księdza.

— Zawracaj!! — rozkazała Katarzyna.

Lecz zanim zdołałem przerzucić dźwignię, Alberdi otworzył drzwiczki i wyskoczył na szosę. Biegł teraz, powiewając sutanną, naprzeciw zbliżającym się ludziom, krzycząc i wymachując rękami.

Pojawienie się księdza wywołało poruszenie wśród tłumu. Biegący na przedzie ludzie nie wydawali już groźnych okrzyków, lecz okazywali raczej zdziwienie, a nawet radość. Tłum posuwał się jednak nadal naprzód, aż wreszcie otoczył księdza, a za chwilę nasz samochód.

Spotkanie z proboszczem rozładowało wrogie nastroje.

Ksiądz Alberdi zniknął nam zupełnie z pola widzenia. Słyszeliśmy tylko głos jego przedzierający się z trudem poprzez zgiełk i wrzawę. Nie mogliśmy jednak zrozumieć, co mówi, bo nieustanne okrzyki i nawoływania głuszyły jego słowa.

Powoli wrzawa poczynała cichnąć. Coraz więcej głosów wzywało do spokoju.

— Niech mówi! Niech mówi ksiądz proboszcz! Cisza! Cisza!

W pobliżu naszego wozu wzmógł się ruch. Ksiądz przepychał się przez ciżbę w naszą stronę. Po chwili był już przy samochodzie, wszedł do wnętrza i stanął na tylnym siedzeniu.

Górował teraz nad tłumem, stając się dla wszystkich widoczny.

— Cisza! Cisza!!! — znów rozległy się głosy.

Alberdi wodził wzrokiem po twarzach. Widać było, iż z najwyższym wysiłkiem stara się skupić. Uniósł wreszcie rękę i kreśląc znak krzyża, począł mówić wolno, jakby rozpoczynał dawno przygotowane kazanie:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

— Amen! — przeszedł szmer przez tłum. Blżej stojące kobiety próbowały klęknąć, choć było zbyt ciasno w ciżbie otaczającej samochód.

— Niech Bóg was strzeże od złych myśli i uczynków! — podjął ksiądz surowo. — Jemu niech będą dzięki, że mogłem spotkać was w porę i wezwać do opamiętania! Nie wiem, kto wam powiedział, że jestem uwięziony... Ale widzicie teraz sami, że to nieprawda. Stoję oto przed wami zdrów i cały... i mówię wam: nie wierzcie kłamliwym wieściom!

— Ale ksiądz proboszcz tam był, prawda?! — wdarł się nagle w chwilową ciszę okrzyk z tłumu.

— Byłem! — potwierdził Alberdi dość spokojnie. — I jak widzicie, nic mi się nie stało! Mówiłem wam już nieraz, że to nieprawda, co naiwni i głupi gadają! Powiedzcie tym, którzy wam mówili o znakach na niebie, że musiały im się przyśnić! Byłem od wieczora do rana u Burta i mogę was zapewnić, iż żadnych szatańskich znaków nie widziałem ani też nikt stamtąd żadnych klęsk na naszą wieś zesłać nie chce i nie może. Sami możemy tylko sobie kłopotów namnożyć!

— A co Ignacio, syn Diega Maduro, mówił?! To też nieprawda? — znów padło pytanie.

Przez tłum przedarł się krępy, młody Metys i stanąwszy tuż przed samochodem zwrócił się do księdza, wołając donośnie, tak aby go inni słyszeli:

— No, niech wasza wielebność powie, jak to jest?

— A cóż Ignacio takiego opowiada? — zapytał Alberdi, chcąc prawdopodobnie zyskać na czasie. W głosie jego można było jednak wyczuć źle skrywany niepokój.

— No... przecież wasza wielebność sam wie najlepiej — odezwał się gdzieś z boku inny męski głos. — Przecież ksiądz proboszcz sam Ignacia zawoził do pana pułkownika i słuchał, co i jak było... O tej duszy... No, wasza wielebność wie...

— Niech się wasza wielebność na nas nie gniewa, że pytamy — wtrąciła stojąca bliżej starsza kobieta. — My tylko chcemy wiedzieć, jak to jest...

— Czy to prawda, że u tego Burta dusze ludzkie zamknięte w klatkach mają? Że biją one jak te ptaki skrzydłami i proszą o ratunek żywych?...

— Człowiek nie ma spokojnego dnia ani godziny, dopóki ci piekielni takie straszne rzeczy wyczyniają!

— Czy nie grzech godzić się na to?!

— Czy prawda jest, proszę księdza proboszcza, że dusza tego, co go z grobu wyjęli, zmiłowania próżno prosi?

Pytania padały jedno po drugim. Wzmagał się coraz większy gwar.

Alberdi mienił się na twarzy, coraz bardziej zaniepokojony. Nie ulegało wątpliwości, iż powinien natychmiast przeciwdziałać narastającemu wzburzeniu tłumu, lecz on zdawał się nie dostrzegać powagi sytuacji.

Na szczęście, czy też może na nieszczęście, inicjatywę przejął młody Metys, ten sam, który pierwszy zadał pytanie księdzu. Wskoczył na tylne siedzenie, stanął obok Alberdiego i wrzasnął na całe gardło:

— Spokój!!! Dość gadania! Dajcie wielebności mówić!

Tłum uciszył się natychmiast.

— Ksiądz nam powie! — podjął Metys zwracając się do stojących przed nim w dole kobiet i mężczyzn. — Ksiądz proboszcz nigdy nie kłamie! Wiecie przecież! Ksiądz nam powie, jak jest po prawdzie!

Alberdi patrzył na niego wzrokiem pełnym niepokoju.

— Nie wiem, czy zrozumiecie w pełni, co powiem — odezwał się wreszcie. Głos drżał mu ze zdenerwowania, a na policzki wystąpiły rumieńce. — Dusza ludzka po śmierci dotąd wyłącznie w ręku Boga pozostawała. I pozostaje! On ma tylko do niej prawo! I w Jego mocy jest! Modlitwą można jej pomóc... Tylko modlitwą! Niezbadane są drogi myśli bożej! Wiele niezwykłych spraw się na tym świecie dzieje, ale nie zawsze to, co z pozoru świętokradztwem i bezceństwem się wydaje, w istocie przeciw Bogu jest skierowane. Pytacie, co dzieje się w Instytucie Burta! Dokonano tam rzeczy dziwnej. Niespotykanej dotąd w świecie. Rzeczywiście duszę człowieka, choć ciało jego zmarło i w proch się rozsypuje, zachowano tu na ziemi, aby mogła z ludźmi żywymi obcować...

Szmer przeszedł przez tłum.

Katarzyna wpiła kurczowo palce w moje ramię. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że patrzy z przerażeniem na Alberdiego.

— Nie uczyniono jednak tego z pomocą szatana, ale przemyślnością ludzkiego rozumu — ciągnął ksiądz odzyskując stopniowo panowanie nad sobą. — Po prostu ludzie coraz lepiej poznają tajemnice, które dotąd były wyłącznie udziałem Boga. Nie chcę przez to powiedzieć, że czynią to wbrew Bogu! Powtarzam! Niezbadane są drogi Opatrzności... Nie nam mieszać się w te sprawy. Nie wolno!

— Słyszycie, ludzie, co ksiądz proboszcz mówi?! To wszystko prawda najczystsza! — zawołała jakaś kobieta w tłumie.

— Zamordowali człowieka, a duszę jego w klatce trzymają! — wrzasnął ktoś rozdzierająco.

— A teraz syna jego chcą zamordować! Ignacio mówił: on tam jest!!!

Tłum zafalował. Zamęt począł się wzmaczać. Zewsząd padały okrzyki gniewu. Wzburzenie rosło.

— Uspokójcie się!!! Nie zrozumieliście, o czym mówiłem!!! — wołał ksiądz. Ale tłum nie chciał się już uciszyć.

— Będę mówił! Słuchajcie! Ucisz ich! — zwrócił się do Metysa.

Ale młody człowiek rozłożył tylko ręce bezradnie i nie próbując nawet powtórzyć wezwania do spokoju, zeskokczył z wozu.

— Ludzie! My tu stoimy, a tam męczą dusze chrześcijańskie!!! — wołała jakaś kobieta histerycznie.

— Na co?! Po co czekamy?!...

— Niech ksiądz proboszcz idzie z nami!

— Nie! Nie! — krzyczał rozpaczliwie Alberdi. — Nie słuchajcie, co oni mówią!

— Niech ksiądz prowadzi!

— Szybciej! Naprzód!!!

— Nie! Nie ruszajcie się z miejsca!!! Idźcie do domu!!!

— Słyszycie? Ksiądz mówi, żebyśmy szli!

— Czego stoicie? Prędzej! Prędzej!

Tłum wyraźnie parł naprzód. Najpierw pojedynczo, potem większymi grupami ludzie podążali w kierunku zakrętu.

— Stójcie! Stójcie!

Tłum ruszył mijając nasz samochód.

— Stójcie! Zaklinam was na rany Chrystusa! Na Matkę Przenajświętszą! — wołał Alberdi głosem ochrypłym od krzyku. Ale nikt go już nie słuchał. Droga przed nami opustoszała. Ksiądz Alberdi

zeskoczył na ziemię. Chwilę stał oniemiały, patrząc za oddalającymi się ludźmi, potem nagle jakby oprzytomniał. Skoczył do wozu wołając:

— Niech pan jedzie za nimi!

Włączyłem silnik. Już zawracałem, gdy Katarzyna chwyciła mnie za rękę.

— Nie! To nie ma sensu. Ksiądz ich już nie powstrzyma. Gdzie jest najbliższy posterunek policji?

— Za kościołem, przy szosie!

— Jedź jak możesz najszybciej!

Takiej szalonej jazdy jeszcze chyba nigdy Punto de Vista nie widziało. W ciągu trzech minut byliśmy na miejscu.

Osada była niemal opustoszała. W niedużym murowanym budynku, mieszczącym posterunek policji, panowała cisza. Drzwi wartowni były zamknięte, ale Alberdi począł dobijać się do prywatnego mieszkania komendanta posterunku, na tyłach budynku.

Dopiero po dłuższym pukaniu drzwi się otwarły i w progu stanęła chuda, drobna kobieta przepasana fartuchem.

— Ach, to wasza wielbność — powiedziała niepewnie.

— Gdzie mąż? — zapytał Alberdi.

— Chory... Leży już od rana, proszę księdza...

— Niech państwo tu poczekaają! — rzucił w naszą stronę i wszedł do mieszkania. Zostaliśmy z Katarzyną sami na ganku.

— Jeśli ten bałwan rzeczywiście jest chory... — zachnęła się Katarzyna. — Przecież tu decyduje każda minuta!

Spojrzałem na zegarek.

— Tłum dojdzie do Instytutu nie wcześniej jak za siedem do dziesięciu minut. Gdybyśmy zaraz wyjechali, możemy jeszcze zdążyć.

— Jeśli facet zacznie się dopiero ubierać! A jeszcze zanim Alberdi zdoła go wyciągnąć z łóżka... Boję się... Bardzo się boję, że może być już za późno!

— Może przesadzamy z obawami — usiłowałem ją choć trochę uspokoić. — Wątpię, aby próbowali wdrzeć się do środka. Chyba będą się bali. Najwyżej obrzucą gmach kamieniami...

— Nie... Nie... — zaprzeczyła tłumiąc nerwowe drżenie ust. — To już poważniejsza sprawa niż wczoraj wieczorem. Jeśli księdzu nie udało się ich powstrzymać, to znaczy, że są zdecydowani na wszystko. Da Silva

musiał dobrze przygotować grunt. Złe, że nie pojechaliśmy wprost do Instytutu. Można było uprzedzić... zabarykadować wejście... Tam jest w tej chwili zaledwie pięć osób. Nie wiem, czy w ogóle mają się czym bronić. I czy próbowaliby użyć broni. To okropne... To moja wina! — Spojrzała nerwowo na zegarek. — Kiedy on stamtąd wyjdzie?!

— Uspokój się, jeszcze zdążymy! A jechać wprost nie było sensu. Wątpię, abyśmy w ogóle przejechali.

— Już minęły cztery minuty... Co on sobie wyobraża? Oni tam już mogą być!

Podeszła do drzwi i poczęła gwałtownie pukać. Jeszcze nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

Coś poruszyło się za drzwiami, ale nikt jakoś nie otwierał. Katarzyna poczęła łomotać pięścią. To poskutkowało. Drzwi się otworzyły i znów na progu ukazała się ta sama kobieta.

— Ksiądz proboszcz kazał powiedzieć, że już idzie, że zaraz będzie — uprzedziła nasze pytanie.

— Czy mąż pani...

— Tak. Tak. Już się ubiera. Taki los... taki los... Co za historia...

Trudno było dociec, czy ostatnie uwagi odnoszą się do samego zajścia, czy też kłopotliwych obowiązków policjanta.

— Ja już dłużej nie mogę... — Jedźmy sami — Katarzyna była u kresu wytrzymałości nerwowej.

Ale na szczęście na ganku pojawił się Alberdi w towarzystwie sierżanta policji, tego samego, który asystował przy ekshumacji. Policjant zapinał pośpiesznie mundur.

— Jedziemy! — oznajmił Alberdi głosem pełnym napięcia. — A wy dzwońcie natychmiast. I potem jak najszybciej do Instytutu! — zwrócił się do sierżanta, który już otwierał drzwi wartowni.

— Niech ksiądz proboszcz będzie spokojny, znam swoje obowiązki — zapewnił policjant.

— Czy on z nami nie jedzie? — zaniepokoiła się Katarzyna.

— Pojedzie motocyklem. Przede wszystkim musi wezwać pomoc. Jest zupełnie sam.

— Czy w ogóle można na niego liczyć? — zapytałem Alberdiego siadając za kierownicą.

— Myślę że tak. Co prawda z tą chorobą to sprawa nieco podejrzana,

ale teraz chyba zdaje sobie sprawę z sytuacji.

— Kiedy ta pomoc może nadejść? — wybuchnęła Katarzyna. — Zanim przyjadą, będzie już za późno...

Ruszyłem gwałtownie.

— Jedziemy do „casa grande”! — powiedział Alberdi z wysiłkiem.

— Do „casa grande”?! — Katarzyna aż się poderwała.

— To jedyna szansa... Tylko da Silva może ich zatrzymać. Jeśli zechce — dokończył głucho.

XV

Brama była zamknięta. Na moje uparte sygnały zjawił się jednak wkrótce dozorca i bez żadnych pytań rozwarł wielkie ażurowe wrota, wpuszczając nas na dziedziniec.

Przy drzwiach czekał już lokaj, który zaprowadził nas do salonu i zakomunikował, iż pan pułkownik prosi, abyśmy raczyli spocząć i poczekać, gdyż jest w tej chwili bardzo zajęty. Oświadczyłem fagasowi, iż muszę się widzieć z jego panem natychmiast w niezwykle pilnej sprawie, ale lokaj tylko grzecznie się skłonił i wyszedł.

Poczęliśmy się poważnie obawiać, iż da Silva celowo gra na zwłokę i niepotrzebnie tracimy czas. Okazało się jednak, iż w tym przynajmniej przypadku niepokój nasz był przedwczesny.

Gospodarz zjawił się dokładnie w dwie minuty po wyjściu lokaja, jak to sam sprawdziłem na zegarku. Był, jak zwykle, pełen galanterii.

— Cieszę się niezmiernie, że państwa widzę — powiedział takim tonem, jakby rzeczywiście nie mógł się nas doczekać. — A szczególnie rad jestem, że pani doktor odwiedziła znów moje progi. Od czasu gdyśmy się widzieli po raz ostatni, zaszło tyle wydarzeń... Wydaje się, że to już tak dawno...

— Pan wybaczy, ale przyjechaliśmy tu w bardzo pilnej sprawie! — przerwała cierpko Katarzyna. — Pańscy ludzie zorganizowali napad na Instytut Burta. Jeśli jest w panu choć trochę szlachejnych uczuć, nie dopuści pan do zbrodni!

Da Silva przełknął ślinę.

— Ależ... To chyba jakieś nieporozumienie... Moi ludzie?! To niemożliwe. Pani doktor się myli.

— Spotkaliśmy dwadzieścia minut temu na szosie tłum mieszkańców Punto de Vista, podburzony przez pańskich ludzi. Może dojść do gwałtów, do zniszczenia unikalnej aparatury, może nawet zbrodni... Pan zresztą wie dobrze, co się dzieje, pułkowniku! Nie ma chwili do stracenia!

— To przykre... To bardzo przykre... Moi robotnicy i dzierżawcy... Niestety, skąd ja mogę wiedzieć, co oni robią? Gdybym się chciał

interesować wszystkim...

— Skończmy z tą błagą! — wybuchnął nagle Alberdi. — Widziałem Pablo Macisa, Lucasa Vallejo, a nawet Rodrigueza! To oni podburzali ludzi...

— Jeśli to prawda, zostaną surowo ukarani.

— Niech pan nie udaje! Musi pan natychmiast im rozkazać, aby przerwali tę głupią, bezsensowną, zbrodniczą akcję!

— Mam im rozkazać? W jaki sposób?

— Wie pan dobrze. Macie z pewnością kontakt radiowy.

Da Silva patrzył z nienawiścią na księdza.

— Co to za insynuacja?! Proszę się liczyć ze słowami! Oświadczam, że nic nie wiem o żadnej akcji. Księdzu się śniło! A jeśli chodzi o moich dzierżawców i robotników, to rzeczywiście — w oczach da Silvy pojawiły się złe błyski — są to ludzie prymitywni, przesądni, pełni zabobonów. Ale to księdza wina, nie moja! Daję im tylko pracę, mieszkanie... Moja sfera działania to materia, a nie duch.

Ksiądz Alberdi zachwiał się jak smagnięty biczem. Zacisnął nerwowo pięści. Myślałem, iż rzuci się na gospodarza, ale oni mierzyli się tylko wzrokiem, stojąc naprzeciw siebie wyprostowani, jakby wrosli w ziemię.

Alberdi opuścił nagle oczy. Głowa jego poczęła pochylać się coraz niżej i niżej, a na twarzy da Silvy pojawił się wyraz tryumfu.

— Ja... was błagam, pułkowniku... — wyszeptał z wysiłkiem ksiądz.

Da Silva milczał. Widać było, że nie może sobie odmówić satysfakcji upokorzenia przeciwnika. Katarzyna spojrzała na mnie z rozpaczą.

— Niech pan nie odmawia — zwróciłem się do da Silvy. — Możemy pana zapewnić, iż to nie podstęp.

— Cóż ja mogę pomóc — gospodarz rozłożył bezradnie ręce. — Zanimbym tam dojechał... Pani doktor mówiła zresztą, że to jakaś banda sfanatyzowanych mieszkańców Punto... Katarzyna nie spuszczała wzroku z da Silvy. Widziałem, jak każde drgnienie jego twarzy napawa ją lękiem, to znów nadzieją. Trwało to dość długą chwilę, wreszcie gospodarz nie wytrzymał napięcia.

— Jestem, niestety, bezsilny — powiedział odwracając wzrok.

Katarzyna przymknęła nerwowo powieki, potem spojrzała na da Silwę ze złym błyskiem w oczach.

— Jeśli pan odmówi, to... to... — nie dokończyła z nutą groźby.

Da Silva zmarszczył brwi. Ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wtrąciłem się do rozmowy.

— Myślę, że pan pułkownik zrobi, co będzie mógł!

Nie chciałem dopuścić do ponownego zaostrzenia sytuacji.

— Nie wiem, czy państwo nie przesadzają — da Silva zmienił nagle ton. — Przecież nie wiemy, czy w ogóle ci ludzie dotarli do Instytutu. Może jednak zawrócili... Albo po prostu wybiją parę szyb i rozejdą się do domów.

— A jeśli wedrą się do wnętrza? Do laboratorium?...

— O ile wiem, profesor Bonnard opuścił dziś Instytut. Widziano go rano w Punto, a potem na szosie prowadzącej do stolicy. W wozie była pani de Lima i Mario...

— Tu nie o nich chodzi. Zostało zaledwie kilku pracowników. Dziś przecież niedziela. A jeśli będą próbowali przeciwstawić się tłumowi? Nie mówiąc już o skutkach zniszczenia aparatury... Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę...

Da Silva patrzył na mnie z zainteresowaniem...

— Nic, niestety, o tym nie wiem. Ale jestem niezmiernie ciekaw. Państwo tam przecież spędzili noc...

— Skończmy wreszcie tę zabawę! — Katarzyna nie wytrzymała nerwowo. — Panie da Silva! Czy pan nie rozumie, że i tak nic z tego panu nie przyjdzie? Choćby nawet... — urwała, jakby się przestraszyła własnej myśli.

Da Silva uśmiechnął się z lekka.

— Bardzo pani do twarzy z tym świętym oburzeniem — powiedział niemal bez gniewu. — Mimo wszystko radzę pani: niech pani bierze przykład z mecenasa. On tu z nas najrozsądniejszy. On powie pani, że każdy zarzut wypowiedziany w obecności świadków musi być poparty dowodami. Inaczej może się obrócić przeciwko oskarżycielowi.

Kontynuowanie rozmowy nie prowadziło do niczego.

— Jedziemy! — powiedziałem wstając. — Pan pułkownik zrobi na pewno wszystko, co będzie mógł...

— Oczywiście spróbuję... Zaraz wyślę kilku ludzi — podchwycił da Silva. — Bardzo przepraszam panią doktor za moje nietaktowne zachowanie — skłonił się przed Katarzyną.

Nic mu nie odpowiedziała. Odwróciła się od da Silvy, jakby go nie dostrzegając, i przyspieszając kroku podążyła za Alberdim ku wyjściu. Gospodarz szedł za nami w milczeniu.

Tuż przy drzwiach chwycił mnie delikatnie za ramię, zatrzymując w progu.

— Dziękuję panu, mecenasie. Nie zawiodłem się na panu — powiedział szeptem ściskając mi rękę — I niech pan czuwa nad Dolores. Ona musi milczeć!

Wyrwałem gwałtownie dłoń i zbiegłem na podjazd. Katarzyna i Alberdi siedzieli już w wozie na tylnych miejscach.

Ruszyłem pełnym gazem i przejechawszy w całym pędzie przez otwartą bramę wypadłem na drogę. W głowie mi szumiało. Byłem wściekły na da Silwę, na Dolores, Alberdiego, Bonnarda, na cały świat. A przede wszystkim na siebie. Nie mogłem pojąć, jak się to właściwie stało! Dlaczego dałem się wplątać w tę intrygę!

A może jednak niepotrzebnie się denerwuję? Może da Silva w tej chwili łączy się już ze swymi ludźmi? Może zrozumiał, że to nie ma sensu?...

Katarzyna myślała o tym samym.

— Czy ksiądz sądzi, że on przerwie akcję? — usłyszałem za sobą jej głos pełen niepokoju.

— Nie wiem... — odrzekł głucho Alberdi. Był zupełnie złamany.

Gnałem teraz na złamanie karku w kierunku szosy. Byle prędszej wyjechać z lasu na otwartą przestrzeń.

Wreszcie szosa! Zjeżdżaliśmy teraz z niewielkiej pochyłości obejmując wzrokiem teren aż po ciemną plamę zieleni otaczającej Instytut. Uczułem ostry skurcz w okolicach serca.

Nad lasem wznosił się w niebo obłok ciemnego, gęstego dymu.

A więc da Silva nie zdążył. Chyba nie próbował nawet. Pożar wybuchł z pewnością jeszcze wtedy, gdy rozpoczynaliśmy rozmowę. On o tym dobrze wiedział...

Minęliśmy ciężarówkę z wojskiem. Raz po raz między krzakami, posadzonymi wzdłuż szosy, przemykały jakieś postacie ludzkie, podążając w przeciwnym niż my kierunku. — Prędszej! Prędszej! — popędzała mnie rozpaczliwie Katarzyna.

Instytut był coraz bliżej. W powietrzu wyczuwało się już zapach

spalenizny, a obłok dymu wisiał wysoko nad naszymi głowami. Wreszcie ujrzeliśmy budowlę. Wiatr wiał z zachodu i lewe skrzydło gmachu nie było nawet osmalone. Pożar nie objął na szczęście całego budynku i prawdopodobnie ogień został już zlokalizowany, gdyż nigdzie nie dostrzeżliśmy płomieni. Gęsty dym wydobywał się właściwie tylko z głównego wejścia i potłuczonych okien pierwszego piętra, tuż nad hallem.

Zatrzymałem samochód w odległości kilkudziesięciu metrów od gmachu Instytutu. Napastników już nie było. Tylko kilkoro osmalonych ludzi, prawdopodobnie pracowników Instytutu, biegało wokół gmachu. Po drugiej stronie drogi, niedaleko bocznej bramy Instytutu, jakaś dziewczyna bandażowała głowę zakrwawionemu mężczyźnie. Obok stał komendant posterunku.

Podbiegliśmy do nich. Poznałem rannego — to był ów młody Indianin, który nas wczoraj wieczorem wpuścił do gmachu.

— Co z Bragą?

Katarzyna była blada jak płótno.

— Oni wdarli się od razu tam... na dół... Musieli wiedzieć. Mieli ze sobą benzynę... Próbowałem ich zatrzymać — wyszeptał z wysiłkiem Indianin.

— Zdążyliśmy w samą porę — wtrącił skwapliwie sierżant. — Nawet nie potrzebowaliśmy używać broni. Zaraz się rozbiegli. Nie zdążyli, na szczęście, splądrować budynku. Kilku ludzi poturbowano. No, i ten pan doktor ranny... — wskazał na Indianina. — Nikt na szczęście nie zginął. Ofiar w ludziach nie było!

— Nie było... — powtórzył ksiądz Alberdi zdławionym głosem.

Spojrzałem odruchowo w kierunku pogruchotanych drzwi hallu. Wydobywający się z piwnic dym przybierał coraz jaśniejszą barwę.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)